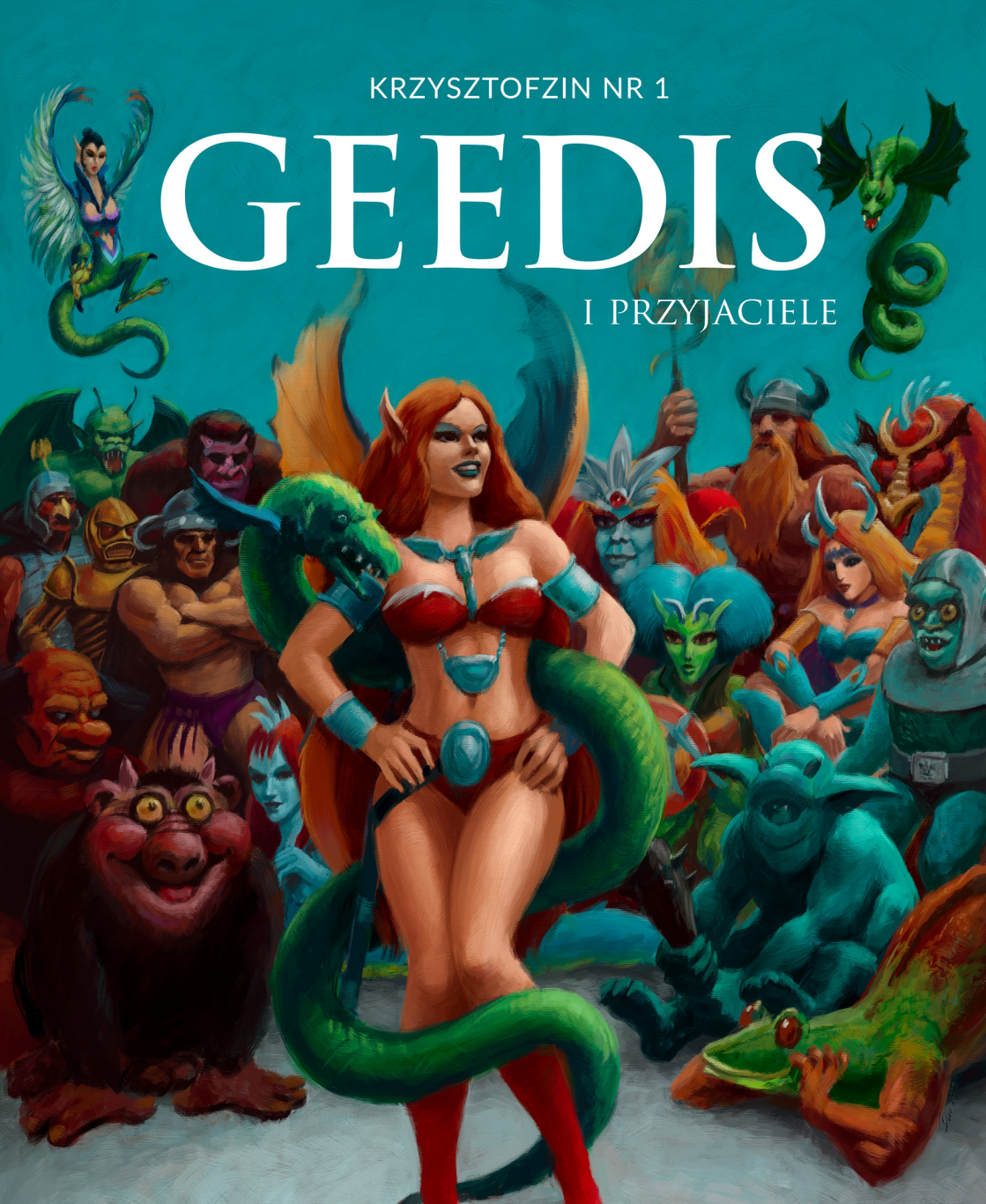
KRZYSZTOFZIN NR 1

GEEDIS

I PRZYJACIELE



BIEDRZYCKI I KRAWCZYK • BORYS-PIĄTKOWSKA • BREMER • DZIK • FIEDCZAK
FROŃ • GÓRSKA • GRABOWSKI • GRAF • GRODECKI • JANUS • KILLMAN
KOĆMA • KOTULAK • KOWALEWSKI • KUDŁA • MROZIK • MUZYKA • NOWAK
OWERCZUK • PODLEWSKI • SZCZERBAKOW • WĘCŁAWEK • ZELEK



KRZYSZTOFZIN NR 1



GEEDIS
I PRZYJACIELE

Jerry Bremer — Rozważania o teorii multiwersum 7
Dominika Węcławek — Geedis, ty sukinkocie! 12
Tomasz Grodecki — Stwór 20
Adam Froń — Dwanaście prac Stefana i Radona 23
Kacper Kotulak — Raport z kontroli wstępnej: obiekt #80-218 32
Daniel Fiedczak — Potyczka o jaja 57
Wojciech Szczerbakow — Incydent 2754 60
Maria Borys-Piątkowska — Uno — Opis potwora do systemu Zew Cthulhu 72
Aleksander Janus — Zapomniani 74
Kamil „Tygrzyk" Muzyka — Geedis, co tu się stało? 82
Aleksander Killman — Harry, Zoltan i Erynie 92
Katarzyna Ophelia Koćma — Casting 100
Monika Nowak — Na ratunek Geedisowi 108
Mateusz Zelek — Geedisium 119
Michał J. Owerczuk — Once Upon a Time in Geedywood 126
Przemysław Grabowski — Bogactwo i sława 153
Agnieszka „Shee" Górska — Weźcie hełm zbawienia 178
Mikołaj Kowalewski — Geedisa Podróż Czternasta 202
Mikołaj Mrozik — Na psa urok 204
Bartłomiej Dzik & Ela Graf — Wiersze 214
Marcin Kudła — Tylko dla wąrłów 215
Bartek Biedrzycki & Szymon Krawczyk — Kimże, do krocset, jest Kietzman? 221
Marcin Podlewski — Wesołych Świąt, panie Geedis! 225
Krzysztof Kietzman — Sprawozdanie z walnego zgromadzenia Towarzystwa Geedisoznawców (albo zapis pewnej popkulturowej obsesji) 234

Ilustracje na tej stronie: SIDNEYIA

KRZYSZTOFWSTĘPNIAK NR 1

Później mówiono, że Geedis nadszedł od północy od bramy Powroźniczej.

Cześć, jestem Krzysztof, a to jest mój zin — a także zin każdego, kto mi zaufał i dał się ponieść fantazji. Trzeba bowiem fantazji, by napisać opowiadanie lub wiersz inspirowane osobliwymi arkuszami naklejek z lat 80.

W latach 2017–2019 dziesięć tysięcy internautów z Redditu, Twittera i okolic poszukiwało nieznanego autora trzech arkuszy naklejek z cudacznymi stworkami i wojami, których przedruki znajdziecie na kolejnych stronach. Podpisane były „THE LAND OF TA". Fani tajemnicy pokochali kudłatego, uśmiechniętego GEEDISA; kucającego gargulca ZOLTANA; trzymającego w dłoniach wężoorła (który doczekał się fanowskiego miana „Sneagle") jaskiniowca HARRY'EGO; przypominającego nieco C-3PO robota TOKARA; goblinopodobnego IGGY'EGO; oraz wcielającego się w rzymskiego legionistę ptasiodziobego ERIKA... A przecież to jedynie postacie z pierwszego arkusza! Historia poszukiwań autora, Sama Petrucciego (1926–2013) — którego odnaleziono w sierpniu 2019 roku! — jest zawiła, kręta i bardzo ciekawa. Możecie się z nią zapoznać w zinie „Żar-ptak nr 1" (Gniazdo Światów, Warszawa 2019) oraz na końcu tego zbioru.

Najważniejsze, że autor pozostawił po sobie kilkanaście postaci, ale nie wypełnił ich świata treścią. Z niezrozumiałego dla mnie powodu mieszkańcami Krainy Ta do tej pory nie zainteresował się Netflix. TO KARYGODNE. Całe szczęście, że z misją ratunkową (i to w samym środku pandemii) przybyli autorzy i ilustratorzy „Krzysztofzinu nr 1", którzy tchnęli życie w świat Geedisa i jego przyjaciół. Mam nadzieję, że zin ten trwale zapisze się w annałach polskiego i światowego Geedisoznawstwa.

Nie jest to pierwszy zbiór opowiadań inspirowanych grafikami — w końcu stosunkowo niedawno ukazała się antologia *Inne światy* z opowiadaniami inspirowanymi pracami Jakuba Różalskiego (SQN, Kraków 2018) — ale przypuszczalnie jest to pierwszy zbiór inspirowany naklejkami. Tak, to już jest ten moment, gdy popkultura świadomie i bezwstydnie zjada własny ogon (skądinąd w drodze głosowania fani z Redditu ustalili, że Geedis ma ogonek jak króliczek).

Jakie opowiadania znajdziecie w zbiorze? Sporo humorystycznego fantasy (co ciekawe, więcej tekstów jest w duchu pratchettowskim aniżeli w klimacie lat 80., jakby Pratchett przejechał się walcem po wcześniejszych konwencjach), ale też twarde science fiction, historię pijacko-narkotykową, opowieść o castingu i scenę przesłuchania. Wreszcie niektóre opowiadania nawiązują, cóż, do mnie, ale zapewniam was, że zawartość Krzysztofa w „Krzysztofzinie nr 1" jest homeopatyczna — w końcu ja tu tylko sprzątam. Oddaję zatem głos autorom. Do następnego razu!


ZOLTAN
THE LAND OF TA
HARRY
IGGY
TOKAR
GEEDIS
ERIK
©DENNISON 1981
80-218


THE LAND OF TA
HERMANN
ERIS
UNO
SHIMRA
RADON
STEFAN
©DENNISON 1981
80-219


CECILY
ASTRID
SYBIL
©DENNISON 1982 80-224
AMNERIS
URSULA
WOMEN OF TA
RIMELDA

JERRY BREMER

ROZWAŻANIA O TEORII MULTIWERSUM

Geedis wracał z pracy tak zamyślony, że niemal staranował swoim tripodem luksusowy pentapod sąsiada. Ocknął się sekundę przed zderzeniem, ostro zahamował, ryjąc odnóżami pojazdu głębokie bruzdy w wypielęgnowanym trawniku, zgasił silnik, chwycił sakwę i pognał do norki.

— Mróciłem! — krzyknął, ponieważ jako stworzenie bezzębne nie wymawiał „w".

Zaraz jednak zreflektował się, że jest w mieszkaniu sam, gdyż jego współlokator Iggy miał drugą zmianę w kopalni sernika. Wziął prysznic, nakarmił jaszmiję, tak jak obiecał Iggy'emu, po czym usiadł na zydelku przed biurkiem i wyciągnął z torby przyczynę swojego zadumania.

— Kho hy jesheś... — wymruczał, przyglądając się figurce.

Kupił ją rano na bazarku, kiedy dreptał między straganami pełnymi kieszonkowych zegwników, bąśli, cyngwajsów, używanych przyczłapów i innych kompletnie zwyczajnych przedmiotów codziennego użytku. Jego uwagę przykuł niewielki posążek przedstawiający nieznaną mu postać. Nabył go natychmiast, pod wpływem impulsu, a teraz, przyglądając się w spokoju, usiłował dociec, kogo przedstawia.

Siedział, mamrocząc i ściskając palcami powieki. Próbował sobie przypomnieć, czy może jednak kojarzy to stworzenie z jakiejś holowieści, teleraźni albo innego przekazidła. Obracał figurkę w łapkach, obwąchiwał swoim wydatnym nosem i na przemian zbliżał do oczu i oddalał. Bezskutecznie. Po chwili chrumknął z irytacją, wrzucił figurkę z powrotem do torby i wyszedł z norki.

Biegnąc, minął jeden pagórek mieszkalny, potem drugi i trzeci. Pomachał Hermanowi, który akurat zamiatał ścieżkę przed swoim domem, spłoszył kilka młodych świngwinów wydziobujących grzyby spod kamieni i dotarł do niskiego płotu. Rozejrzał się, bo wiedział, że Astrid nie lubi skracania sobie drogi przez jej gospodarstwo. Nigdzie

jednak nie dostrzegł charakterystycznych skrzydeł ani ogona, więc szybkim susem przesadził ogrodzenie i znalazł się na pastwisku pełnym ogromnych tłustych krabąszczy.

Lawirując między pasącymi się łagodnymi olbrzymami, dotarł na drugą stronę łąki, wspiął się na płot i dokładnie w chwili, gdy z niego zeskakiwał, usłyszał gniewny okrzyk: „Geedis! Znowu kradniesz jajka!?". Nie przejął się tym zbytnio — tym razem przecież niczego nie kradł, chciał się jedynie szybko dostać do przystani. Głos Astrid przywołał jednak wspomnienia z dzieciństwa. To właśnie na należącym do niej pastwisku poznał Iggy'ego, Zoltana, Shimrę i Ursulę. To właśnie tutaj powołali do życia swoją bandę. Tu miały początek wszystkie ich przygody, małe zwycięstwa i duże tarapaty. A wszystko zaczęło się od kradzieży kilku jajek krabąszczy.

Wspominając dawne czasy, Geedis dobiegł do brzegu rzeki. Stanął na niewielkim pomoście, zerknął na rozkład spływu i przysiadł, opierając się o tabliczkę z napisem „na żądanie". Czekał przez chwilę, kręcąc się niecierpliwie. Gdy zobaczył nadpływającą barkę, podskoczył i zaczął wymachiwać łapkami. Ucieszył się też, gdy spostrzegł, że łódź prowadzi Stefan, jego stary znajomy z czasów studiów pierogoznawczych na leniwersytecie. Dzięki predyspozycjom fizycznym Stefan tuż po studiach został treserem spameleonów i odnosił w tym zawodzie spore sukcesy, do momentu gdy z powodu kontuzji musiał zrezygnować i zająć się czymś spokojniejszym. Od tamtej pory pracował jako kierowca barki pasażerskiej. On również uśmiechnął się, widząc Geedisa czekającego na brzegu, po czym, szturchając kijem dno rzeki, zmienił kurs i zbliżył łódź do pomostu.

— Mam cumować czy wskakujesz? — krzyknął Stefan, gdy barka była tuż przed pomostem.

— Daj spokój, po so się hahrzymywaś? — odparł Geedis, biorąc rozbieg i wskakując na pokład.

Barka zakołysała się. Dwie podstarzałe kłakolągwy, zajmujące miejsca na ławce z tyłu, fuknęły z dezaprobatą spod nastroszonych wąsów.

— Gdzie cię dziś niesie? — Stefan odbił się kijem od pomostu, by wrócić w szybszy nurt na środku rzeki.

— Zmierzam do pijalni, chsę skorzyshać z kohła. Muszę się czegoś domiedzieś o jednej higurse.

— Higurse?
— Posąhku.
— Posąhku?
— ...
— Dobra, nieważne. Wysadzę cię przy moście, stamtąd będziesz miał najbliżej.
— Mielkie dzięki!

Rzeka wiła się między zielonymi pagórkami. Płynąc, mijali krótkie pomosty, na których przesiadywali poławiacze chrupaków, małe zatoczki pełne kąpiących się dzieci i całkiem rozbudowane przystanie z drewnianymi budkami, z których unosił się zapach smażonych łosiotrów. Dalej teren stawał się bardziej płaski, pojawiły się drewniane domki, eleganckie mostki, ścieżki wysypane białymi kamykami. W oddali słychać już było szum wielkiej metropolii, w której tripody, tetrapody, pentapody i ślizgacze stały w ogromnych korkach, ponieważ ich właściciele bardzo się spieszyli. Geedis był całkiem zadowolony, że tym razem nie musi udawać się do miasta.

Kiedy minęli kolejny zakręt, ich oczom ukazał się wielki stary most. Stefan szturchnął dno kijem, a kiedy barka wpłynęła w niewielką zatoczkę przy kamiennym filarze, Geedis pożegnał się i wyskoczył na ląd.



Ilustracja: SIDNEYIA

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, zalewając okolicę fioletową poświatą, gdy Geedis przebiegł wysadzaną smrododendronami alejką i wkroczył do pijalni. Zamknął za sobą szerokie dwuskrzydłowe drzwi, rozejrzał się po lokalu w poszukiwaniu znajomych twarzy, skinął kilku stałym bywalcom i podszedł do baru.

— Czołem! — powitał go stojący za barem Harry. — Dawno cię u nas nie widziałem, Geedisie.

— Miesz jak jes, prasa, obomiązki.

— Miem. ...wiem. Napijesz się czegoś?

— Chęhnie. Poproszę goråse kakao.

— W twoim kubku...?

— Miadomo. I chsiałbym skorzyshać z kohła, o ile ho możlime.

— Jasna sprawa. Wążeł! — Harry zwrócił się do swojego pomocnika — skocz odpal kocioł, a ja w tym czasie zrobię kakao. A ty, Geedis, usiądź sobie, przyniosę.

Kiedy Harry zniknął na zapleczu, Geedis ruszył za wążełem do drugiej sali. Usiadł przy niskim stole, na którym znajdowała się spora kamienna misa, i wyciągnął z torby figurkę. Wążeł tymczasem odkręcił kurek, stuknął kilka razy ogonem w drewnianą obudowę i przystawił do misy końcówkę wąskiej rury, a w czasie, gdy naczynie wypełniało się srebrzystym płynem, podał Geedisowi rękawice.

— Pamiętaj, żeby nic tam nie wrzucać i nie wkładać łap bez rękawic, jasne?

— Mo przesież mie jeshem hu piermszy raz! — fuknął Geedis.

Założył rękawice i nachylił się nad misą. W srebrnej toni zamigotały różnokolorowe plamy. Wsadził w zawiesinę jedną łapę, potem drugą i zaczął mieszać. „Login, hasło, jakie ja miałem hasło... Teraz od czego zacząć? Może sąsiedzka grupa zbieraczy antyków...?". Wykonał łapą energiczny ruch. „Nie, nic tu nie ma, może oficjalna plama złudzeum świetnograficznego?". Szturchnął płyn palcem. „Nic... Może muszę szukać niżej, w głębokiej toni... albo spróbuję jeszcze w stowarzyszeniu twórców łapkodzieła". Znów zmącił płyn. Zawartość misy podskoczyła i zachlupotała.

— Ostrożnie, bo wylejesz! Likiernet jest strasznie drogi! — zrugał go Harry, stawiając na stole parujący kubek z kakao. Rzucił okiem na figurkę. — Co tam? Zostałeś artystą i próbujesz opchnąć swoje dzieło? Następnym razem namaluj obraz, lepiej się sprzedają.

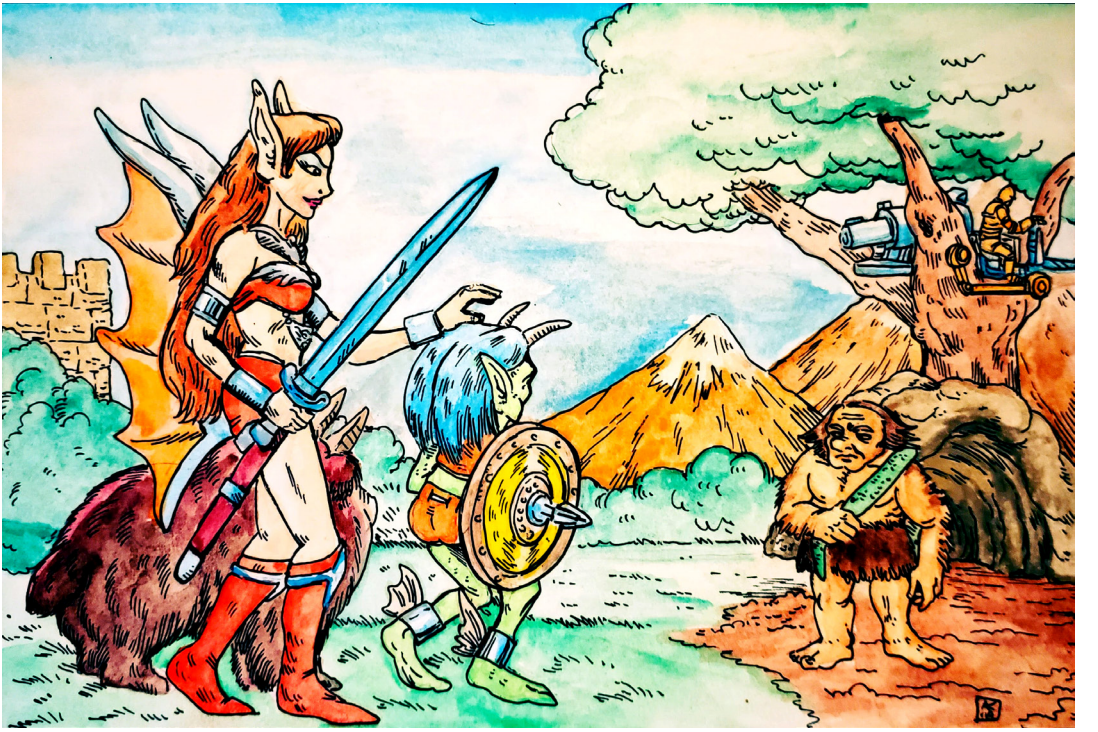
— Hy ho masz łeb! Arhyśsi! — krzyknął Geedis i znów zaczął machać łapkami w misie. — E, chyba nis z hego. Nis się nie domiem o hajemmiszej higurse...

— Szukasz informacji o tej figurce? Czekaj, pójdę zobaczę w naszym księgozbiorze, może coś znajdę.

Przez chwilę Geedis siedział sam, sącząc gorące kakao. Harry wrócił z opasłą księgą pod pachą.

— Mam coś, chociaż niewiele. Tu piszą, że dawno temu jakiś artysta stworzył taką rycinę, z postaciami zupełnie zmyślonymi, nie stała za nimi żadna opowieść. O, zobacz, przedrukowali. Jest twój stworek z figurki — Kietzman — i jeszcze paru innych: Killman, Jerry, Węcławek, Muzyka... dziwaczne trochę. I jest podpis: „The Land of Po".

Geedisowi zaświeciły się oczy.



Ilustracja: HODAG RPG

GEEDIS, TY SUKINKOCIE!

— Cecylio...

— Hrmpfff.

— Cecylio, proszę cię, porozmawiajmy.

— Teraz to porozmawiajmy, tak?

Miecz łupnął o kamienną podłogę tak mocno, że aż zatrzęsły się talerze na masywnym dębowym stole. Kobieta odwróciła się gwałtownie w kierunku rozmówcy, odrzuciła pukiel kasztanowych włosów i poprawiła amulet mniejszego berserku dumnie zdobiący jej popiersie. Westchnęła teatralnie.

— Cecylio, jesteś dla mnie bardzo ważną osobą.

— To dlatego trzymasz mnie w tej klatce, tak?

— Nie o to chodzi, zrozum moja miła...

— Nie mam czego rozumieć, ja zwyczajnie ślepa byłam, tak, bardziej ślepa niż ty w tej swojej zakutej pale. Co, myślisz, że nie wiem, że nie masz tam prawdziwych oczu? Tak? Wiem wszystko! Smok Iggy'ego mi powiedział. Gdybym wiedziała, że wy, blaszaki, jesteście takie staroświeckie...

— Cecylio, umiłowana ma, proszę cię, ranisz moje uczucia.

— Uczucia? Twoje? Daj mi spokój, ty kupo złomu, przybyłam na te ziemie, by mordować i rabować, a może nawet troszkę gwałcić, a nie siedzieć na dupie w jakimś smętnym pałacyku! Co to ma być, Tokar, powiedz mi? (stuk) A to? (łup) I to?! (grzmot).

Blaszany mężczyzna, nieco intensywniej pochlipując, odparł drżącym głosem, że to są tralki, a to obok, co przed chwilą rozłupała pięścią, to są tympanoniki takie, do łóżka, i one stały na kolumienkach.

— Co ty chcesz ze mnie zrobić, że mnie tu dajesz jakieś zafajdane tympanoniki, kolumienki?! A na jaką plagę mnie te tralki, co?

— Żebyś miała pięknie i luksusowo, najukochańsza.

— Nie chcę luksusowo! Chcę krwi moich wrogów.

Tokar zaczął drżeć i poskrzypywać, zwłaszcza w miejscach, w których jego blaszane ciało zawierało sporą liczbę zawiasów, w które spływały ciurkiem słone łzy.

— Serdeńko moje, przepióreczko...

— Przestań mi słodzić! A teraz wyjdź i daj mi spokój.

— Dobrze, jaskółeczko moja mała, dobrze, widzę, że (chlip) nieco się uniosłaś (zgrzyt), ale rozumiem. Rozumiem i szanuję (pisk), że możesz niekiedy podchodzić tak gwałtownie (zgrzyt) do naszej relacji (szloch), bo w końcu (pisk, zgrzyt) taką cię pokochałem... (trzask)

Sapiąc gniewnie, Cecylia zaczęła krążyć po komnacie od jednego okna do drugiego. Czuła się jak Harry zamknięty w klatce. Takich istot jak oni nie traktuje się w taki sposób. O nie. Wy-klu-czo-ne. Ona ma swój miecz, ma swoje naramienniki, amulet, dwa artefakty i ma swoją cholerną godność wojowniczki. Nikt jej nie będzie tympanonów nad głową układał do snu. W ogóle, co to za pomysł, żeby wznosić jej pałac, w tym pałacu urządzać komnatę, a w tej zafajdanej, choć nie sensu stricto, komnacie — stawiać łoże. I ona jeszcze ma w tym łożu spać. Jak jakaś damulka ze smoczej łaski. Nie po to rodzice posyłali ją do akademii barbarzyńców, nie po to na tej prestiżowej uczelni zdobyła trzeci poziom w jedno okrążenie słońca wokół globu. Nie po to umie jednocześnie mówić, chodzić i robić mieczem, żeby teraz siedzieć jak jakaś wypindrzona kwoka urodzona w królewskim kurniku i znosić tu jaja z nudów.

Podniosła miecz i spojrzała krytycznie na klingę. Ostrze mrozu jest głodne. Nie ma to tamto. Przez jedną krótką chwilę Cecylia pomyślała o Tokarze, a w zasadzie o tym, czemu do jasnej cholery dała się wplątać w całą tą aferę z Relacją i na co w ogóle słuchała tych dyrdymałów o Miłości.

Co to się porobiło, że jednego dnia była dumną krwiożerczą, siejącą postrach wojowniczką, a potem nagle, ni z tego, ni z owego, wylądowała w jakichś piernatach. I wtedy właśnie spod jednej z ciężkich zasłon wyturlało się maleńkie, srebrne ziarenko. Cecylia zareagowała szybciej, niż zdążyła w ogóle pomyśleć. Sieknęła mieczem raz. To wystarczyło, by skrząca się kuleczka rozpadła się na dwie części, a z wnętrza wydobył dym.

— GEEEDIIIS, TY SUKINKOCIEEE! — wrzasnęła, bo już odgadła, co wydarzyło się dokładnie miesiąc temu, w trakcie krwawego nowiu.

Miesiąc temu, w trakcie krwawego nowiu

Dym nad polem bitwy snuł się leniwie niczym kocur. Zwycięska armia, dość mocno przetrzebiona, ale jednak zwycięska, brodziła we

krwi poległych braci i wrogów. Niekiedy ktoś potknął się o kość, kto inny zaplątał w wodorosty trzewi, ale generalnie drużyna Cecylii parła naprzód, do brzegu tego jeziora trupów, mając poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Teraz jeszcze tylko krótka odprawa, zabezpieczenie łupów i na koniec upragniony odpoczynek przy średniej jakości winie, podłym piwie i przypalonym mięsie, czyli wszystko to, co tygrysy wojny lubią najbardziej. Cecylia strzepnęła nadmiar juchy ze swych skrzydeł i delikatnie uniosła się ponad pobojowisko. Bardzo lubiła ten widok. Działał na nią oczyszczająco i kojąco, oto bowiem, poprzez śmierć w boju i bohaterskie cierpienie, harmonia świata jest przywracana. Odwieczny taniec życia i śmierci kontynuowany jest ku chwale bogów i wszystkich istot żywych i nieumarłych. W pamięci Cecylii zaś wracają słowa ojca, który w chwilach świadomości lubił opowiadać o dawnych bitwach. Gładził ją po kędzierzawej główce lekko sparaliżowaną dłonią, wspominając szorstkim głosem swoje ulubione powiedzonko...

— A po rzezi chodziliśmy na wątróbki.

— Słucham? — rzucił przechodzący poniżej Harry.

— Nic, nic, tak się zamyśliłam.

— To się, kurka, lepiej nie zamyślaj, bo tam piwo nam stygnie, a żywo, do karczmy ruszajmy, ho!

— Dobra, już dobra, idziemy.

Gwar w lokalu jednoznacznie wskazywał na to, że był to dobry dzień na ziemiach Ta. Śmiechy nie cichły. I tylko jedna osoba siedziała cicho w rogu, nerwowo spoglądając na salę. Zimny pot spływał jej po blaszanych plecach, a mechaniczne serce biło szybciej, niż powinno. Tokar obserwował uważnie rozradowaną hałastrę wojów. Szczególnie mocno przyglądał się zachowaniu Cecylii. Zwłaszcza od momentu, w którym Geedis dał mu znać, że to już. Już za momencik. Gdy tylko potężna wojowniczka uniosła się od ławy, odstawiwszy na bok puchar wypełniony winem już tylko do połowy, a po drewnianym blacie potoczyło się ziarenko, rzecz jasna rozpęknięte na dwie równe połówki, Tokar ruszył w jej stronę. Zrobił wszystko dokładnie tak, jak kazała starucha. Musiało się udać. Zbliżył się do Cecylii i rzekł nieśmiało:

— Witaj, gwiazdo poranna, czy zechcesz mi towarzyszyć w przechadzce?

— Ta. Spoko. (hep)

Jego stalowa dusza zadrżała z radości. Wiedział już bowiem, że

kobieta, którą pokochał ledwie kilka tygodni temu, w dniu rubinowego nowiu, wreszcie jest przy nim i — przynajmniej zgodnie z obietnicą wiedźmy — od teraz już odwzajemni jego uczucia.

Była jednak w karczmie jeszcze jedna osoba, która nie przyłączała się do radosnego karnawału. Przycupnęła tak głęboko w loży hrabiowskiej, że jedynie nikłe odblaski z płomienia świecy były w stanie wyłowić lśniące łuski zdobiące jej ogon. Amneris, piękna w swym smutku i złości, machnęła płetwą raz i drugi, po czym warknęła wściekle.

— GEEDIS, TY SUKINKOOOCIEEEEEEEE!

Zrozumiała bowiem, co stało się dokładnie miesiąc temu, w trakcie rubinowego nowiu.

Miesiąc temu, w trakcie rubinowego nowiu

— I myślisz, Geedis, że to wystarczy?

— Ehem! — skrzeknął entuzjastycznie kudłacz, stając na tylnych łapach.

Amneris zawsze wydawało się, że ten nicpoń, uważany za największego chochlika na ziemiach Ta, zdolny jest też do czynów wielkich, a przynajmniej dobrych, na przykład takich, które mogłyby pomóc ukoić jej skołatane nerwy i rozedrgane emocje.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak dziwnie, od miesiąca nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, a jej umysł, dotąd zawsze skoncentrowany na celu, szalał niczym mały świergolis wpuszczony do spichlerza. Nie było jej łatwo. Nawet poranne kąpiele w ukochanym oczku wodnym na skraju Skał Obfitości za Gajem Dobrostanu nie przynosiły ratunku. Amneris pierwszy raz w życiu się zakochała. Jej siostry chichotały godzinami, widząc, jak rudowłosa syrenicha wzdycha, mdleje, niedojada i nie śpi, bo myśli o swym wybrańcu.

— Amneris! Amneris! Co ty tak wariujesz? — wołały chórkiem, za nic mając katusze, jakie przechodzi dziewczyna.

Amneris zwijała się wówczas w kłębek, wczepiała szpony w puchową poduchę i nakrywała ogonem głowę, mrucząc o tym, że nikt nie zrozumie emocji, jakie nią targają. Siostry jednak, jak na rodzeństwo przystało, nie przestawały kąsać i podgryzać, jednak robiły to wyłącznie słownie. Większość tych przytyków była Amneris obojętna. Jako najmłodsza z całego kłębowiska nigdy nie miała łatwego życia. O ile jej matka, potężna królowa hydr, cisnęła wszystkie swoje dzieci, by wkupywały

się w łaski potężnego Eryka i awansowały chociaż na łuczniczki, o tyle w przypadku Amneris miała wszystko gdzieś. Tak, jakby to ostatnie jajo, które królowa zniosła, było gorszego sortu.

W pewnym momencie któraś z sióstr trafiła w samo sedno.

— A czy ten twój absztyfikant w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że ty tak zdychasz w spazmach miłości, hę?

Faktycznie, mogło być coś na rzeczy. Im dłużej Amneris myślała o tym wszystkim, co zaszło w ciągu ostatniego miesiąca, tym bardziej zyskiwała pewność, że jej pełne powabu sygnały mogły okazać się zbyt mało czytelne. W końcu jej oblubieniec był nie z tego gatunku. Możliwe, że stanie na tylnych kończynach, stroszenie grzebienia, czy połyskiwanie łuskami nie zostały zrozumiane. Możliwe jednakże, że zawiodło coś innego. Przecież Tokar nie był głupi. O nie. W głupim by się przecież nie zakochała. Możliwe, że wcześniej jawił jej się jako gbur i furiat, ale odkąd wpadła na niego przy Kapliczce Uzdrowienia Ran, a on zwyczajnie zdawał się jakiś taki inny, bardziej męski niż zrzędliwy, bardziej pociągający niż nerwowy, taki jakiś, no, sama nie umiała powiedzieć, jaki w zasadzie, poczuła do niego to coś.



Początkowo nie umiała powiedzieć, co to jest, potem jednak, zwierzając się starej wiedźmie, która była w końcu najmądrzejszą kobietą w całej krainie, dowiedziała się, że to miłość. Od tego dnia przeczytała wszystkie księgi o miłości dostępne w bibliotece Ta, a było ich aż siedem. I wszystkie mówiły o tym, że w zasadzie... No, wystarczy usychać z miłości, a oblubieniec wreszcie przejrzy na oczy, w swej szlachetności zjawi się i szczerym, namiętnym pocałunkiem potwierdzi swe uczucie.

Ilustracja: Bartek Biedrzycki

No dobrze, Amneris przypomniała sobie, że była jeszcze jedna książka, niby też w dziale o miłości, ale jakaś inna. Dość obleśna, miała dużo grafik i pełno niezrozumiałej terminologii. Wolała więc wymazać z pamięci ohydnie brzmiące, wielosylabowe słowa oznaczające dziwne czynności i inne słowa, takie mające obco brzmiące, pisane kursywą nazwy i opisywały jakieś narządy. O nie.

W końcu Amneris nie wytrzymała i poszła do wiedźmy po kolejną poradę.

— Jak mam sprawić, by Tokar mnie pokochał? — spytała od wejścia bez zbędnych ceregieli.

— Hola, hola, panienko, nie tak szybko — rzekła Sybil. Może była stara i niejedno już widziała, ale z trudem potrafiła zamaskować rozbawienie wynikające z widoku ogoniastej dzierlatki. Na szczęście Amneris zbyt zaaferowała się nagłym olśnieniem i potrzebą znalezienia sposobu na Tokara, by zauważyć reakcję wiedźmy.

— Kiedy ja usycham już z miłości, dłużej nie wytrzymam.

— Wytrzymasz, oj wytrzymasz, poczekasz sobie spokojnie, aż mój przyjaciel, Geedis, zadziała w twojej sprawie, ale musisz wiedzieć, że nie są to łatwe rzeczy. Ani tanie. Oj nie, nie.

— Ech, no dobrze, niech tak będzie, co zatem muszę zrobić?

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię, najważniejsze jednak, żebyś mi przyniosła z zagonu przy chałupce ziarenko miłości. Leżą tam, blisko studni, rozpoznasz je, są złociste i łatwo pękają na pół.

Niewiele myśląc, Amneris ruszyła od razu do ogródka przy domu wiedźmy. Nie miała nawet pojęcia, że za pobliskimi skałami siedzi trójka obserwatorów, którzy nie tylko bacznie śledzą każdy jej gest, ale też doskonale słyszą każde słowo.

Gdy tylko drzwi za dziewczyną zamknęły się ze zgrzytem, jeden z obserwujących szturchnął drugiego.

— Patrz, Iggy, udało się... Wpadła kluska do gara, he he.

— Osbskubańcu, wygrasz ten zakład, jak cię mogę.

— Ale przyznasz, mój drogi seledynowy przyjacielu, że zabawa jest przednia.

— Oj tak, oj tak... Powiem jedno, Geedis, ty sukinkocie, udało ci się!

— IIK!

Wszyscy trzej byli uradowani, w końcu miesiąc temu, w trakcie karmazynowego nowiu, niewiele wskazywało na to, że jakikolwiek element z szalonego planu ma szansę się powieść.

Miesiąc temu, w trakcie karmazynowego nowiu

Kraina Ta. Miejsce, w którym harmonia jest niezachwiana dzięki misternie tkanym niciom losu. Barwny gobelin, w którym miłość przeplata się ze zdradą, bogactwo z cierpieniem, a krew bogato rosi krosna żywota, by dobrze ujędrnić wątki. Czy jakoś tak...

Eryk skrzywił się, próbując zebrać myśli. Rutyna, a w zasadzie jej gorsza siostra nuda, powoli wypalała dziury w wyobraźni najsilniejszego z najmężniejszych, dobrego władcy i nieustraszonego woja. Brakowało w tym życiu jakiejś miłej odmiany. Jakiejś draki.

— A taki Tokar?

— Słucham? — Eryk wypadł nagle ze swojego kartonu nicości, w którym jego myśli dryfowały w nieokreślonych kierunkach.

— Tokar. Popatrz na typa, chodzi cały czas wkurzony, nic tylko beczy i zrzędzi. On byłby świetny — rzeczowo ocenił Iggy.

— Ale do czego? — rzekł roztargniony Eryk.

— Nie słuchałeś nas, prawda?

— Nie, nie, skąd, ja zawsze słucham, tylko akurat coś mnie rozproszyło.

— Uzgodniliśmy z Harrym, że najlepszy będzie Tokar. Oczywiście ta blaszana zrzęda nic, tylko skrzeczy, że to nie jego wina, że taką wkurzoną gębę dostał, jak go zrobili, i teraz musi cały czas chodzić taki... wściekły, tak żem powiedział. I że on mówi, że musi nic tylko pizgać rzeczami, bo tak już ma, takiego go stworzyli, a ja gadam, że nie, że dupa tam stworzyli. Jakem Harry, powiadam wam, że Tokara się da zmienić! I dlatego, Eryku, mamy taki plan.

— No ale, powiedzcie mi, chłopaki, jak?

— Normalnie, gadam ci, Eryk, ja mam plana, mam pomysła. I on jest dobry.

— No, powiedz mu, Harry, powiedz, jaki to pomysł!

— Zakochamy Tokara!

— Co? — Eryk zareagował szybciej, niż pomyślał, ale cóż zrobić, pomysł, żeby zmieniać najbardziej nerwowego blaszaka na wschód od Świątyni Mrocznego Ofiarowania za pomocą miłości, to szczyt absurdu.

— No, miłość, wiesz, kumasz, zakochanie, tralala. — Iggy zaczął wymachiwać rękoma tak intensywnie, że aż strącił swojego pokala. Na szczęście szczyny, które popijał, dawno nie stały obok piwa, więc nie była to wielka strata, zwłaszcza w obliczu wielkich czynów i zmian, jakie miały się dokonać na skutek zakochania Tokara.

— Chcecie powiedzieć, chłopaki, że Tokar, ot tak, się zakocha?

— Iiieee tam ot tak, on się zakocha w tej jedynej, która najpierw zakocha się w nim.

— Dobra, Iggy, pokaż mi kobietę, która zakocha się w Tokarze.

— Eryku, potrzymaj mi piwo i patrz.

Iggy pogrzebał chwilę w sakiewce i wyciągnął niewielkie ziarenko, które skrzyło się w migotliwym świetle płomieni ogniska. Tak właśnie wyglądały ziarna miłości. Wystarczył jeden niewielki gest, aby z ich pomocą rozniecić prawdziwy pożar uczuć, tornado namiętności, szkwał zakochania. Tak właśnie działały te małe podstępne kuleczki. Teraz wystarczyło tylko wybrać osobę, miejsce i czas, ale tym zająć miał się ktoś, kto przyszedł na ten świat po to, by robić drakę.

— GEEEDIS, ty sukinkocie, chodź do nas, przysłużysz się sprawie.



Ilustracja: SIDNEYIA

TOMASZ GRODECKI

STWÓR

Conspiracy theories are conspiracy theories, until proven true.

Grabice, 1967.

Dziennikarz obrócił się w fotelu, nie odrywając wzroku od kobiety. Jego palce postukiwały o biurko, delikatnie akompaniując przygrywającej ulewie. Stojący nieopodal kominek wypluwał iskry tańczące niby w rytm tej dziwnej muzyki.

— Mówi pani, że naprawdę go widziała?

Kobieta wzdrygnęła się. Jakby przeszedł ją dreszcz. Na moment zaniemówiła.

— Widzi pan... Wszystko, co panu przekazałam, jest prawdą. Nie mam nic do dodania.

Dziennikarz znieruchomiał. Zdjął kapelusz, odłożył kajet i przysunął się do rozmówczyni. Emanował powagą i spokojem. Powtórzył.

— Czy naprawdę go pani widziała?

Ponownie zaniemówiła. Wybuchła.

— Panie, już panu mówiłam! Jak męża i dzieci kocham! Akurat wracałam z drugiej zmiany. Było późno, wybrałam skrót przez las. A ten stoi przede mną! Miał z dwa metry; zielona skóra, czerwone ślipia! Łuski na ciele! I przechadzał się, jak gdyby nigdy nic! W życiu czegoś takiego nie widziałam! Coś potwornego!!!

Dziennikarz jeszcze na moment utkwił lodowaty wzrok w kobiecie.

— Ktoś poza panią przebywał w tym miejscu?

— Nie, proszę pana. Przysięgam, byłam zupełnie sama!

Sięgnął po notes, po czym dobył kałamarza.

— Dziękuję pani za poświęcony czas. Może już wejść następna osoba.

Na miejscu kobiety pojawił się młody mężczyzna, na oko dwadzieścia, góra trzydzieści lat. To on zaczął dyskusję.

— Panie redaktorze, słowo daję, widziałem Zielonego!!! A z nim był jeszcze jeden, ten drugi!



Ilustracja: Jan Gopal Kowalewicz (jandraws.com)

— Ten drugi?

— Stali naprzeciwko siebie, dwa kolosy, mierzyli się wzrokiem! Słowo daję! Wyrwał drzewo z korzeniami i... i... cisnął w tego drugiego. Nieźle mu się oberwało. Wyglądało to super! A potem... potem ten drugi jak go złapał za karczycho!

Dziennikarz mu przerwał.

— Przypomina pan sobie jakieś cechy szczególne tego... stwora. Jego wzrost...?

— Panie, miał pięć metrów! Nie, dziesięć! A może i jedenaście! A ten drugi, ten drugi, to już w ogóle w kosmos całą głowę! I... i ten Zielony to miał oczy jakby żółte, a może i czerwone. Nie, zielone! Tak, na pewno zielone! Dokładnie jak ten w moim komiksie. Prał po gębie tego drugiego. A ten drugi... No, no już nie pamiętam, szczerze mówiąc.

Dziennikarz siedział w ciszy.

— I… i jak mu przyfasolił z dyńki, to…!

— Dość. Dziękuję panu za poświęcony czas. Następny.

Przed biurkiem stanęła drobna, może dwunastoletnia dziewczynka.

Dziennikarz delikatnie się uśmiechnął. Dzieci nie kłamią. A jak kłamią, to przynajmniej się z tym nie kryją.

— Może pani usiąść.

Traktował ją jak dorosłą. Dziewczynka posłusznie zajęła miejsce.

— Tamtego dnia… była pani sama?

— Nie, była ze mną jeszcze Zosia.

— Ale to tylko pani widziała tego stwora?

— Tak.

Dziennikarz zamyślił się. Dziwiła go dojrzałość i precyzja jej wypowiedzi.

— Więc jak to było?

— Zobaczyłam ślady. Ogromne. Jak u nosorożca. I poprosiłam Zosię, żebyśmy sprawdziły, co mogło je zostawić. Zosia odmówiła. Poszłam sama.

Dotarłam do rzeki. Była burza. Ślady urwały się przy potoku, starałam się przez niego przejść, aż... porwał mnie jego strumień. Sama nie pamiętam. To wszystko działo się tak szybko. Nagle... nagle z wody wyłoniła się dłoń. Była potężna i jakby... zielona. Wyciągnęła mnie na ziemię.

Przez moment widziałam stwora. Powiedział, że ma na imię Zoltan.

Do napisania opowiadania zainspirowały autora komiksy z Zielonym (Swamp Thingiem) oraz legendy o Wielkiej Stopie.

ADAM FROŃ

DWANAŚCIE PRAC STEFANA I RADONA

Dawno, dawno temu, w krainie Ta, leżącej gdzieś między Śródziemiem, Narnią, Odległą Galaktyką, mitologią nordycką oraz grecką a kilkoma dawkami LSD, była sobie gospoda. Gospodę ową prowadził troll, toteż umieszczono ją na moście, jako że most musi mieć każdy troll, nawet taki, który w pewnym momencie postanowił się przebranżowić. Troll zwał się Hermann i tak most, jak i gospoda stanowiły jego dzieło. Most, rzecz jasna, powstał pierwszy — nie da się przecież zbudować gospody w powietrzu nad przepaścią.

Hermann długimi latami zbierał myto, a że był to jedyny w promieniu wielu, wielu mil most spinający Ta Południowe z Ta Północnym, przeprawa przez leniwie płynącą w dolinie rzeczułkę była zaś śmiertelnie nudna, miał pełne ręce roboty. Każdego, kto nie zapłacił, zrzucał w przepaść, a stos cwaniaków urósł już na tyle, że mógł stanowić całkiem atrakcyjną alternatywę dla mostu. Na szczęście Hermann miał nieco oleju w głowie (od czasu przykrego wypadku w dzieciństwie, o którym nie lubił mówić) i stwierdził, że jeśli nie (metaforycznie) kijem, to (metaforycznie) marchewką. A ponieważ trolle raczej nie jadają marchewek — nie toporem, a piwem, ciepłym kątem i tłustą strawą.

Od tego czasu interes kwitł na tyle, że Hermann zatrudnił pomocnika, Geedisa, który to Geedis prawdopodobnie był trollem, ale chyba nie, więc dostawał umiarkowaną stawkę, a czasami też lekkie zmycie głowy, żeby przypadkiem nie postanowił wystąpić o podwyżkę. Byłaby ona — o zgrozo — uzasadniona, bo Geedis uwijał się jak w ukropie, błyskawicznie i perfekcyjnie wykonując każde powierzone zadanie. Czasami Hermann podejrzewał, że jest ich kilku, ale nigdy nie widział więcej niż jednego naraz. A nawet jeśli było ich kilku, dostawali tylko jedną pensję, więc troll był bardzo zadowolony.

Na co dzień w gospodzie, oryginalnie nazwanej „U Hermanna", panował spory gwar. Podróżni z czterech stron Ta przystawali tu w drodze. Nocowali w kwaterach na górnych piętrach, posilali się

pyszną strawą i pili najrozmaitsze trunki. Było to idealne miejsce dla wszelkiego rodzaju kupców, zbuntowanych chłopów, rzezimieszków czy bardów.

A także dla barbarzyńskich herosów, niestety rzadziej niż by Hermann chciał, gdyż nie szczędzili grosza. W Ta barbarzyńskich herosów było dwóch. Zwali się Stefan i Radon. Nieuważne oko jakiegoś przybysza, który ostatnie kilkadziesiąt lat spędził schowany w głębokiej jaskini (i to takiej, do której żaden z nich jakimś cudem nigdy nie zbłądził) mogłoby uznać, że są do siebie bardzo podobni, jednak obaj różnili się jak noc i dzień. Stefan na przykład uważał, że jest największym barbarzyńskim herosem w dziejach. Odmiennego zdania był Radon, przekonany, że to on jest największym barbarzyńskim herosem w dziejach. Obaj, z oczywistych względów, nosili stalowe hełmy. Ten Radona miał rogi skierowane w dół, dla lepszej skuteczności, gdyby trzeba było komuś pociągnąć z byka. Stefan zaś nosił rogi skierowane ku górze. Jak twierdził, było to spowodowane lepszą skutecznością w przypadkach, gdyby trzeba było komuś pociągnąć z byka.

Zapytani, czymże jest ten byk, odpowiadali, że dawno wymarłym w Ta potężnym stworzeniem, większym nawet niż Hermann, gdyby było go trzech. Stefan twierdził, że wydatnie przyczynił się do wyginięcia byków w Ta, toteż młodsi mieszkańcy krainy mogą tego pojęcia nie znać. Nie zgadzał się z nim Radon. Tłumaczył, że niektórzy mogli nigdy byka nie zobaczyć, gdyż on, Radon, przyczynił się kiedyś wydatnie do ich wyginięcia.

Tego pięknego dnia, w którym (przynajmniej na razie) kończy się nasza ekspozycja, a zaczyna historia, gwar u Hermanna w „U Hermanna" był nadzwyczaj wielki. Z dwóch przeciwległych krańców głównej sali dobiegały dźwięki dwóch różnych pieśni naraz, po jednej sławiącej odpowiednio Stefana i Radona. Podzielony mniej więcej po równo tłum przekrzykiwał się zaś takimi argumentami jak:

— Stefan to typ ciężko pracujący, zaś Radon ma większy talent.

— Radon podczas walki opiera się na błyskotliwej technice, Stefan uderza na siłę.

— Radon jest o dwa lata młodszy, więc więcej zostało mu czasu, zanim odwiesi miecz na kołek.

— Stefan potrafi cisnąć mieczem z daleka, by zabić wroga, a Radon zawsze najpierw próbuje wejść mu do paszczy.

— Radon nie ma tak wielkiego ego jak Stefan.

— Nikt nigdy nie zabił w ciągu roku więcej nieumarłych niż Radon.

— Z kolei Stefan w tym samym roku zabił więcej bandytów niż ktokolwiek inny w dziejach.

— Może i Stefan umie walczyć oburącz mieczem, ale jego ręce nie dorównują prawicy Radona.

Argumenty miały na celu w jakiś sposób jednoznacznie zdecydować, który z nich był lepszy, ale im dalej w las, i im więcej kufli rozniósł po sali Geedis, tym bardziej obie strony upierały się przy swoim. Tymczasem dwaj bohaterowie siedzieli przy jednym stoliku, starając się ignorować cały ten gwar.

— Panowie długo zamierzają u nasz zosztacz? — spytał Hermann, podając herosom porządny miód pitny z prywatnych rezerw.

— Ależ Nie! — zakrzyknął Radon. — Plugastwo Rozpanoszyło Się W Ta Południowym I Zmierzam Je Wyplenić!

— Ach Tak? — odparł Stefan. — Bo Ja Właśnie Zmierzam Do Ta Północnego Rozprawić Się Z Plugastwem, Które Się Tam Zalęgło!

— Ach, młodoszcz… — westchnął Hermann, pod ladą rozcieńczając miód wódką dla optymalizacji stosunku kosztów do czasu upicia barbarzyńców.

— Twój Topór Ma Wielki Potencjał, Mój Drogi! — stwierdził Stefan. — Powinieneś Ruszyć Na Spotkanie Przygody. Przeznaczenie Cię Wzywa!

— To Los Nie Chce, By Twój Topór Tak Bezczynnie Wisiał. — Radon nie zgodził się z przedmówcą. — Powinieneś Ruszyć Za Jego Głosem!

— Bo ja wiem… za sztary już jesztem... — zamyślił się Hermann.

— Geedis — szepnął Geedis, trącając go lekko w udo.

Zaniepokojony Hermann spojrzał we wskazanym przezeń kierunku. Rzeczywiście, w ferworze rozmowy z legendarnymi bohaterami nie zauważył, że muzyka ucichła, a tłum niebezpiecznie zbił się w jedną kupę, stojącą niepokojąco blisko herosów. Na wszelki wypadek odpiął paski zabezpieczające drugi topór, który trzymał pod ladą. Mogło się zrobić gorąco.

— Panowie bohaterowie — zaczął jeden, uniwersalnym gestem uległości międlący w dłoniach czapkę. — Bośmy tu z Jontkiem wymyślili taki test, co on by miał raz na zawsze rozwiać wątpliwości...

— Byście się panowie spróbowali na rękę! — krzyknął ktoś z tyłu, zniecierpliwiony przydługawym wstępem.

Barbarzyńscy herosi spojrzeli po sobie. Radon pomyślał, że w dzisiejszych czasach w Ta coraz trudniej o znalezienie wyzwania

godnego największego herosa w dziejach. Ubijanie smoków i innych kreatur już ludziom spowszedniało. W takim wypadku pokonanie drugiego największego herosa w dziejach byłoby świetnym wyczynem, który mógłby być długo sławiony w pieśniach. Odmiennego zdania był Stefan, który uznał pokonanie drugiego największego herosa w dziejach za wyczyn godny sławienia w pieśniach, zwłaszcza w obliczu spowszednienia ubijania smoków i innych kreatur w oczach gawiedzi.

***

Dwa dni później z gospody „U Hermanna" zostało już tylko „U", choć żeby to dostrzec, trzeba by spojrzeć wzdłuż doliny potoku. Ujmując kwestię możliwie delikatnie — gospody nie było, z mostu zostały nędzne resztki, a załamany Hermann postanowił się przebranżowić. Natomiast Stefan i Radon, wciąż nieporuszeni, tkwili w klinczu, a tłum zmęczonych impasem gapiów przerzedził się na tyle, by ukazać złotą postać obserwującą to wszystko z wyrazem niesmaku na twarzy.

— Być może miałbym dla panów interesującą propozycję rozstrzygnięcia sporu — rzekła postać, nie poruszywszy przy tym ani trochę ustami. — Chodzi o dokonanie największych bohaterskich czynów w dziejach — dodała, widząc brak reakcji.

Barbarzyńcy ożywili się natychmiast. Spojrzeli sobie w oczy tak głęboko, jak tylko potrafi największy w dziejach bohater i zgodzili się tymczasowo odroczyć pojedynek na rękę, który obu zdążył już nieco znudzić.

— Słucham! — powiedzieli jednocześnie.

— Zwą mnie Tokar i jestem posłańcem mego pana Zoltana, Z Własnej Łaski Niepodzielnego Władcy Ta Dolnego, Sułtana Ta Jeszcze Niższego i Jaskiń Pomiędzy, Bywającego Raz W Roku Na Wczasach Na Archipelagu Ta Okrężnego. Pan mój proponuje, byście wykonali dla niego dwanaście zadań przewyższających zwyczajnych śmiertelników. Mój pan jest gotów przyznać zwycięzcy tytuł największego herosa w dziejach i górę złota.

— Geedis? — wyraził wątpliwość Geedis, zwracając uwagę, że wspólne wykonywanie zadań nie jest najlepszą formą rywalizacji o taki tytuł.

— Pan mój, Zoltan, zakłada, że tylko jeden z herosów dotrwa do końca tych niebezpiecznych oraz niewykonalnych zadań i to on zostanie zwycięzcą. Gdyby jednak dotrwali obaj, spór zostanie rozstrzygnięty na punkty.

— Geedis.

— Nie, nie ma w tym żadnej sprzeczności, punkty będą przyznawane za styl, siłę i barbarzyńską inwencję. Pierwsze zadanie to wyzwolenie smoka z rąk księżniczki Astrid.

— Geedis?

— Nie, tak tu jest napisane. Jedynowładca Tej Małej Wysepki W Starorzeczu Rzeczki Dzielącej Ta Południowe i Ta Północne, Naprawdę Powinniśmy Byli Nadać Jej Jakąś Krótszą Nazwę Zoltan nie szuka kandydatki na żonę, tylko chce uratować smoka z rąk niegodziwej... no, damy. — Jakimś cudem powiedział na jednym oddechu Tokar.

— Geedis...

— Owszem — powiedział Tokar, otwierając kopertę. Odczytał jej zawartość. — Wężowa księżniczka Astrid od lat więzi tę wspaniałą istotę w zamku na szczycie wulkanu. Na uwolnieniu smoka szczególnie zależy mojemu panu Zoltanowi, jako że stworzenia te są dobrem naturalnym podlegającym w Ta Dolnym szczególnej ochronie. Kilka lat temu księżniczka Astrid miała czelność zejść do podziemi i uprowadzić jednego ze smoków.

***

Pan Podziemi, Książę Gargulców Zoltan spojrzał w kryształową kulę. Choć trochę mu to zajęło — wina pewnie tych sztywnych nóg, które z takim trudem przestawiał — Tokar zdołał odnaleźć herosów i przystali oni na postawione przed nimi wyzwanie. Zoltan roześmiał się złowieszczo, a jego śmiech odbił się echem po całym Ta Dolnym. Wszystko szło zgodnie z planem.

***

— No, To Poszło Nawet Szybko! — stwierdził radośnie Stefan, podrzucając głowę wężowej księżniczki Astrid.

— Kto By Się Spodziewał, Że Mieszka Tuż Obok Gospody! — zgodził się Radon, prowadząc na smyczy buchającego ogniem, wysokiego na kilkadziesiąt stóp smoka.

Gdyby nie była jak wykuta w kamieniu, twarz Tokara na pewno wyrażałaby bezgraniczne zdumienie. Gdy tylko skończył czytać pierwsze zadanie, Stefan i Radon pobiegli, jakby się paliło, przepychając się

i podkładając sobie nogi, żeby tylko zyskać choć trochę przewagi. Nie dalej jak dwa mgnienia[1] oka wrócili w doskonałych humorach i pełnej zgodzie, prowadząc ze sobą gigantycznego smoka.

— Dawaj Następne! — poprosił Stefan.

— Uwiniem Się Przed Obiadem! — zadeklarował się Radon.

Tokar popatrzył na nich z niedowierzaniem. Przecież przynajmniej jeden z nich powinien był postradać życie podczas wykonywania tego zadania. Gdyby miał gardło, przełknąłby dużą gulę.

— Wspaniale. Drugie zadanie to… — suspens zyskał dzięki trudnościom w otwarciu następnej koperty — uwolnienie smoka z rąk Cecily, wężowej księżniczki.

***

Zoltan akurat wrócił do sali tronowej z ogródka, w którym uprawiał nagrobki. Podlewał je płynną siarką i raz na jakiś czas pieczołowicie podszlifowywał, żeby nie rosły zbyt duże. Wciąż nie był w stanie zrozumieć mechanizmu pojawiania się nowych, prawdopodobnie były to samosiejki z już rosnących, dojrzałych sztuk. Ale nie pozbywał się ich. Każdy kolejny cieszył jego oczy.

Szklana kula ukazała mu niezwykły widok. Tokar stał na moście. Wyglądał na zakłopotanego. Ten dziwny malec, Geedis, trzymał na smyczy trzy smoki, a Stefan i Radon biegli w bliżej niesprecyzowanym kierunku.

Szybko im szło. Jeszcze chwila i jego plan wejdzie w kolejny etap. Zaśmiał się złowieszczo.

***

— Piąte zadanie to... — Tokar wydawał się coraz bardziej zdenerwowany, choć wciąż zachowywał kamienną twarz — uwolnienie smoka więzionego przez wężową księżniczkę Sybil.

— Geedis!

— Mały Ma Rację! — stwierdził Radon. — Wszystkie Te Zadania Są Takie Same!

— Nie Będziemy Tak Biegać W Tę I Nazad! — zgodził się Stefan. — Otwieraj Te Koperty!

---

1) Co Tokar uważał za dyskryminującą go jednostkę czasu, gdyż nie posiadał powiek.



Ilustracja: Joanna Widomska

Tokar, który z młodości pamiętał tylko to, że był robotem i że nie odbyła się ona w krainie Ta, zwykle nie miał uczuć. Teraz jednak ogarnął go strach. Dwaj herosi patrzyli na niego bardzo złowieszczo. Co prawda był jeszcze Geedis z czterema smokami, które trzymał na uwięzi, ale cała ta grupa jak do tej pory zdawała się zachowywać względną bezstronność... Ale w razie wybuchu konfliktu nietrudno było się domyślić, po której stronie staną.

Dłońmi, które powinny w tej sytuacji drżeć, Tokar otworzył wszystkie pozostałe koperty.

— Geedis — odczytał zadania Geedis. Był wyraźnie rozbawiony faktem, że dwanaście najtrudniejszych zadań, jakie udało się wymyślić Jego Parszywości, to po prostu uwolnienie dwunastu smoków z rąk dwunastu księżniczek.

Rozbawienia nie podzielali za to Stefan i Radon, którzy w dość dosadny sposób dali temu wyraz. Chwilę później Geedisa i smoki w jeszcze większą wesołość wprawiły nogi Tokara, sztywno sterczące z wąziutkiej rozpadliny. Tokar zaś kalkulował sobie, że spędzenie w rozpadlinie najbliższych kilkuset lat nie było złym pomysłem. Co prawda musiałby na razie odłożyć plany zostania prawdziwym chłopcem, ale zaczynał dochodzić do wniosku, że Zoltan jednak nie będzie w stanie mu pomóc. Na pewno nie po tym, co za chwilę zrobią mu Stefan i Radon.

***

Już pierwsze puknięcie w drzwi wyrwało je z zawiasów i miotnęło o przeciwległą ścianę. Zoltan akurat był zajęty układaniem złego origami, które tym się różniło od zwykłego, że zamiast piękna efektem miały być mrok i terror[2], więc przez chwilę nie zwracał uwagi na szklaną kulę. A pokazywała ona Radona i Stefana ramię w ramię zstępujących w otchłanie Ta Dolnego i wyrąbujących sobie w demonach, trollach i zombiech ścieżkę do wieży Zoltana.

Stanęli więc przed Złym Lordem, gdy ten wciąż zastanawiał się, jakiż sadysta napisał jego podręcznik do origami.

— Bardzo Nie Lubię, Gdy Ktoś Robi Sobie Żarty Z Największego Herosa W Dziejach! Ze Stefana! — krzyknął Radon.

— Największy Heros W Dziejach, Radon, Nie Będzie Marionetką W Rękach Takiego Nikczemnego Krętacza! — dodał Stefan.

Spojrzeli po sobie, zrozumiawszy, co się właśnie stało. Korzystając z chwili pozornej nieuwagi herosów, Zoltan wskoczył na parapet i już miał rozpostrzeć skrzydła, gdy Radon chwycił go za nogę i oświadczył, że tak już nie będzie.

***

W ten właśnie sposób do krainy Ta choć na chwilę powrócił spokój. Rywalizacja Stefana i Radona trwała nadal, ale obaj radykalnie zmienili front. Stefan uważał więc, że to jednak Radon jest największym barbarzyńskim herosem w dziejach, sobie przyznając skromne drugie miejsce. Radon zaś uważał dokładnie odwrotnie. W jednym byli natomiast zgodni. Po ich wizycie z plugawej wieży Zoltana nie został kamień na kamieniu. Barbarzyńcy wykorzystali wszystkie do odbudowy mostu i karczmy „U Hermanna", które tak bardzo ucierpiały w wyniku ich konfliktu. Samej odbudowy dokonał zaś pod ich czujnym okiem Władca Ciemności, Zoltan. By nie uciekł, na wszelki wypadek zakuty w ciężkie łańcuchy.

Tokar zaczął się już powoli urządzać w rozpadlinie, w której postanowił poczekać na lepsze czasy. Uznał, że wystarczy bardzo chcieć, by zostać

2) Póki co wychodził mu jednak pokraczny żuraw, a podręcznik nie wyjaśniał, jak zgiąć papier, żeby wyszedł w miarę przyzwoity sęp.

prawdziwym chłopcem, a inni będą musieli jego wolę uszanować i przestać zwracać uwagę na metaliczne ciało i zastygłą w wyrazie niesmaku twarz.

Co się zaś tyczy niedoszłej armii ciemności, czterech uwolnionych przez herosów smoków doglądał wciąż Geedis. Raz dziennie wyprowadzał je na pastwisko, by sobie pohasały po trawie i polatały trochę po niebie.

Niestety, w zamkach wzniesionych na najwyższych górach w Ta wciąż osiem smoków było więzionych przez osiem niegodziwych wężowych księżniczek, ale Geedis planował poprosić Stefana i Radona o pomoc w ostatecznym rozwiązaniu problemu. To jednak już zupełnie inna historia.



Ilustracja: SIDNEYIA

KACPER KOTULAK

RAPORT Z KONTROLI WSTĘPNEJ: OBIEKT #80-218

Wpadanie na pomysły to niebezpieczne zajęcie. Tym bardziej, że właściwie każdy może sobie ot tak wpaść na dowolny pomysł. Pomysły mają jednak Konsekwencje. I nie chodzi tu o takie zwykłe, codzienne konsekwencje w rodzaju połamania nóg po skoku z dachu lub zdemolowania połowy Teksasu na skutek działalności wyjątkowo złośliwego motyla z Brazylii. Problem w tym, że bardzo mało osób zdaje sobie sprawę, jak wrażliwa potrafi być rzeczywistość i jak wiele zamętu potrafi spowodować każda nieodpowiedzialnie myśląca osoba. Gordon Blitz był jedną z niewielu istot w całym tym szalonym, niefrasobliwym oceanie istnienia, które należycie doceniały skalę problemu. Dlatego też uważał, że wpadanie na pomysły powinno podlegać licencjonowaniu i ścisłej kontroli ze strony właściwego organu, a ostatnio przebąkiwał gniewnie, że w ogóle należałoby zdelegalizować ten cały interes. Może to dość radykalne podejście, ale należy też zrozumieć Gordona. Jego świat był obecnie kłębowiskiem strachu, cierpienia i niewyobrażalnej grozy czyhającej na najmniejszy fałszywy krok. No, ale nikt nie obiecywał, że posada młodszego inspektora w Wydziale Ewidencji i Nadzoru Światów Zmyślonych będzie obfitowała w luksusy, luźne piątki i pakiety multisport.

Wydział Ewidencji i Nadzoru Światów Zmyślonych mieścił się na trzecim piętrze budynku rady miejskiej w Minehead i już samo to nastręczało trudności. Zapytacie dlaczego? Przecież budynek rady miejskiej jest w samym centrum niezbyt zatłoczonego Minehead, a trzecie piętro to nie aż tak wysoko. Problem jednak w tym, że ten akurat budynek miał tylko dwa piętra. Nie przeszkadzało to zupełnie panu Brownowi, dyrektorowi wydziału, który i tak prawdopodobnie nigdy nie opuszczał swojego biura. Zapytacie, jak to w ogóle możliwe, żeby trafić na trzecie piętro dwupiętrowego budynku? To dziecinnie proste — dokładnie tak samo, jak z każdym nieprawdopodobnym

miejscem — wystarczy nie zauważyć, że jest to niemożliwe, zapomnieć, ile budynek ma pięter albo zwyczajnie się zamyślić. Prościzna, prawda? No, a teraz spróbujcie pamiętać o tym za każdym razem, kiedy idziecie do pracy. Rodzeństwo Pevensie miałoby przekichane, jakby musiało wracać z Narnii codziennie o dziewiątej wieczorem. A to i tak był w tej chwili najmniejszy problem Gordona Blitza.

W ścianie budynku przy The Parade otworzyły się drzwi i chociaż był środek lipca, zaś za drzwiami mieściło się najzwyklejsze biuro nieruchomości, powiał przez nie lodowaty wicher. Na ulicę wytoczył się Gordon. Był przemarznięty, przemoczony, ledwo żywy, a nerwy miał w równie opłakanym stanie, co płaszcz. Jeśli zaś mowa o płaszczu, no cóż... To był płaszcz, który zdecydowanie częściej uczestniczył w niebezpiecznych, zapierających dech w piersiach i dość brudnych przygodach niż na przykład w praniu. Gordon powrócił właśnie z Arwrei — wspaniałej krainy barbarzyńskich herosów i krwiożerczych bestii. Krainy stali, śniegu, ognia i krwi...

Arwrea była kłębowiskiem pomyleńców do niedorzeczności wypchanym wszystkim, co bohaterskie, epickie, majestatyczne i legendarne. Mordercze góry przeczące prawom geologii? Proszę bardzo. Bestie, które Karola Darwina doprowadziłyby do obłędu? Całe pęczki. Armie nieumarłych? Ba, niejeden świat nie miałby tylu zmarłych, żeby wyprodukować takie zastępy żywych truposzów. No i jeszcze ci półnadzy herosi, których stwórca obdarzył wyłącznie mięśniami, bronią i gorącym pragnieniem eksterminacji wszystkiego.

Przeszedł przez niezbyt ruchliwą ulicę. Wyciągnął z kieszeni plaster suszonego, bardzo aromatycznego mięsa i bez większego wahania wyrzucił do śmietnika. Po chwili zastanowienia zdjął płaszcz i posłał w ślad za racją żywnościową ostatniej szansy dla wybitnie zdesperowanych. Wszedł do budynku i wdrapał się na schody z idealnie wyuczoną bezrefleksyjnością.

— Dzieńdoberek, panie Gordon. — Staruszek z miotłą przywitał go serdecznym, choć nieco niekompletnym uśmiechem. Pan Demiurdge był najstarszym pracownikiem Wydziału, co nie stanowiło aż takiego znowu osiągnięcia, jako że wydział poza nim i młodszym inspektorem Gordonem Blitzem zatrudniał tylko dyrektora Browna oraz starszego inspektora Oderguya, w którego istnienie Gordon zresztą tak do końca nie wierzył. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że pan Demiurdge śmiało

mógłby być najstarszym pracownikiem w dowolnej instytucji. Do tej pory nie został siłą wysłany na emeryturę chyba tylko dlatego, że systemowi emerytalnemu nie przyszło do głowy, żeby sprawdzać, kto zamiata korytarze na trzecim piętrze w dwupiętrowym budynku w Minehead.

— Dobry, dobry — mruknął Gordon. — Na pewno lepszy od wczorajszego... Miejmy nadzieję. Powie mi pan, panie Demiurdge, nie było tu ostatnio żadnych lodowych olbrzymów, prawda?

— Hm... — Woźny poskrobał się po łysinie. — Nie, osztatnio to nie, o ile dobrze pamiętam. Bo chyba bym zauważył, czo nie?

— Och, z pewnością. Takie mniej więcej ogromne, a w temperaturze pokojowej zostawiają dużo kałuż.

— Ale czoś pan wyglądasz jak osztatnie nieszczęście. Znowu świat sztali, śniegu, ognia i krwi?

Gordon tylko pokiwał głową.

— I chyba żeś pan zgubił płaszcz.

— Śmierdział. — Młodszy inspektor wzruszył ramionami.

— Ano, czoś chyba nadal czuć. Czoś jakby... żesztreszowany kuń.

— Te przeklęte światy zawsze śmierdzą zestresowanymi końmi! — Gordon załamał ręce. — Ale ja ich nie winię. Każde stworzenie o choćby szczątkowej inteligencji byłoby zestresowane!

— Już, już. — Pan Demiurdge pocieszająco poklepał młodszego inspektora po plecach. — Wyglądasz pan na takiego, czo przydałby mu się kubek herbatki, jeśli wiesz pan, czo mam na myszli.

Gordon zaskakująco poprawnie odgadł, co pan Demiurdge miał na myszli i już po chwili siedział w kantorku woźnego, a dłonie przyjemnie ogrzewał mu kubek herbaty o wyraźnym, zachęcającym aromacie sherry. Jak już powiedziano, Wydział Ewidencji i Nadzoru Światów Zmyślonych był dość niewielką instytucją, toteż kantorek stanowił jednocześnie główne i jedyne archiwum. Można by pomyśleć, że posada woźnego nie wymaga nie wiadomo jakich kompetencji, jednak Gordon z uznaniem musiał przyznać, że upchnięcie tylu książek, teczek i segregatorów na tak małej powierzchni obok całej baterii szczotek, wiader i mopów oraz pokaźnego zapasu herbaty — oraz sherry — musiało wymagać nie lada finezji.

— A chciałem być zwyczajnym pisarzem — mruknął melancholijnie Gordon. — Nawet nic specjalnie ambitnego. Takie tam fantasy. Chciałem pisać zwykłe historyjki o krasnoludach, czarodziejach i smokach. Wie pan, „Weird Fantasy Tales" zapłaciło mi nawet dwadzieścia funtów za jeden tekst...

***

Tego dnia Gordon był wyjątkowo podekscytowany. I nawet pal sześć ten czek na dwadzieścia funtów, ale zobaczyć swoje nazwisko na okładce „Weird Fantasy Tales”... Tak. Ta okładka była ważniejsza niż wszystko. Nieważne, że *Czarnoksiężnik z krainy stali, śniegu, ognia i krwi* nie stanowił dzieła literackiego najwyższych lotów, a w zasadzie okazał się dość prostą zrzynką z ostatnich kilkudziesięciu lat heroicznej fantasy. Nieważne, że Gordon wciąż zarabiał na życie jako niewiele znaczący trybik w wielkiej, międzykontynentalnej korporacyjnej machinie. Ważne, że teraz drzwi do sławy wśród takich nazwisk jak Robert Howard, J.R.R. Tolkien i Ursula Le Guin stały przed nim otworem. No, może nie otworem, ale co najmniej szczeliną.

I wtedy zauważył jeszcze jeden list...

Kopertę zaadresowano do „Sz. P. Gordona Blitza, 301 Elm Grove, TA24 6AA Minehead, Autora *Czarnoksiężnika z krainy stali, śniegu, ognia i krwi*. I jeśli wierzyć tej samej kopercie, nadawcą był Wydział Ewidencji i Nadzoru Światów Zmyślonych działający przy radzie miejskiej Minehead. Gordon pospiesznie rozerwał kopertę z łomoczącym sercem. Czyżby jakieś towarzystwo ochrony praw autorskich postanowiło wziąć go na celownik? Jeśli tak, to te dwadzieścia funtów powinien od razu wydać na kawał mocnego konopnego sznura.

Szanowny Panie Blitz!
Z uwagą przestudiowaliśmy pański utwór „Czarnoksiężnik z krainy stali, śniegu, ognia i krwi”.

Dobry Boże — jęknął w duchu Gordon. „Inspirował się” całym mnóstwem pisarzy — sławnych, bogatych i z pewnością obstawionych armią doborowych prawników.

Pański tekst nie umknął naszej czujnej uwadze... bla, bla, bla...

No to koniec. I to wszystko dla dwudziestu funtów i krótkiej chwilki wątpliwej sławy.

W związku z czym pragniemy panu zaoferować posadę młodszego inspektora w naszym Wydziale.

Wróć! Co? Zaproponować posadę? Młodszego inspektora? To chyba naprawdę był najszczęśliwszy dzień jego życia.

***

— To z pewnością był najgorszy dzień mojego życia. — Gordon pociągnął nosem. — To znaczy potem miałem jeszcze wiele gorszych, jak na przykład ten, kiedy wpadłem do groty ognistego gargulca po tym, jak uciekałem przez kilka mil przed hordą głodnych goblinów. I to bez butów! Ale wszystko zaczęło się od tego listu. Od listu i przeklętego opowiadania.

Młodszy inspektor dopił herbatę, odstawił kubek na biurko i wstał.

— No nic, dziękuję za herbatę, panie Demiurdge. Muszę lecieć.

— Powodzenia. Mam nadzieję, że tym rażem trafi się panu jakasz przyjemniejsza krainka.

Lekko podniesiony na duchu dobrym słowem i kubkiem herbaty z sherry Gordon poczłapał do swojego biura. Może faktycznie. Może tym razem dostanie jakiś świat zamieszkały przez wysoko rozwiniętą cywilizację pokojowo nastawionych elfów, które najbardziej na świecie cenią sobie komfort, wygodę i bezkresną uprzejmość wobec nieznajomych urzędników z innego wymiaru rzeczywistości. Oszukiwał się tak przez całą długość ciemnego korytarza. Zabarwiony alkoholem optymizm rozwiał się z chwilą, gdy otworzył drzwi opatrzone swoim nazwiskiem i zobaczył na biurku szarą teczkę. Kiedy rozwiązał sznurek i obrzucił wzrokiem pojedynczą kartkę, resztki jakiegokolwiek dobrego humoru ulotniły się całkowicie. Wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami. Istniały tylko dwie możliwości. Albo nie istniały żadne światy zamieszkałe przez istoty zrównoważone umysłowo, albo ten przeklęty Oderguy faktycznie istniał i był bratankiem pana Browna, więc dostawał wszystkie normalne krainy, a Gordon musiał biegać za tymi niewydarzonymi barbarzyńcami, pradawnymi demonami, szalonymi czarnoksiężnikami i innym plugastwem.

Wiedziony słusznym gniewem, planował wparować bez pukania do gabinetu dyrektora Browna, cała para poszła jednak w gwizdek jeszcze

na korytarzu. Dyrektor Brown nieprzypadkowo pełnił rolę dyrektora — co byłby z niego za dyrektor, gdyby pozwalał ot tak zaskakiwać się w biurze każdemu wściekłemu podwładnemu?

Wyszedłem na lunch. Nie czekajcie na mnie, może mi się zejść bardzo długo.
Naprawdę, wracajcie lepiej do pracy.

Gordon z resztką nadziei szarpnął jeszcze klamkę — może ta kartka to zmyłka. Nic z tego. Przebiegły drań! Chociaż, z drugiej strony... Brown prawie nigdy nie opuszczał biura. Może zamknął się w środku?

Gordon ruszył biegiem przez korytarz i zaraz za zakrętem wpadł na pana Demiurdge.

— Ho ho, dokąd się tak szpieszymy?

— Szukam dyrektora Browna — wydyszał Gordon.

— Ciężka szprawa. — Pan Demiurdge oparł się o miotłę. — Wyszedł.

— Jak? Kiedy? Dokąd?

— Bo ja wim. — Woźny wzruszył ramionami. — Jakosz tak żanim pan żeś przyszedł. Wsztąpił do pańskiego biura, a potem szybko wyszedł. Powiedział tylko, że wychodzi, żeby go nie szukacz, bo i tak nie żnajdziemy i że wróci, jak jakisz tam hiszteryk już szobie pójdzie.

Gordon jęknął. Nie zostało mu chyba nic innego, jak pokornie zająć się zleceniem. Ale to był świat dwunastej kategorii! Aż mu się słabo robiło na samą myśl o tym. Tamta przeklęta Arwrea miała kategorię ósmą, a i tak sprawiała wrażenie świata napisanego na kolanie tylko po to, by główny bohater — barbarzyński heros, a jakże! — miał jakieś w miarę sensowne otoczenie do wymachiwania mieczem. Gordon nigdy nie był w świecie poniżej dziewiątego poziomu. Dziesiątki już były traktowane jako pożałowania godne pomyłki nieopierzonych — albo zwyczajnie beznadziejnych — autorów. A tu dwunastka! No nie...

Ale co mógł zrobić? Kontroler ze skarbówki też na pewno nie był zadowolony, jak kazali mu przeglądać księgi Ala Capone'a. Taki już urzędniczy los. Podszedł do najbliższych drzwi, po chwili gmerania wyjął klamkę i podał panu Demiurdge. Z aktówki wyjął własną, mosiężną, w kształcie gałki. Włożył ją na miejsce tamtej i przekręcił. Zza drzwi powiało ciepłe, pachnące lasem powietrze.

Kiedyś bawił go fakt, że kluczem do innych światów wcale nie jest żaden klucz, tylko klamka. Kiedyś. Teraz wolałby, żeby to była klamka to jakiegoś bardziej sensownego świata...

***

Otworzył oczy. Nie był pewien, co tu robi, ani gdzie w zasadzie jest to „tu". Nie wspominając już o tym, kim właściwie jest. Chociaż, czekajcie... Pulsowało mu w głowie słowo. Brzmiało „Geedis". Czy to mogło być jego imię? Tylko co to znaczy nazywać się Geedis? Czy to dobre imię? Tak wiele pytań... Rozejrzał się wokół. W pobliżu rosło... no, takie duże, rozszerzające się ku górze.

Drzewo? — spróbował Być-Może-Geedis. — Tak, to mogło być drzewo. To słowo brzmiało dostatecznie roślinnie, swojsko... a przy tym odpowiednio dostojnie. Drzewo było naprawdę duże. Nie żeby Być-Może-Geedis widział kiedykolwiek jakieś inne, ale wyglądało na dużo większe od niego. No i na takie, które zdecydowanie wyróżnia się spośród swego gatunku i jest z tego dumne.

Rozejrzał się dokoła. W oddali rosły też inne drzewa. No tak, głupstwem byłoby myśleć, że to tutaj jest jedynym.

Kolejna wątpliwość została rozwiana. Wiedział już, gdzie był. Tutaj. I to tutaj okazało się bardzo dobrym miejscem do obudzenia się i w ogóle bycia. Zawsze lepiej jest być tutaj niż tam. „Tam" za bardzo kojarzyło się z „nigdzie", a „nigdzie" było takie... nijakie. Kilka podstawowych koncepcji rządzących światem miał już zatem ustalonych. I wtedy pojawiło się ono. Pytanie. Ale nie byle jakie. Pytanie, które zawsze pojawia się, kiedy ktoś zaczyna za dużo kombinować i wymyślać jakieś koncepcje. Co jest po drugiej stronie? Być-Może-Geedis wzruszył ramionami i postanowiwszy od razu rozwiązać nową kwestię, podreptał na drugą stronę. To była słuszna decyzja. Tutaj też ktoś się właśnie budził. A nawet kilku ktosiów. Policzył. Jeden... Dwóch. Tak, było ich dwóch. Dwóch zupełnie nowych ktosiów. Byli dość podobni do siebie. Właśnie podnosili się oszołomieni i rozglądali wokół. Biedacy, pewnie jeszcze nawet nie znali drzewa.

— Przepraszam — zagadnął. — Czy któryś z was nazywa się może Geedis?

— Nie przypuszczam — odpowiedział pierwszy. Ten miał więcej włosów, które rosły mu dookoła całej głowy. No i takie śmieszne nakrycie z dwoma

spiczastymi cosiami skierowanymi ku górze. U tego drugiego spiczaste cosie skierowane były w dół. Ciekawe dlaczego. Śmieszna sprawa.

— Wydaje mi się, że jestem kimś w rodzaju... — podjęła istota — hm... legendarnego bohatera. — Spojrzała na długi metalowy przedmiot, który wciąż trzymała w dłoni. — Tak, wydaje mi się, że jestem największym wojownikiem na świecie.

— Ejże! — zawołał ten drugi z cosiami skierowanymi w dół. — To ja jestem kimś w rodzaju największego legendarnego bohatera na świecie!

— A czy mielibyście coś przeciwko, jakbym ja sobie wziął? — wtrącił się Być-Może-Geedis.

— Co? — Obaj odwrócili się gniewnie w jego stronę.

— No, Geedisa?

— Jakiego znowu Geedisa?

— Takie imię.

Ale tamci już nie zwracali uwagi na Od-Teraz-Geedisa. Wydawali się bardzo zaaferowani tą sprawą z jakimś tam największym bohaterem świata. Geedis nie rozumiał, dlaczego się kłócą, skoro najwyraźniej mają wspólne zainteresowania. No i przecież byli tak bardzo podobni do siebie. Nawet obaj mieli podobne długie, metalowe przedmioty. Choć przedmiot tego drugiego bohatera jakby świecił na... no, na drzewno — ale z tej górnej części drzewa.

Skoro nie zgłaszali pretensji do jego imienia, Geedis stracił zainteresowanie nowymi istotami. „Tutaj" po tej stronie drzewa też było całkiem miłe. Nieopodal na ziemi coś leżało. Było chyba nawet rozleglejsze niż drzewo, ale płaskie. I odbijało niebo. Geedis przez jakiś czas smakował słowo „sadzawka". Stwierdził, że można by obejrzeć to z bliska i rozsądzić, czy jest odpowiednio sadzawkowate. Podszedł bliżej i spojrzał na sadzawkę... A sadzawka spojrzała na niego. Cofnął się, lekko zaniepokojony. Zbliżył się raz jeszcze. Z sadzawki spoglądał na niego jakiś stwór. Geedis obszedł sadzawkę dookoła i obejrzał dokładnie. W końcu zaczął chyba rozumieć. Sadzawka, tak samo jak niebo, odbijała też i jego. To było jego odbicie. Jego własne! To takie ekscytujące. Miał już nie tylko imię, ale i odbicie. Przyjrzał się sobie dokładnie. Wyglądał jak coś w rodzaju niedźwiedzia stworzonego przez kogoś, kto nie dość, że nigdy w życiu nie widział niedźwiedzia, to jeszcze większość czasu spędzał pod wpływem narkotyków i psychodelicznych kreskówek z lat siedemdziesiątych. Geedis jednak nie miał pojęcia o narkotykach,

kreskówkach, latach siedemdziesiątych ani nawet niedźwiedziach, ale to wszystko nieważne. Najważniejsze, że to był jego wygląd.

— Gdzie się niby wybierasz? — Geedis usłyszał za plecami głośniejszy okrzyk. Podniósł głowę i spojrzał w kierunku drzewa i tamtych dwóch. Wyczuwał instynktownie, że właśnie staje się świadkiem pierwszej kłótni w swoim życiu. To wołał ten z jasnym owłosieniem dookoła głowy.

— Nie twój interes! — warknął ten drugi ze spiczastymi cosiami skierowanymi w dół. — Ale jak chcesz wiedzieć, to na pewno nie idę szukać mroźnej krainy z takimi dużymi, strasznymi i ziejącymi ogniem.

— O! To ja poszukam!

— Stój! Nie możesz! Ja pierwszy to wymyśliłem.

— Przecież powiedziałeś, że cię nie interesuje.

— Bo to było takie... no, jak mówisz coś na odwrót, żeby ktoś inny pomyślał, że chcesz zrobić inaczej, niż mówiłeś, że zrobisz... Hej! Stój! Dokąd się wybierasz?

— Nie mam czasu słuchać, co mówisz, że zrobisz na odwrót, niż myślisz, że zrobisz! Wolę poszukać lodowych krain z tymi dużymi, strasznymi i ziejącymi ogniem.

— Hej!

Dwaj legendarni najwięksi bohaterowie świata odeszli w kierunku, który ich zdaniem musiał wieść ku lodowym krainom, przekrzykując się, kto ma prawo ich szukać. Geedis na powrót stracił zainteresowanie. Te całe krainy za bardzo przypominały „tam", a poza tym Geedis nie zbadał jeszcze należycie „tutaj" — nie skończył nawet z sadzawką. No właśnie! Sadzawka... Taka niezwykła. Geedis oczarowany spróbował jej dotknąć i... to była pułapka! Jego łapa przeniknęła przez zimną, płynną powierzchnię. Odskoczył natychmiast. A więc to tak! Sadzawka mamiła ładnymi odbiciami, żeby wciągać w zimną głębię nieostrożnych... no, różnych takich.

***

Wieczorem Geedis miał już całkiem nieźle uporządkowany świat. Wiedział na przykład, że jest wieczór. Zidentyfikował różne formy roślinności — trawę, drzewa i krzaczory. Udało mu się również ustalić, że w drzewach od czasu do czasu można znaleźć złocisty, słodki miód, a w krzaczorach jeżyny — chociaż nie należy zapominać

też o kolcach. Zmienił także nazwę koloru drzewnego-ale-od-tej-górnej-części na trawiasty — tak było zdecydowanie prościej. No i na wszelki wypadek trzymał się z daleka od tej całej sadzawki. Na skraju polany pod drzewami było cicho, spokojnie i dostatecznie bezsadzawkowo.

— Psst! — Nagle rozległ się głośny dźwięk z krzaczorów. Geedis aż podskoczył. Idea szeptu była dla niego wprawdzie nowością, ale już poczynił kilka obserwacji. Po pierwsze, szepty to coś zdecydowanie nieprzyjemnego, zwłaszcza takie dobiegające z krzaczorów za plecami i do tego wieczorem.

Geedis na szczęście nie skojarzył tego z szeptem, bo inaczej cały nowy świat musiałby szeptać donośnym, głębokim barytonem.

Geedis bez zaskoczenia zarejestrował, że z krzaczorów wyłoniła się sylwetka pierwszego kogoś w rodzaju największego bohatera świata — tego z jasną brodą — Geedis na poczekaniu wymyślił ten termin, ale wydawał się pasować — i spiczastymi cosiami skirowanymi ku górze.

— Och, to ty. Napędziłeś mi niezłego... No, tego, że włosy się jeżą i w brzuchu się ściska.

Bohater spojrzał na niego bez zrozumienia.

— Stracha! — Geedis musiał przyznać, że był coraz lepszy w odkrywaniu i nazywaniu nowych koncepcji, jednak bohater nadal nie zdradzał choćby cienia zrozumienia. No tak. Pewnie był nieustraszony. — Znalazłeś lodowe krainy i te tam ziejące ogniem? — zagadnął uprzejmie, wracając na bezpieczniejszy dla rozmówcy grunt.

— Nie, ale ja... — zaczął niepewnie tamten. — W innej sprawie. — Wcześniej mówiłeś o takim czymś...

Geedis spojrzał na niego z uprzejmym zainteresowaniem.

— No że ty weźmiesz Geedis dla siebie, skoro my nie chcemy.

— Chodzi o imię?

— O właśnie. A czy myślisz, że ja też mógłbym mieć takie?

— Geedis? — Geedis zmrużył oczy. Nie był pewien, czy chce się dzielić swoim imieniem.

— Nie, inne. Takie... moje. Wiesz, pomyślałem, że jakby ktoś kiedyś chciał śpiewać takie... no, wiesz, takie do śpiewania, o bohaterach i w ogóle, to jakbym miał takie imię, to mógłby śpiewać o mnie. To chyba całkiem bohaterska sprawa, jak ktoś śpiewa o tobie, nie sądzisz?

Geedis zamyślił się. Owszem, miał już cały dzień doświadczenia

w nadawaniu imion, ale to było coś nowego. Czuł, że powinien się postarać.

— Hm... Co powiesz na „Stefan, Jasnobrody Bohater z Cosiami Skierowanymi Ku Górze”

— Wspaniałe! — wykrzyknął nowonazwany Stefan i wyściskał Geedisa. — Jakbyś miał kiedyś problemy z jakimiś strasznymi ziejącymi ogniem, to daj tylko znać.

Geedis przepełniony dumą i samozadowoleniem układał się do snu, kiedy z krzaczorów znów rozległo się głośne „psst”. Kto wie, może to on się mylił i szepty powinny być donośne i zwracać uwagę wszystkich wokół. Tak czy inaczej, Geedis bez większego zaskoczenia stwierdził, że za jego plecami czai się drugi z największych bohaterów na świecie.

— Nic nie mów — westchnął. — Chodzi o te takie do śpiewania? Chcesz, żeby śpiewali o tobie, ale potrzebowałbyś do tego imienia?

— Zgadza się! Skąd wiedziałeś?

— Powiedzmy, że mam już jako takie doświadczenie. Hm... Może „Radon, Bohater ze Świecącym na Trawiasto Metalowym Czymś i Cosiami W Dół”?

— Idealne! Jakbyś miał kiedyś problemy z jakimiś strasznymi ziejącymi ogniem, to daj tylko znać.

Geedis drugi raz tego wieczora dał się wyściskać i podjął kolejną próbę ułożenia się do snu, choć głowę zaprzątało mu parę pytań. Po pierwsze, gdzie ci dwaj znajdą kogoś, kto będzie o nich śpiewał? A po drugie, skąd Geedis weźmie tyle tych strasznych, ziejących ogniem, z którymi mógłby mieć problemy, skoro nawet nie wiadomo było, czy jakiekolwiek straszne, ziejące ogniem w ogóle istniały?

***

Tamtego pamiętnego wieczora Geedis postanowił nazwać cały świat. Nie ze względu na obietnice pomocy przy różnych takich strasznych, ziejących ogniem, ale określanie wszystkiego „czymś”, „tym” i „takimi tam” dosyć szybko eskalowało i niektóre elementy trzeba było nazywać jako „ten taki tam z takimi cosiami”. Co gorsza, okazało się, że podobny opis pasuje do bardzo wielu spraw, ba, nawet do samego Geedisa. Poza tym to, że takie choćby drzewa nie potrafiły wyrazić tego równie jasno, co Stefan i Radon, nie znaczyło, że nie chciały mieć własnych imion. A kimże był Geedis, żeby odmawiać im tak podstawowych praw?

Oczywiście nazwanie każdego najmniejszego kawałka świata osobnym imieniem musi być zajęciem dość czasochłonnym, jednak Geedis w całym tym zamęcie nie pomyślał nawet o takich sprawach, jak system pomiaru czasu i przemijanie. Oczywiście szaleństwem byłoby sądzić, że nikt na całym świecie nie będzie się starzał tylko dlatego, że nikt nie wynalazł jeszcze przemijania. Prawda? Może i tak, ale Geedis zdołał nazwać już wszystkie podstawowe koncepcje, drzewa i kilka kolejnych istot, które pojawiły się pod Drzewem Przebudzeń, a teraz był obecnie w połowie polany — i tak, każde źdźbło trawy, każdy zeschły liść i martwy świerszcz otrzymały własne, niepowtarzalne imię. Zadziwiające, do czego zdolna jest płodna, dziewicza wyobraźnia, gdy dostanie nieograniczone zasoby wolnego czasu.

Geedis zdawał sobie oczywiście sprawę, że jeśli chce poznać cały świat, to kiedyś będzie musiał opuścić polanę, ale póki co rozkoszował się tym prostym życiem, nawet jeśli od dłuższego czasu skupiało się wokół trawy.

Poszukiwał właśnie z nosem przy ziemi miejsca, w którym skończył wczoraj, gdy nagle poczuł uderzenie w głowę.

— Auć — jęknął, zadzierając głowę. Był pewien, że tego płaskiego, drewnianego przedmiotu nie było tu ani wczoraj, ani rano, ani nawet przed chwilą. Od dłuższego czasu już na polanie nie pojawiało się nic nowego, Geedis więc szybko zapomniał o bólu i zastąpił go zaintrygowaniem. Zajrzał na drugą stronę i napotkał na... nogi. Przesunął wzrokiem wzdłuż nich w górę, wiedziony słusznym przeczuciem, że gdzieś ponad nogami powinna być reszta człowieka.

— Dzień dobry. Czy jesteś nową istotą w naszym świecie?

— Tak jakby. Nazywam się Gordon Blitz.

— Gordonblitz?

— Nie. Gordon — tu zrobił przerwę. Był już zbyt doświadczony w tej pracy, żeby dać się wmanewrować w Gordonprzerwablitza albo Gordonodstępblitza. — Blitz.

— To znaczy... — Geedis zmarszczył brwi w zamyśleniu — …że masz dwa imiona?

Gordon Blitz przytaknął.

— Ja jestem Geedis. A wiesz, jak szukałem imion dla innych gości, to też im dawałem takie wieloczęściowe. Na przykład Zoltan, Gargulec Budzący Ściskanie w Żołądku. Ale im na ogół chodziło o te takie do śpiewania. Czy ty też pragniesz, żeby o tobie śpiewano?

— Nieszczególnie. Jestem kontrolerem światów. — Gordon celowo nie uściślił, że zmyślonych. Istoty dość inteligentne, by pojąć taką koncepcję, nie były zbyt zadowolone z faktu bycia zmyślonymi postaciami. I trudno je za to winić. — Chciałbym usłyszeć coś więcej na temat tego nadawania imion innym istotom. — Gordon otworzył teczkę i wziął długopis.

— Och, nie tylko istotom. Z tego, co wiem, obudziłem się tutaj jako pierwszy. I od tego czasu zajmuję się odkrywaniem świata. Nazywam różne rzeczy. Drzewa, słońce, sadzawkę... Na sadzawkę uważaj. Odbicia są fajne. Woda też. Ale ta cała głębokość jest chyba zdradliwa.

Gordon potarł czoło z zafrasowaniem. Było jeszcze gorzej, niż myślał. Obiekt numer 80-218, świat dwunastej klasy, okazał się krainą ledwo co skleconą do kupy i porzuconą przez twórcę na pastwę losu. Losu i tej narkotycznej karykatury niedźwiedzia, która najwidoczniej była kimś pokroju największego mędrca w całym tym cyrku.

— Od dłuższego czasu zajmuję się jednak trawą — podjął Geedis. — Doszedłem już do tego miejsca, a zaczynałem o tam, pod drzewami.

— To znaczy... — Gordon rozważył w myślach pomysł, który wydawał się zbyt niedorzeczny nawet na świat dwunastej klasy. — To znaczy, że nadajesz imię każdej kępce trawy?

— Każdemu źdźbłu — obruszył się Geedis.

— A nie uważasz, że to dość... — Gordon musiał być ostrożny. Wiedział, że nigdy nie należy wchodzić z buciorami w światopoglądy z innych światów. Zwłaszcza, kiedy za każdym drzewem może czaić się horda barbarzyńców z toporami czekającymi tylko na okazję do wymiany argumentów. — Dość pracochłonne. Czy nie wystarczyłoby nazwać jej tak po prostu trawą?

— Ale przecież każdy pragnie się jakoś nazywać. Nawet jeśli nie umie tego wyrazić. Bo inaczej skąd jedno źdźbło wiedziałoby, że jest kimś innym niż drugie. To musi być bardzo smutne tak nie wyróżniać się z tłumu nawet imieniem.

Gordon znów potarł czoło. Nie było chyba najlepszym pomysłem wprowadzanie koncepcji z dziedziny neurobiologii, kognitywistyki i behawioryzmu w świecie, w którym nawet koncepcja zdrowego rozsądku nie była najwidoczniej znana.

— Dobra... — westchnął. — Chciałbym, żebyś pokazał mi to i owo.



Ilustracja: Joanna Widomska

***

Słońce chyliło się z wolna ku zachodowi, oblewając czerwonawym blaskiem rozległą, kamienistą dolinę. W oddali, pomiędzy skałami pobłyskiwało coś metalicznego.

— Więc mówisz, że to nazywa się pustynia? — sapnął zafascynowany Geedis.

Gordon przytaknął. Wpatrywał się w metalowego połyskiwacza, osłaniając oczy dłonią.

— I mówisz, że tu nie ma żadnych roślin? Nawet krzaczorów? A sadzawki?

— Nic — mruknął Gordon. — Na tym polega cała idea pustyni. Jest pusto, rozumiesz?

— Ale są kamienie... I piach.

— Co? — Gordon przerwał obserwację.

— No, jak ja bym zrobił taką pustą pustynię, to bym nie robił w niej absolutnie nic. Bo te wszystkie skały, wydmy to jednak nie jest tak do końca nic.

— Ale też niezbyt wiele. To tylko geografia. Z samą geografią za dużo nie zrobisz. Zwłaszcza taką pustynną. Więc mówisz, że to jest ten Tokar? — Gordon znów zapatrzył się w oddalający się metaliczny poblask.

— Yhm — mruknął Geedis, wciąż bardziej zainteresowany pustynią i tym jak była odmienna od jego polany.

— Co on robi?

— Nie wiem. — Geedis wzruszył ramionami. — Ja im daję tylko imiona, a oni potem idą w świat i zajmują się swoimi sprawami. — Napuszył się, wspominając o nadawaniu imion.

Taaak... Zajmują się swoimi sprawami. Gordon zebrał już nieco notatek na temat mieszkańców tego dziwnego świata i ich codziennych zajęć. Był na przykład taki Hermann — trollowy drwal. Zajmował się ścinaniem drzew. Nie w żadnym konkretnym celu. Po prostu rąbał siekierą od rana do wieczora, pozostawiając po sobie połacie zasłane pozwalanymi pniami drzew. Albo taki Harry, pustynny krasnolud. Ponoć zajmował się opieką nad wążełem. Problem w tym, że prawdopodobnie na świecie nie było żadnych wążełów. Tak przynajmniej konspiracyjnym szeptem twierdził Geedis. Poza nimi istniał jeszcze Iggy, chyba najgłupszy geodeta we wszystkich wymiarach rzeczywistości. Miał zamiar zmierzyć cały świat za pomocą metalowego pręta o długości jednej stopy. Kiedy go spotkali, właśnie zaczynał od nowa po nie wiadomo już której pomyłce w liczeniu. Listę zamykał faworyt Gordona — czwororęki, jednooki goblin Uno, który postanowił spędzić całe życie, siedząc na kamieniu. A warto wspomnieć, że takie idee jak protest czy medytacja jeszcze nie istniały w tym świecie, jako że Geedis ostatnie czterdzieści lat spędził na wymyślaniu imion źdźbłom trawy. Po dwóch tygodniach Gordon już powoli dochodził do wniosku, że w zasadzie nawet lubi barbarzyńskich herosów. Może ich przygody były sztampowe i śmiertelnie przerażające dla normalnego człowieka, ale przynajmniej jakieś były.

Słońce już dotykało horyzontu, gdy Geedisowi i Gordonowi udało się dogonić Tokara. Gordon sam nie wiedział, co powinien o nim myśleć. Z jednej strony powinien być zły, że twórca postanowił bezczelnie przerysować Tokara z *Gwiezdnych wojen,* ale w końcu, jak jeszcze sam próbował być pisarzem, hołdował podobnym technikom światotwórstwa. Ktoś bardzo uprzejmy mógłby taką metodę nazwać „układaniem opowieści z popkulturowych klocków". Gordon jednak bardziej skłaniał się ku porównaniu z bardzo leniwym i średnio rozgarniętym uczniem, który opracował autorski system chodzenia po całej klasie i ściągania podczas klasówki.

— Przepraszam, pan C3... to znaczy Tokar?

Dro... robot nie zareagował. Wciąż zapamiętale maszerował przed siebie. Gordon stłumił myśl o pustynnych handlarzach złomem.

— Czy można wiedzieć, czym pan się zajmuje?

— Idę — odpowiedział krótko Tokar i znów przestał zwracać jakąkolwiek uwagę na intruzów.

— A dokąd, jeśli mogę spytać?

— Tam. — Robot niedbale wskazał kierunek, który można było odczytać jako szeroko pojęte „przed siebie".

— A w jakim celu?

— Bo chcę jeszcze dziś dojść najdalej, jak się da. — Tokar westchnął ciężko, jakby tłumaczył bardzo proste rzeczy bardzo głupiemu dziecku.

— A jutro? — Gordon nie ustępował.

— Nie wiem. — Robot zatrzymał się i spojrzał na niego z poirytowaniem. Chociaż poirytowanie było raczej stałym wyrazem utrwalonym w metalowym obliczu, więc możliwe, że Tokar zamierzał wyrazić co innego. Na przykład gniew, zniecierpliwienie albo pogardę. — Pójdę dalej albo wrócę. Zadowolony pan? Mogę iść dalej? Bo przez was mam opóźnienie.

Gordon wpatrywał się w odchodzącego ku zachodzącemu słońcu Tokara, aż ten stał się małym, irytująco uporczywym w swym dążeniu punkcikiem. Czyżby w tym świecie zupełnie nic się nie działo? Nagle jego zrezygnowany wzrok napotkał na horyzoncie obiekt z kategorii tych, które zawsze zwiastują emocjonujące wydarzenia. Wprawdzie na ogół takie emocje zamykają się w szeroko pojętym spektrum strachu, a wydarzenia oscylują wokół wojny o losy świata, ale był to przynajmniej grunt, na którym Gordon czuł się pewnie.

— Czy to jest mroczna wieża czarnoksiężnika, demona albo władcy zła? — zapytał z delikatnym płomyczkiem nadziei.

— Coś w tym stylu. To wieża Zoltana, Przerażającego Gargulca. Czy o coś takiego ci chodziło?

Oczy Gordona rozjaśniły się, gdy płomyczek nadziei rozbłysnął pożogą podekscytowania.

***

Wieża była naprawdę imponująca. Imponowała rozmiarem, rozmachem architektonicznym, bogactwem wyobraźni w kwestii ornamentów

i wybitną ignorancją, jaką jej twórca musiał się odznaczać w dziedzinie reguł budowlanych. Gordon zaczynał podejrzewać, że grawitacja działa tu bardzo wybiórczo, skoro ta konstrukcyjna abominacja w ogóle trzymała się jeszcze w pionie — a przynajmniej w pobliżu jakiegoś pokręconego krewnego pionu.

Brakowało może spalonych, martwych pustkowi i fosy wypełnionej ogniem, ale i tak wyglądała jak całkiem porządna mroczna wieża. U zwieńczonych klasyczną czaszką wrót stał nawet strażnik. Sprawiał wrażenie, jakby do pilnowania wieży zabrano go prosto ze zlotu maniaków ornitologii. Jego włócznię wieńczyła figurka orła, tak samo zresztą jak i hełm. Prawdopodobnie z tych samych względów do jego twarzy przymocowany był metalowy dziób, choć większość nawet obłąkanych ornitologów popukałaby się w czoło i stwierdziła, że istnieją jednak jakieś granice. To wszystko było tym bardziej fascynujące, że od kiedy pojawił się na tym świecie, Gordon nie zaobserwował jeszcze najmniejszego śladu jakiegokolwiek ptactwa.

— Dzień dobry. Chciałbym porozmawiać z panem Zoltanem. — Nauczony doświadczeniem, doskonale wiedział, że dobrze zbudowany, uzbrojony człowiek nie musi myśleć logicznie, więc niektóre kwestie lepiej pominąć milczeniem i przejść do meritum.

— Nikt nie przejdzie!

— Interesujące... — mruknął Gordon, wyciągając notatnik. — Można wiedzieć, dlaczego?

— Jam jest Erik i nie przejdzie!

— Rozumiem... Jest pan strażnikiem. Czy w wieży są jakieś niewyobrażalne skarby?

Erik jedynie wzruszył ramionami.

— Więc może ktoś usiłuje zgładzić Zoltana?

I znów wzruszenie ramion.

— A czy ktokolwiek w ogóle próbował wejść do wieży?

Reakcja strażnika pozostała bez zmian. Gordon zaczynał podejrzewać, że zakres kompetencji interpersonalnych Erika sprowadza się do wzruszania ramionami i powtarzania, że nikt nie przejdzie.

— To czego pan właściwie pilnuje?

Erik w końcu zareagował. Obrzucił Gordona badawczym spojrzeniem. Inspektor natychmiast przyjął wygląd kogoś, kto wcale nie będzie próbował sforsować drzwi, a tylko zadaje głupie pytania — ot tak dla siebie.

— Wieży — skwitował krótko strażnik i znów zapatrzył się w dal.

— A czy ktoś w ogóle sprawdzał, czy ten cały Zoltan tam w środku jest? Może umarł z głodu?

— Jam jest Erik i nikt nie przejdzie.

Gordon zmuszony był skapitulować. Machnął ręką i dał znak Geedisowi, że czas ruszać dalej. Nie odeszli jednak daleko, kiedy inspektor zatrzymał się nagle, odwrócił i wrócił szybkim krokiem pod wieżę.

— Zaraz! — zawołał. — A czemu właściwie nikt nie próbował wtargnąć do wieży ani zgładzić Zoltana?

Nie trzeba chyba dopowiadać, jak zareagowali Erik i jego ramiona...

— Nie ma tu żadnych bohaterów?

— Jam jest Erik, pilnuję wieży.

— Zaraz... — Przycupnięty nieopodal Geedis podrapał się za uchem. — Są bohaterowie. Nawet dwóch. Szukali lodowych krain i takich wielkich, strasznych ze skrzydłami.

— I dopiero teraz mi mówisz? — Gordon wyrzucił ręce ku niebu. — Prowadź do tych lodowych krain.

***

Wyobraźcie sobie taki wielki, ale naprawdę wielki (prawdopodobnie kulisty) głaz zawieszony na krawędzi przepaści. A teraz wyobraźcie sobie kamyczek wielkości paznokcia z małego palca. Śmieszna drobinka, prawda? Nie warto sobie nią nawet zawracać głowy, kiedy ma się taki kamulec na krawędzi przepaści. A teraz wyobraźcie sobie tę nędzną namiastkę porządnej geologii we wnętrzu buta.

Do buta będącego głową Erika — i jest to zadziwiająco trafna metafora — wpadł właśnie taki kamyczek. Od ścian czaszki odbijało się pytanie: „Czy ktoś sprawdził, co jest w wieży?". No właśnie. A jeśli nikt nie sprawdził? Erik tego nie widział. Od kiedy pamiętał, zajmował się wyłącznie pilnowaniem. Ale czego? No, wiadomo, że wieży, lecz wszyscy wiedzą, że wieża jest w zasadzie takim opakowaniem tego czegoś, czego naprawdę się pilnuje. Czymkolwiek to jest. No właśnie, ale czym właściwie jest to cokolwiek? I czy w ogóle jest czymkolwiek? Czy Erik wyjdzie na skończonego durnia, jeśli okaże się, że Zoltan nie żyje? Albo, co gorsza, nigdy go nie było?

I tak jeden mały, diablo przebiegły kamyczek wątpliwości wywołał lawinę pytań — i to takich egzystencjalnych, biorąc pod uwagę cel

życia Erika. Doprowadzony niemal do obłędu strażnik przełknął ślinę, z łomoczącym szaleńczo sercem złapał za klamkę i przekręcił.

***

Tkwił w tym dusznym, głuchym mroku już od nie wiadomo jak dawna. Zdarzało się, że tracił zupełnie nadzieję, ale wtedy nie zostawało mu nic innego, jak poszukać jej z powrotem. I tak nie miał nic innego do roboty. Wszystko wskazywało na to, że jest skazany na wieczność w tym więzieniu.

I wtedy nagle ciszę przeszył zgrzyt i w nieprzeniknionej ciemności pojawiła się szczelina jasności. Szczelina z jękiem rozszerzyła się do pełnego prostokąta dziennego światła. To nic, że przesłonięty był jakąś sylwetką. Zoltan zerwał się i rzucił rozpaczliwie w stronę drzwi. Odepchnął tego złośliwca stojącego w przejściu i wypadł na zewnątrz, zachłystując się świeżym powietrzem i nagłym poczuciem wolności. Jasne, znał ją kiedyś, ale było to tak dawno, że niemal zupełnie zapomniał. Śmieszne, miał niemal pewność, że wtedy nie smakowała aż tak wyśmienicie.

Niewiele myśląc, wzbił się w przestworza. O, cudowna wolności! W końcu mógł zająć się sianiem terroru i zniszczenia. Teraz wystarczyło tylko zdecydować, czy zacząć od terroru czy zniszczenia i znaleźć kawałek żyznej ziemi, której można by narzucić swoją tyranię, budząc powszechny lęk i grozę.

Obiecał też sobie, że w przyszłości zgłębi dokładnie prawidła budownictwa wieżowego ze szczególnym uwzględnieniem tego dziwnego mechanizmu, który pozwala wchodzić i wychodzić.

***

Tak, te posępne mroźne pustkowia wyglądały niewątpliwie znajomo. I obiecująco. Jeśli gdziekolwiek miało dziać się coś szaleńczo niebezpiecznego i zapierającego dech w piersiach, to tylko tutaj. Oczywiście były też niedogodności — nic zaskakującego, to co zwykle. Gordon ciasno owijał się marynarką w płonnej nadziei na choćby szczątkową izolację od przenikliwego, lodowatego wiatru. Co ciekawe, Geedis maszerował raźno, nie zwracając uwagi na warunki. Może to kwestia futra, Gordon jednak

pomiędzy szczęknięciami zębów wysnuł teorię, że ten radosny, beztroski drań nie wymyślił jeszcze koncepcji marznięcia.

— O, tam! — zawołał w końcu przewodnik. Wskazywał łapą coś, co wyglądało na dobrą sprawę jak ośnieżona skała.

Gdy podeszli bliżej, okazało się, że skała przypomina raczej posąg. Posąg mężczyzny odzianego jedynie w skórzane buty, przepaskę biodrową, pelerynę i rogaty hełm — słowem: doskonały strój dla bohatera zamieszkującego krainę, której warunki atmosferyczne sprowadzają się do różnych stadiów mrozu. Niejaką ochronę przed zimnem mogła stanowić bujna, płowa broda, ale Gordon dobrze wiedział, że względy termiczne wcale nie były tutaj motywacją.

— P-p-pan S-Stefan? — wyszczękał inspektor.

Posąg powoli odwrócił głowę.

— Jam jest — odrzekł głębokim barytonem. Zapowiadało się coraz lepiej.

— P-p-podobno j-jest p-pan boh-haterem?

— Największym bohaterem świata — poprawił Stefan.

— A m-można w-wiedzieć, cz-czym b-bohaterskim p-pan się obecnie z-zajmuje?

— Poszukuję dużych, strasznych i ziejącym ogniem.

— M-ma p-pan na m-myśli smoki?

Stefan obrzucił Gordona przytłaczającym, kilkutonowym spojrzeniem, ale inspektor był na to przygotowany. Dobrze wiedział, że procesy myślowe barbarzyńskich herosów na ogół przypominają ruchy górotwórcze.

— Smoki... — Bohater smakował przez chwilę słowo. — Tak, możliwe, że chodzi właśnie



Ilustracja: Natalia Anna Zalewska

o smoki. — W końcu zdecydował, że brzmi dostatecznie groźnie, łuskowato i ogniście.

Przycupnięty obok Geedis być może poczułby ukłucie zazdrości — w końcu to on miał nazwać cały świat, ale po pierwsze, jedyne ukłucia, jakie znał, to ukłucia jeżynowych kolców, a poza tym już od jakiegoś czasu kiełkowała mu w głowie idea przyjaźni, która w dziwny sposób zabraniał gniewać się na przyjaciół.

— A m-można w-wiedzieć, ile p-pan już z-zgładził?

— Licząc do tej pory...

***

— ...to jeszcze żadnego — przyznał Radon.

Gordon normalnie pomyślałby, że to *deja vu*, ale spodziewał się dokładnie takiej odpowiedzi. Po niezbyt satysfakcjonującej rozmowie ze Stefanem wywiad z bohaterską konkurencją w osobie Radona był w zasadzie formalnością. Wyglądało na to, że cały czas, który Geedis zmarnował na zajmowanie się źdźbłami trawy, Erik na stanie pod drzwiami, a Uno na siedzenie na kamieniu, słynni barbarzyńscy herosi, o których miano śpiewać te takie do śpiewania, bezczelnie zmitrężyli na czcze wypatrywanie smoków. Smoków, o których nikt w tym świecie nawet nie słyszał. Ba, w tym świecie nikt najwyraźniej nie słyszał o niczym poza kretyńskim marnowaniem czasu na bezsensowne zajęcia.

— Dobra! — krzyknął Gordon, ciskając notes w zaspę i zupełnie zapominając, że przemarzł do żywego. — Ja się poddaję! To wszystko nie ma zupełnie żadnego sensu. Wracam do domu.

Obrócił się na pięcie i odszedł, mamrocząc pod nosem o panu Brownie i tym, co może zrobić ze światami niskiej kategorii. Ktoś, kto usłyszałby owe mamrotania, z pewnością zdziwiłby się, jak pojemny musi być przewód pokarmowy pana Browna. A zwłaszcza jego dolna część.

***

Ciskanie notesu w zaspę, odwracanie się na pięcie, a już zwłaszcza odchodzenie w mrok, nie było najmądrzejszym pomysłem. Oczywiście w mroku nie czyhały żadne zębate niebezpieczeństwa. Jedyne, czego można się było tu nabawić, to śmiertelna nuda. W końcu odkrywaniem

i nazywaniem koncepcji zajmował się misiowaty stwór rodem z narkotycznych snów hipisa uzależnionego od kreskówek, a to powinno dawać obraz tego, które koncepcje już istniały, a które nie. Nikt na przykład nie zdawał sobie w ogóle sprawy, że można dokonać czegoś takiego jak zgubienie się. Wszyscy przecież doskonale wiedzieli, gdzie są i dokąd chcą trafić, więc po prostu tam trafiali. Tak działał świat. Problem w tym, że Gordon doskonale wiedział, jak należy się gubić, a do tego nie miał pojęcia ani gdzie jest, ani dokąd chce trafić. Podręcznikowe zagubienie.

Niech to jasny szlag! Przeżył już przecież tyle mroźnych krain północy. I to z krwiożerczymi bestiami, krwiożerczymi demonami, krwiożerczymi czarnoksiężnikami i barbarzyńskimi herosami — jeszcze bardziej krwiożerczymi niż reszta razem wzięta. I na co mu przyszło? Zamarznie na lodowym pustkowiu, na którym nawet nie ma smoków. Ba, smoków... Nie było również potulnych i nieco głupkowatych zwierząt, którym można by rozciąć brzuch, żeby ogrzać się w środku. Zresztą Gordon nie miał nawet scyzoryka, a takie wybebeszanie niewinnych istot jego zdaniem kwalifikowało jednak do leczenia w zakładzie zamkniętym.

Poczuł, że dłużej nie da już rady. Musi usiąść. Chociaż na chwilę. Choćby w tej przytulnie wyglądającej zaspie.

***

— Gooordon! — Wołanie niosło się donośnym echem ponad mroźnymi pustkowiami. Szukanie było dla Geedisa zupełnie nowym doświadczeniem, ale dziwne wewnętrzne przekonanie podpowiadało mu, że wykrzykiwanie imienia zaginionego przyjaciela może w jakiś sposób pomóc. Nagle w jego głowie pojawił się błyskotliwy plan.

— Gdzie jesteś? — zawołał. W końcu Gordon mógł nie wiedzieć, o co chodzi Geedisowi, a teraz przynajmniej powinien odpowiedzieć. — Gooor... — Geedis urwał, gdy uderzył go gwałtowny podmuch wiatru. Pustkę nocy rozdarł ogłuszający ryk. Gwieździste niebo przesłonił ogromny, skrzydlaty cień. Gdzieś daleko stąd dwa barbarzyńskie serca zabiły mocniej z podniecenia. Równie daleko stąd, ale w drugą stronę skulony w zaspie Gordon Blitz z pewnością podskoczyłby z radości, a może nawet odzyskał wiarę w sens swojej pracy, ale niestety akurat był mocno zajęty zamarzaniem na śmierć.

Smok przeleciał nad Geedisem i szybko zniknął w oddali. Geedis wzruszył ramionami. Jego smoki nie obchodziły, miał przyjaciela do odnalezienia.

Naraz dostrzegł w oddali... światło? Ale skąd takie ciepłe, gościnne światło na lodowych pustkowiach? Niewiele myśląc, potruchtał w jego kierunku.

***

Gordon śnił. Siedział w ciasnym, pachnącym kurzem kantorku pana Demiurdge. W piecyku radośnie trzaskały polana, a on ściskał gorący kubek, mocno pachnący sherry. W jego sytuacji mógł oczywiście wyśnić sobie cokolwiek — niebiańskie haremy, pokarmy i napoje bogów, nieludzkie rozkosze duszy i ciała... Ale kantorek pana Demiurdge był pod każdym względem doskonały. Było ciepło, sucho, przytulnie i bez najmniejszej oznaki kretyńskich goblinów, dla których celem życia jest siedzenie na kamieniu.

Nagle Gordon poczuł, że ktoś go szarpie za ramię.

— Hej, hej! Chłopcze — rozległ się znajomy głos. — Nie szpimy, wsztajemy!

Spojrzał pytająco na pana Demiurdge. Woźny uśmiechnął się tylko tajemniczo i rozpłynął w mroku razem ze swoim kantorkiem, piecykiem i tym cudownym kubkiem herbaty z sherry. Gordon jęknął i otworzył oczy. Pochylała się nad nim znajoma, zatroskana twarz.

— No, no — mruknęła. — Aleś siem pan urządził, panie Gordon. Kto to widział tak gubicz siem na takim mrozie? I to beż płaszcza...

Pan Demiurdge pokręcił głową. Nachylił się, dźwignął bez większego wysiłku bezwładne ciało Gordona i przerzucił sobie przez ramię.

— Chodź, mały — rzucił do Geedisa. — Trza siem żająć twoim kumplem.

***

Tym razem trzaskające wesoło polana, gorący kubek i oszałamiający aromat sherry nie były senną wizją umierającego. Na pewno. Gordon jeszcze nigdy tak nie szczękał zębami we śnie. Dzwoniąc o krawędź kubka, pociągnął porządny, rozgrzewający łyk. Geedis siedział obok i chłeptał mleko z talerza, a pan Demirdge przypatrywał się Gordonowi z troską.

— Wiesz już pewnie, chłopcze, jaki jeszt problem ż tym biednym światem? — powiedział w końcu, gdy szczękanie gordonowych zębów zmalało do stopnia, który pozwalał mieć nadzieję na odpowiedź.

Gordon skinął głową.

— T-tu n-nic się n-nie dzieje. Z-zupełnie n-nic.

— Bingo. A wiesz dlaczego? — Pan Demiurdge schylił się i pogłaskał Geedisa. Gordon zastanawiał się chwilę, ale w końcu skapitulował i wzruszył tylko ramionami.

— Tu nie ma żadnej hisztorii. Nikt nigdy żadnej nie sztworzył. Ten wsztrętny drań wymyszlił tylko ten świat, tego tu Geedisza i kilku takich tam, a potem beżczelnie porzucił.

Gordon zauważył, że zawsze spokojny i pogodny pan Demiurdge zacisnął w gniewie pięści.

— No, ale to nie twoja wina. — Staruszek znów przywołał uśmiech. — Ale mógłbysz pomócz. Pamiętasz naszą osztatnią rożmowę. Opowiadałesz mi, że pragnąłesz tylko tworzycz hisztorie.

Chłopak kiwnął niepewnie głową.

— Chciałbym, żebyś sztworzył opowieszci dla tego świata. Żoształ jego narratorem. Ten tu Geedisz ż pewnością ci pomoże. Żdaje siem, że jeszt kimś w rodżaju tutejszego mędrca. I chyba siem kumplujecie?

Gordon siedział z otwartymi ustami. Zapomniał o wszystkim — o zimnie, o szczękaniu zębami, a nawet o herbacie. Spojrzał oszołomiony na Geedisa, który szeroko uśmiechał się pyskiem białym od mleka. On — Gordon, narratorem całego świata? Mógłby tyle zrobić... Zająć się Tokarem, Erikiem, a nawet Uno. No i przede wszystkim tamtymi dwoma — Stefanem i Radonem. Uśmiechnął się na samą myśl. O, tak. Opowieści dla barbarzyńskich herosów miałby pod dostatkiem. Smoki to dopiero początek. Nagle jednak uśmiech osłabł.

— Oczywiszcie, musiałbyś przenieść siem tu na ształe. Światy potrzebują narratorów czały czasz, a nie tak tylko ż doszkoku. Ale pomyśl, czały świat tylko dla ciebie? Czy nie o tym marzą młodzi, aszpirujączy piszarze?

Gordon zastanowił się, co z jego dotychczasowym życiem. Wszystko porzucić? Ale ziarno zostało już zasiane, a z drugiej strony nie było też znowu nie wiadomo ile do porzucania...

***

Gordon razem z Geedisem wychodzili już z kantorka, gdy chłopak odwrócił się jeszcze.

— Panie Demiurdge...

— Szłucham?

— Kim pan właściwie jest? Bogiem?

— Och, nie. Jesztem zwyczajnym woźnym. Woźnym światów. Przecież ktosz musi dbać, żeby ta czała zwariowana rzeczywisztość miała jakiś porządek.

Gordon kiwnął niepewnie głową. Pracował w tej branży już tak długo, że nic nie powinno go zdziwić, a jednak...

Drzwi zamknęły się za nimi i rozpłynęły w powietrzu, pozostawiając skrzący się w słońcu śnieżny bezkres.

— To co, Geedis — zagadnął Gordon. — Może na początek pomyślimy o paru smokach dla naszych bohaterskich przyjaciół? To wstyd, żeby dwóch takich chłopów tyle czasu marnowało bez zajęcia godnego prawdziwego barbarzyńskiego herosa.

— A wiesz — odparł Geedis — kiedy wczoraj cię szukałem i zanim spotkałem pana Demiurdge, to taki jeden przeleciał mi nad głową.

— No, proszę. — Nowy narrator świata roześmiał się gromko. — Wygląda na to, że ta kraina już mnie polubiła.

Geedis uśmiechnął się i zanotował w pamięci: „Ta kraina... ta kraina, Kraina Ta". Stwierdził, że całkiem ładnie brzmi. Jego przyjaciel naprawdę miał talent. Nie mógł się już doczekać tych opowieści, które ułoży.

DANIEL FIEDCZAK

POTYCZKA O JAJA

Wąż pełzł powoli w kierunku trzcin porastających brzeg rzeki. Wiedziony zapachem, wiedział, że znajdzie tam jeden ze swoich ulubionych przysmaków — jaja pospolitego w tych stronach wodnego ptaka. Rozdwojonym językiem nie wyczuwał obecności samicy. Minimalne tło, owszem, było, ale zapach niejako się rozrzedził. Widać matka nieszczęsnych jajek udała się na polowanie albo sama padła ofiarą większego łowcy.

Pełzł dalej, a zapach jaj stawał się coraz wyraźniejszy. Przedarł się przez gęsto rosnące trzciny i przed nim pojawił się nieduży piaskowy obszar. Pośrodku stało niewielkie gniazdo. Szybko zaczął ku niemu pełznąć. Był coraz bliżej i bliżej.

Zatrzymał się i uniósł łeb nad gniazdem. Kilka razy wypuścił język. Wyczuł coś dziwnego. Jakiś niepokojący zapach. Usłyszał coś i odwrócił łeb. Na jakąkolwiek reakcję było już za późno.

***

— Ładnie, ładnie — mruknął basowym głosem Harry, zbierając jajka do skórzanej torby.

Łowy śmiało mógł uznać za udane. Nie dość, że złapał ze swoim pupilem sporego węża, to jeszcze dietę wzbogacą jaja. Dziś wiele rzeczy jest w cenie.

Harry często wracał myślami do dawnych czasów. Pamiętał jak przez mgłę, że jedzenia było jakby nieco więcej. Przede wszystkim zwierzyna występowała częściej i obficiej. Wszystko zmieniło się w momencie, gdy Zoltan podstępem przejął władzę nad krainą Ta. Przepędził prawowitego władcę Stefana, a z dwóch najważniejszych doradców zrobił swoje marionetki. Erika zmienił w posłusznego mu człeko-ptaka, Tokara natomiast w metalowego człowieka; pozostawił mu inteligencję, a wręcz rozwinął ją do czynienia zła. Obydwu pozbawił przy tym wspomnień, by nie próbowali się buntować.

Prawowity władca nie załamał się jednak i od samego początku starał odzyskać władzę nad krainą. Zoltan wydawał się tym nie przejmować. Myślał, że w swojej Katedrze jest bezpieczny. Nie bał się ludu, ten był zbyt słaby i praktycznie nieświadomy własnej siły. Nie był nawet świadom sytuacji, w jakiej się znalazł. Zoltan sprytnie oszukiwał, mamiąc podarunkami, które lud sam sobie wyprodukował i zbierał.

Keksalo owinął się wokół Harry'ego i uniósł swój orli łeb ku jego twarzy. Widać, że był głodny. Jaskiniowiec wyciągnął z torby jedno jajo i dał swemu pupilowi. Ten połknął zdobycz w mgnieniu oka.

Ruszyli przed siebie w kierunku lasu. Jednego z niewielu, które ostały się po opanowaniu krainy przez (jak to określali Harry i jemu podobni) Złośliwego Gargulca. Wycięto wiele lasów, nikt jednak nie był wstanie powiedzieć, na co poszły tony drzewa. Nikt nie widział stawianych nowych konstrukcji: czy to mieszkalnych, czy chociażby mebli.



Ilustracja: StandardDeviation2

Gdyby o losie decydowała pogoda, nie powinno stać się nic złego. Niestety w krainie Ta od niepamiętnych czasów funkcjonowało takie porzekadło: „Gdy coś idzie zbyt dobrze, wynik będzie zły". Harry nie znał go z racji bycia na półdzikim, ale nie oznaczało to, że go nie dotyczyło. Wręcz przeciwnie. Inne powiedzenie głosiło, że nieświadomi dostają od losu najmocniejsze baty.

Potwierdzeniem niniejszej teorii stał się fakt, że znikąd pojawił się Iggy, mały wredny stwór o nieokreślonej przynależności gatunkowej (której nie był pewny nawet Zoltan). Na jego ramieniu wisiał skrzydlaty wąż, równie wredny co właściciel. Pojawienie się Iggy'ego zawsze oznaczało

kłopoty, o czym Harry miał okazję się przekonać już kilkukrotnie. Zazwyczaj wychodził z konfrontacji zwycięsko, ale musiał potem się przenosić w inny rejon, by żołnierze go nie zabili.

Jaskiniowiec do inteligentów nie należał, ale zmysł kojarzenia faktów miał nad wyraz rozwinięty. Zauważył, że wredny karzeł zawsze obwąchuje torbę, widać węch to jego najsilniejsze narzędzie. Do tego zawsze się przy tym oblizywał. Pewnie nie karmiono go zbyt dobrze i za cel wziął sobie okradanie frajerów.

— A co tam macie, prymitywie? — Iggy niebezpiecznie zbliżył się do Harry'ego. Zwierz na jego ramieniu chciał złapać torbę, ale Keksalo syknął groźnie. Speszony zwierz cofnął się, lecz nie zamierzał odpuścić.

Harry nie odpowiedział na zaczepkę. Przecież nie należał do inteligentów, by polemizować. Prawdę powiedziawszy, czekał jedynie na okazję do przejścia na ulubiony poziom dyplomacji — krótko mówiąc: do konfrontacji na mordobicie. Ta nadeszła szybciej, niż się spodziewał.

Iggy ani myślał negocjować. Zerwał torbę z ramienia jaskiniowca. Harry wyprowadził cios i trafił przeciwnika w głowę. Ich pupile rzuciły się na siebie. Rozpoczęła się bijatyka.

***

Harry i Iggy nie mieli pojęcia, że w czasie ich potyczki skórzana torba, w której znajdowały się zarówno jajka, jak i truchło węża, została bezczelnie zabrana. Gdyby byli bardziej uważni, zauważyliby, że nieopodal miejsca potyczki ukrywa się wiecznie uśmiechnięty Geedis. Ten oddalił się cichaczem i ukrył w gęstej zarośli, gdzie rozerwał torbę i zaczął wyjadać zawartość. Nim Harry i Iggy się zorientują, nie pozostanie po nim nawet ślad.

Skoro o sympatycznym Geedisie mowa, warto na koniec zaznaczyć, że stwór ten przyprawiał o zakłopotanie wszystkich w krainie Ta i poza nią. Zarówno poplecznicy Zoltana, jak i Stefana nigdy nie zdołali ustalić, czy jest on zwierzęciem, czy też istotą rozumną. Z całą pewnością można było uznać go za inteligentnego stwora, o czym świadczyła umiejętność wykorzystywania okazji, takiej jak ta opisana powyżej.

WOJCIECH SZCZERBAKOW

INCYDENT 2754

Od autora: Przy pisaniu opowiadania słuchałem jednego zapętlonego utworu. Pozwolił mi stworzyć klimat oraz pójść w opisach dalej niż zwykle. Drogi czytelniku, polecam Ci bardzo, byś podczas lektury odtworzył w tle tę samą muzykę, która zainspirowała mnie.



Link do utworu pod kodem QR.

6/11/1942 Tajne/tajne/tajne.

Poniższa depesza została przechwycona i rozszyfrowana 31 października 1942 r. przez wywiad SIS i przekazana SOE i OSS 2 listopada 1942 r.

31/10/1942

13. oddział SS-Totenkopfstandarte dotarł do Katedry św. Magnusa w Kirkjubøur. Aparatura przygotowana. U-524 czeka w gotowości 10 mil od brzegu. Przekazać Führerowi, że rytuał rozpocznie się zgodnie z planem. Spodziewać się ponownego kontaktu po próbie otworzenia wrót.

Sturmbannführer Karl Lindemann

Prezydent nakazał zmobilizować oddział specjalny OSS i wysłać go na Wyspy Owcze. Spodziewać się silnego oporu.

Sturmbannführer Lindnemann krążył spokojnie przed ruinami Katedry św. Magnusa, patrząc na ostatnie promienie słońca przebijające między wzgórzami sąsiedniej wyspy. Gdzieś na południu błyski zwiastowały nadejście burzy.

— Kiedy kończycie, profesorze Blumenfeld? — spytał Lindenmann.

— Odkryliśmy już znaki na posadzce wskazujące na poprawną kolejność symboli — odpowiedział niski łysiejący człowieczek. Niegdyś doskonale skrojony tweedowy garnitur sprawiał wrażenie, jakby okrywał żywy szkielet. — Za trzy godziny powinniśmy podjąć pierwszą próbę otwarcia wrót.

Dobrze, pomyślał Lindenmann. Führer oczekuje wyników.

Rozpoczęta niecały tydzień druga bitwa pod El Alamein była ryzykiem. Afrika Korps znajdowało się w posiadaniu trzech z sześciu artefaktów dających przewagę paranormalną wojskom III Rzeszy. Jeśli Brytyjczycy zdobędą te artefakty pod El Alamein, a Sowieci odeprą atak na Stalingrad, Rzesza upadnie w ciągu trzech lat.

Lindemann był dowódcą tajnego 13. oddziału SS-Totenkopf i jego zadanie polegało na pozyskiwaniu na wszelkie sposoby magicznych artefaktów mających zapewnić III Rzeszy zwycięstwo w wojnie. Pół roku wcześniej natrafił na niedokończoną pracę żydowskiego naukowca dotyczącą Ludu Ta. Zdaniem tegoż na Wyspach Owczych w ruinach świątyni znajduje się jedna z sześciu porozrzucanych po Ziemi bram prowadzących do innego świata, świata mocy. Naukowcem tym okazał się profesor Eliasz Blumenfeld. Gdy Lindemann w końcu go znalazł, Blumenfeld od roku był więźniem Auschwitz. Na osobisty rozkaz Himmlera zwolniono go i wydano Lindemannowi.

— Kończymy montaż urządzeń von Brauna. — SS-man usłyszał zza pleców. — Blumenfeld skończył wprowadzać listę symboli.

— Dobrze Weiss, już idę.

Obersturmführer Johann Weiss był zastępcą Lindemanna i jego osobistym asystentem. Lindemann doskonale wiedział, że Weiss planuje pozbyć się zwierzchnika. Chora ambicja Weissa bawiła go, więc pozwalał swojemu zastępcy na całą tę gierkę. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, osobiście powiesi Weissa, jego żonę i czwórkę dzieci.

Lindemann wszedł do świątyni. W centralnym punkcie otwartych ścian ruin w okręgu stało pięć identycznych urządzeń. Każde z nich było wieżą wysokości około dwóch metrów, na której szczycie zamontowano

wypolerowane metalowe sfery. Z dołu każdej wychodziła czarna rura prowadząca w dół i okrążająca spiralnie wieżę, aż do posadzki. Z podstawy każdego urządzenia poprowadzono gruby przewód, który łączył się z centralną konsolą. Na ścianach żołnierze właśnie kończyli montować ostatnie lampy zalewające pomieszczenie żółtym światłem. W północnym krańcu świątyni Lindemann zobaczył Blumenfelda. Profesor porównywał symbole wyryte w spodniej części zrujnowanego ołtarza z symbolami w starym wymiętym notatniku.

— Herr Lindemann. — Profesor podniósł wzrok na oficera i wstał z kolan. — Jesteśmy gotowi.

— Prowadźcie. — SS-man gestem zaprosił człowieczka przed urządzenie. Konsola była dziwną machiną. Klawisze nie przypominały maszyny do pisania, jak w innych maszynach liczących, które widział Lindemann. Raczej przywodziły na myśl stalowo-zieloną klawiaturę fortepianu z wyrytymi symbolami. Nad nimi znajdowały się dwa na razie martwe ekrany świecące zieloną poświatą oraz niezliczona ilość pokręteł i przełączników. Szczyt konsoli zdobiły lampy elektronowe pulsujące unisono w znanym sobie tylko rytmie. Maszyna von Brauna żyła i jakby harmonizowała się z niezwykłą atmosferą miejsca, w którym się znajdowała.

Blumenfeld usiadł przed konsoletą, Lindemann stanął za nim. Weiss podszedł do generatora i położył rękę na regulatorze mocy.

— Możemy zaczynać próbę — powiedział profesor. Jego palce zatańczyły po konsolecie, gdy przekręcał kolejne regulatory i przełączniki. — Dajcie mi pełną moc!

Powietrze wokół sfer przestało być przejrzyste. Nagle zaczęło falować i wibrować jak w gorący dzień. Rury prowadzące z wież do konsolety rozjarzyły się w dziwny sposób. Materiał, z którego je wykonano, wciąż był czarny, jednak dookoła było widać bladoniebieską poświatę. Ekrany konsolety rozjarzyły się. Jeden z nich pokazywał poszarpane linie przecinające ekran w każdą stronę. Szarpały się po ekranie jak ryby wyrzucone na brzeg. Drugi wyświetlał mapę Ziemi ze świecącym punktem w miejscu, w którym się znajdowali. Nagle usłyszeli grzmot i zerwał się wiatr. Burza widoczna na horyzoncie przyszła, witając ich pierwszymi kroplami deszczu.

— Zaraz zacznę wprowadzać symbole — zawołał profesor, przekrzykując rozpoczynającą się wichurę.

Lindemann nachylił się nad nim.

— Pamiętaj o rodzinie w obozie — wyszeptał mu do ucha słodkim głosem. — Jeśli zawiedziesz, spalimy twoją córkę i wnuka żywcem w naszych piecach.

Eliasz Blumenfeld zadrżał w duchu. Przez osiemdziesiąt lat swojego życia nie spotkał kogoś takiego jak stojący przy nim SS-man. Badacz przeżył wielką wojnę, w której stracił swoją ukochaną Eleonorę. Zza ścian uniwersytetu w Krakowie, w którym wykładał po wojnie, widział pochłaniający wszystko nowotwór zwany komunizmem. Z niepokojem obserwował dojście Hitlera do władzy. Stracił syna w 1939 roku podczas blitzkriegu, a krótko potem sam trafił do Oświęcimia. Jednak to właśnie ta stojąca obok niego kreatura budziła w nim grozę. Lindemann bez skrupułów testował nowe urządzenia i artefakty na ludziach. Zimno kalkulując, wybierał obiekty, jak je nazywał, w taki sposób, by sprawdzić, czy wiek, płeć lub inne czynniki wpływają na skuteczność badanego przedmiotu. Kobiety, mężczyźni, dzieci i starcy. Wszyscy ginęli z jego ręki. Często w niewyobrażalnych męczarniach, gdy jakiś artefakt zadziałał w nieoczekiwany sposób. Tak zimny człowiek, z tak wielką władzą... Blumenfeld wiedział, co kryje się za wrotami. Dotarł do tego w przededniu wojny. Nie zapisał jednak odkrycia w dzienniku. Lindemann dostanie, czego pragnie, choćby świat miał zapłonąć. Blumenfeld musiał to zrobić, musiał ich uratować. Po prostu musiał...

— Coś jest nie tak! — wykrzyknął profesor. — Zaraz wprowadzę ostatni symbol, ale przepływy wymiarowe się nie wygładzają. Trzeba będzie przerwać rytuał i go ponowi... O, nie! — przerwał wywód, patrząc na ekran z mapą świata. Kropka wskazująca ich pozycję zaczęła zanikać. — Wrota się przesuwają.

— Co to oznacza? — spytał zimno Lindemann, mrużąc oczy.

— Że to nasza jedyna próba. Jeśli nie wykonamy rytuału poprawnie, wrota znikną i pojawią się w którejś z pięciu pozostałych lokacji, o których wiemy, lub w zupełnie losowym miejscu.

Lindemann wyciągnął z kabury pistolet. Przeładował go i przystawił do głowy starca.

— Liczę do dziesięciu — wycedził. — Jeśli nie otworzysz wrót, zastrzelę cię, a potem wrócę do Auschwitz i wypróbuję na twojej rodzinie Kostur Anubisa. Raz!

— Nie wiem! — krzyknął Blumenfeld. — Zrobiłem wszystko poprawnie!

— Dwa!

— Myśl! Myśl!, krzyczał w swojej głowie. Wrota się nie otwierają? Co jest nie tak? Nie wiem. Muszę ich uratować, muszę. Może to kwestia zasilania? Nie. Nie wiem.

— Trzy!

— Potrzebuję więcej czasu! — zaczął szlochać profesor. — Ustabilizuję wrota i powtórzymy rytuał.

— Cztery!

Lufa pistoletu przestała naciskać na potylicę Blumenfelda. Zamknął oczy. Nagle usłyszał huk i poczuł w lewym kolanie niewyobrażalny ból. Otworzył oczy. Ekran był zachlapany krwią. Kula wystrzelona w dół uderzyła w koniec kości udowej, amputując rzepkę, która zwisała teraz z jego nogi na czymś, co musiało być kawałkiem skóry skręconym z materiałem spodni.

— Skup się! — krzyknął Lindemann. — Masz jeszcze sześć sekund.

SS-man ponowił odliczanie. Czas zwolnił dla Blumenfelda. Badacz starał się odsunąć obraz rodziny sprzed oczu i skupić na rytuale. Nie potrafił. Patrzył na ukochanych zastygłych we wspomnieniu, gdy widział ich po raz ostatni. Ich twarze zalewała czerwień w rytm pulsującego bólu zmasakrowanego kolana. Puls! Rytm! Blumenfeld spojrzał na lampy, które wciąż gasły i zapalały się unisono do tajemniczego rytmu!

— Dzies... — Lindemann zaczął naciskać spust Lugera.

— Wiem! — zawył profesor. — Symbole trzeba wpisać w rytm aury tego miejsca! Nasze urządzenia ją wykryły, ale myśleliśmy, że to tylko cecha mocy spowijającej to miejsce. Myliliśmy się! To druga część klucza!

Blumenfeld czym prędzej usunął wcześniejsze symbole. Kropka na mapie przestała zanikać. Była już ledwo widoczna. Badacz zaczął przyglądać się lampom. Adrenalina, którą wywołały szok i olśnienie, na chwilę zdusiła ból kolana. Pozwolił sobie wczuć się w ich rytm. Wsłuchał się w padający deszcz, w grzmoty i ryk morza, a potem zaczął wprowadzać symbole.

Lindemann patrzył, jak stary wprowadza ostatni symbol. Z konsolety przewodami przepłynął potężny sygnał, rozświetlając pomieszczenie. Linie na ekranie nagle wyprostowały się i ustawiły równolegle, a potem scaliły w jeden centralny punkt. Sfery zadygotały i zharmonizowały, wysyłając jeden impuls przypominający falę uderzeniową. Nagle

dźwięki otaczającej ich burzy znikły. W ich miejsce pojawiło się dziwne buczenie. Lampy zgasły. Na podłodze w centralnym miejscu pojawiło się mdłe, zielonkawe światło. Lindemann zaczął się czuć, jakby jego płuca wypełniała gorzka mgła. Rozkasłał się. Buczenie zaczęło narastać, aż SS-man odbierał je całym ciałem. Poczuł mdłości. Kaszel wzmagał na sile. Gorzka mgła wsączająca się przez jego usta i nos zaczęła przypominać zapach dymu z krematoriów. Myślał, że już nie wytrzyma, gdy nagle wszystko ustało. Dźwięki burzy powróciły, lampy zabłysły, a w centralnym punkcie nie było już podłogi. Znajdowały się tam spiralne schody prowadzące w dół. Wyglądały, jakby zawsze tam były.

Lindemann spojrzał dookoła. Weiss i żołnierze podnosili się z kolan, kilku zemdlało. Blumenfeld leżał nieprzytomny obok konsolety. Wyglądało na to, że tuż przed utratą przytomności zwymiotował.

— Weiss! Doprowadźcie się do porządku, opatrzcie go, dajcie mu coś znieczulającego i ocućcie — rozkazał. — Jak przestanie padać, wchodzę tam. Chcę, żeby stary mi towarzyszył. A i jeszcze jedno...

— Tak?

— Dajcie mu trochę Pervitinu.

Pół godziny później Lindemann stanął nad krawędzią schodów. Obok niego Blumenfeld opierał się o prowizoryczną kulę zbitą z desek jednej ze skrzyń, w których przywieziono urządzenia von Brauna. Kolano miał usztywnione i zabandażowane. Jego twarz wyrażała zmęczenie, rozpacz i utratę nadziei.

— Idziemy w dół — powiedział Lindemann. — Skontaktuj się z U-524 i przekaż, by szykowali się na odbiór pakunku. Zaminujcie urządzenia, przygotujcie zapalniki czasowe.

— Tak jest, Herr Sturmbannführer — powiedział Weiss. — Będziemy was oczekiwać.

Lindemann i Blumenfeld ruszyli w dół. Tempo było śmiertelnie wolne. Blumenfeld ze swoją kulą ostrożnie stawiał powolne kroki. Badacz spojrzał w niebo chwilę przed tym, nim zasłoniła je spirala schodów. W burzowych chmurach pojawił się prześwit, ale Blumenfeld nie zobaczył gwiazd, które spodziewał się ujrzeć. Niebo było brudnobrązowe...

SS-man i stary człowiek znaleźli się w ciemnościach. Lindemann zapalił latarkę. Ściany schodów pokrywały dziwne gąbczaste mchy. Gdy Niemiec kierował na nie snop światła, zwijały się i chowały w szczelinach

między kamieniami, z których zbudowano mury. Z każdym krokiem robiło się coraz zimniej. Wkrótce z ich ust zaczęła wydobywać się para.

Lindemann nagle usłyszał, jak Blumenfeld staje i głośno wciąga powietrze. Naukowiec patrzył na runy na ścianie. Część znaków była niewidoczna, część w niczym nie przypominała ludzkiego pisma. Gdy światło latarki sunęło wzdłuż tajemniczych rytów, kurczący się mech odsłonił jedno słowo wyryte w alfabecie łacińskim: „Geedis".

— Co oznacza „Geedis"? — spytał Lindemann. — W pańskich pracach i notatkach nie było nic na ten temat.

— Nie wiem — skłamał Blumenfeld. — Po raz pierwszy widzę to słowo. Może to nazwa tego miejsca w języku Ludu Ta.

— Słabo kłamiecie, profesorze. — Lindemann zaśmiał się. — Chyba jednak jak wrócimy do Rzeszy, wyślę odpowiednią depeszę do Auschwitz.

— Nie — zawył Blumenfeld. — Dobrze, Geedis ma być strażnikiem artefaktu. Tuż przed wojną znalazłem zwój, w którym znalazłem to słowo.

— A wie pan, czym jest artefakt, po który idziemy?

— Nie — zaprzeczył badacz. — Zwój coś wspominał o wielkim głodzie, odporności na rany, nic więcej.

— Tym razem mówicie prawdę. Nie próbujcie mnie więcej okłamywać. — Postukał się w skroń. — Wyczuję to.

Schody prowadziły ich coraz niżej. Lindemann naliczył około sześciuset stopni, gdy na ścianach zaczęły pojawiać się pierwsze dziwaczne grzyby i śluzowaty szlam. Blumenfeld w cienkim garniturze trząsł się z zimna. Chwilę później poczuli ostry, jakby rybi zapach. W końcu trafili na dno, z którego prowadził dalej niski korytarz. Na krańcu korytarza widać było światło. Blumenfeld i Lindemann ruszyli jeden za drugim. Schylali się, by nie zahaczyć dziwnych grzybów. Blumenfeldowi wydawało się, że te łuskowate twory przypominające nieco długie pieczarki nachylają się w ich stronę, gdy przechodzą obok.

Koniec korytarza wychodził na niewielką komnatkę. Naprzeciwko widać było stalowe drzwi. Na środku paliło się ognisko, przy którym siedziała dziwna postać obgryzająca z mięsa coś, co wyglądało na rączkę małego dziecka. Postać była wzrostu człowieka, miała zieloną skórę, pazurzaste stopy i dłonie. Z pleców wyrastały jej duże błoniaste skrzydła przypominające skrzydła nietoperza. Stwór przestał mlaskać i podniósł łeb. Blumenfeld wstrzymał oddech. Zauważył w spłaszczonym psim pysku ostre rekinie

zęby, a na czole kreatury ślimacze czułki. Jej uszy były ostro zakończone.

— Sturmbannführer Lindnemann i profesor Eliasz Blumenfeld — powiedział stwór z dziwacznym, szczekliwym akcentem. — Witam, witam, dawno nie miałem gości. Jestem Zoltan i jestem tu gospodarzem.

— Skąd wiesz, jak się nazywamy? — natychmiast spytał Lindemann. — Nie jesteś Geedisem?

— Nie wypowiadaj tego imienia w mojej obecności — warknął stwór, wstając. Jednak po chwili uspokoił się i usiadł z powrotem. — Wybaczcie, stare nawyki. Wiem, jak się nazywacie, ponieważ muszę to wiedzieć. Jestem ostatnim z ludu Ta, strażnikiem.

— Czego strzeżesz? — drążył Lindemann.

— Tego, którego imię wypowiedziałeś — odparł Zoltan. — Eony temu, gdy wasz wszechświat był jeszcze młody, w moim świecie toczyła się wojna. Jedna ze stron stworzyła więc broń ostateczną. Coś, co miało usunąć całe zło z naszego świata. Niestety pewna istota, niewinny stworek wiedziony ciekawością, przypadkowo uruchomiła artefakt, sprowadzając zagładę na niemalże całą populację. Starzy władcy zniszczyli tę broń i zamknęli stworzenie za drzwiami, które za mną widzicie. Mnie natomiast wyznaczyli na strażnika.

— Artefakt nie istnieje? — wycedził pytanie Lindemann.

— Niestety nie — powiedział stwór. — Ale część jego mocy została zaklęta w rzeczonym stworzeniu.

— Dobrze — odparł już spokojniej SS-man. — Więc można ją wykorzystać. Zejdź mi z drogi.

— Ty chcesz jej użyć? — prychnął Zoltan. — Wiem, co o sobie myślisz Sturmbannführerze Lindnemann. Masz gdzieś wartości swojego ludu, jesteś fałszywym Aryjczykiem. Uważasz, że twoja moc stawia cię ponad wszystkimi innymi. Powiem ci jedno. Twoje parapsychologiczne sztuczki to żałosne kuglarstwo.

— Zamknij się! — wrzasnął Lindemann.

— Powiedziałeś chociaż prawdę swojemu przyjacielowi? — kontynuował Zoltan. — Profesorze Blumenfeldzie, pańska rodzina od dawna nie żyje. Ten człowiek razem z rozkazem uwolnienia was przyniósł także drugi. Podpisany przez siebie osobiście. Pańska rodzina spłonęła w Auschwitz. Pamięta pan zapach dymu z krematorium, gdy opuszczał pan bramy obozu? Dziwił się pan, bo od kilku dni nie było nowego transportu więźniów, a nikogo też tego dnia jeszcze nie zabito.

To pańska córka i pański wnuk palili się żywcem na wyraźny rozkaz Sturmbannführera Karla Lindnemanna.

— Nie — wyszeptał najpierw Blumenfeld. — Nie! NIE! — zaczął histeryczne krzyczeć. — Obiecałeś, że dopóki będę współpracować, będą żyć! Obiecałeś, że przetrwają!

Badacz rzucił się na żołnierza, jednak stary, skatowany osiemdziesięciolatek nie mógł się równać z wyszkolonym żołnierzem w pełni sił. Pchnięty w pierś Blumenfeld poleciał na plecy, a następnie uderzył głową w ścianę. Gdy się osuwał, jego głowa zostawiała na kamieniach krwawy ślad.

— Obiecałeś — wycharczał ostatkiem sił, patrząc na stojącego nad nim Lindemanna, który celował w niego z pistoletu.

— Kłamałem — wycedził SS-man i nacisnął spust.

Lindemann splunął z obrzydzeniem i strząsnął kawałki czaszki i mózgu z wypolerowanych butów oficerskich.

— Teraz ty. — Wycelował w głowę Zoltana. — Otwieraj.

— Gdy mnie zabijesz, drzwi same się otworzą — powiedział spokojnie Zoltan. — Moja siła życiowa trzyma je zamknięte. Jesteś jednak pewien? Może i ujarzmiłeś moc Kostura Anubisa. Może udało ci się spojrzeć przez Oko Odyna, ale to, co kryje się za tymi drzwiami, przekracza twoje pojmowanie. Jesteś pewien, że to, co spotkasz, cię nie przerośnie?

Lindemann otworzył drzwi i wkroczył do ciemnej jaskini. Gdy wrota się zatrzasnęły, usłyszał kroki. Coś otarło się o jego nogę. SS-man wypuścił latarkę, która zbiła się i zgasła. Jaskinia pogrążyła się w półmroku, oświetlana jedyne słabą poświatą z niebieskich glist pokrywających sklepienie. Lindemann ruszył przed siebie. Mgła w jaskini sięgała mu do kolan. Usłyszał, że coś trzasnęło mu pod stopą. Schylił się i podniósł zmiażdżony przedmiot. To była kość. Ludzka kość obgryziona do czysta. Natychmiast poczuł, że coś biegnie ku niemu z przeciwnego końca jaskini. Odrzucił piszczel i wycelował Lugera w biegnącą istotę. Niewielka, sięgająca może do uda postać porośnięta była ciemną, sztywną szczeciną. Duża, szeroka głowa zwieńczona dwoma małymi różkami kończyła się świńskim ryjkiem wykrzywionym w grymas przypominający uśmiech. Przednie łapy istoty były o połowę dłuższe od tylnych, co sprawiało, że jej bieg przypominał Lindemannowi goryle, które kiedyś widział w Berlińskim Ogrodzie Zoologicznym.

To musiał być Geedis. Coś w jego ruchach go przeraziło. Ta istota nie biegła do niego z ciekawości. Ona szarżowała, by zabić. Lindemann zobaczył z daleka pianę toczącą się z pyska stwora. Poprawił chwyt na pistolecie i wystrzelił nad głową Geedisa. Stworzenie nie zwolniło. SS-man wycelował i nacisnął spust. Kula drasnęła bok kreatury, jednak ta nie zwróciła na to uwagi. Nie zwolniła. Lindemann podparł pistolet drugą ręką i zaczął strzelać. Gdy opróżnił cały magazynek, istota w końcu zwaliła się ciężko na ziemię. Lindemann przeładował pistolet i podszedł do drgających zwłok. Obrócił je butem. Szkoda, pomyślał. Tyle wysiłku na marne.

Nagle krew wypływająca z ran Geedisa zastygła, a te wypełniły się czarnym szlamem, który zaczął sklejać rozerwane tkanki. Zanim Lindemann zdążył zareagować, stwór zerwał się na nogi i wspiął po jego ciele. Zaparł się tylnymi łapami o klatkę piersiową i złapał go za głowę. SS-man odruchowo zamknął oczy. Otwórz oczęta, usłyszał w myślach. No otwórz, albo wyrwę ci powieki. Nie!, pomyślał z mocą Lindemann i mocniej je zacisnął. Nie, to nie.

Lindemann poczuł na twarzy zimną, mokrą dłoń, która delikatnie sięgnęła mu do oczodołu. Spiął się, lecz nie poczuł bólu. Dłoń delikatnie rozwarła mu powieki i Lindemann spojrzał w ślepia istoty. Oczy! OCZY! OOOOOOCZYYYYY!!!! I usłyszał krzyk milionów.

Patrząc w te wiry szaleństwa, Lindemann na granicy świadomości zrozumiał, co zrobił Geedis. Niewinna ciekawość sprawiła, że dworski błazen uruchomił artefakt. Jednak brak doświadczenia, jakie mieli Starsi Mędrcy Ta, sprawił, że zło nie zostało usunięte. Geedis wchłonął je w siebie. Lindemann zobaczył w jego oczach, jak magiczna fala ogarnęła cały świat Ta, anihilując każdego, kto miał choć odrobinę agresji w swoim duchu. Cały ten gniew, całe to zło milionów istnień zostało wtłoczone w tę niewielką istotę.

Geedis jeszcze raz spojrzał na Lindemanna, uśmiechnął się paskudnie, a potem przyłożył swój ryjek do ust SS-mana.

Lindemann poczuł zimny oślizgły język penetrujący jego usta. Zacisnął oczy. Przypominał mu wijącą się glistę. Nagle ozór zaczął się wydłużać, schodzić mu do przełyku. Lindemann zaczął się szarpać. Próbował zrzucić stwora z piersi. Poczuł, jak język w jego ciele zaczął się nadymać, a potem jakby pękł, wpuszczając w niego zimną, gęstą substancję. Zaczął opadać z sił. Czuł, jak ciecz wypełnia go i wpływa do każdego narządu, każdego zakątka ciała. Jego pochłonięty szaleństwem

umysł zaczął być wypychany z ciała, zastępowany czymś innym. Lindemann tracił przytomność. Ostatkiem świadomości zorientował się, że nie czuje już dotyku stwora na swoim ciele.

Weiss niepokoił się. Próbował nawiązać łączność radiową z U-524, lecz okręt nie odpowiadał. Wysłał ludzi poza ruiny, na klif z potężną lampą, by nadać sygnał alfabetem Morse'a. Bez rezultatu. Żołnierze kończyli montować ładunki przy urządzeniach. Weiss stanął przy wejściu do ruin i zapalił papierosa. Na horyzoncie zobaczył prześwit w chmurach i zamarł. Nocne niebo było brudnobrązowe, a księżyc czarny. Nagle wstrząsnęła nim wielka siła. Usłyszał chrupnięcie i obrzydliwy mlask. Spojrzał w dół. Z jego brzucha sterczała zakrwawiona ręka w mundurze SS. Ręka zaciśnięta na jego jelitach. Weiss zagulgotał krwią, a kończyna wyciągnęła plecami jego trzewia. Ostatnie, co poczuł, to zęby zaciskające się na jego twarzy.

Coś, co kiedyś było Lindemannem, odrzuciło zwłoki asystenta i odwróciło się w stronę żołnierzy. Padło nienaturalnie na cztery łapy i niczym pająk błyskawicznie dopadło najbliższego Rottenführera. Kłapnęły szczęki, a z przegryzionego gardła trysnęła posoka. Zanim pozostali zdążyli podnieść swoje MP40, kolejny padł, wrzeszcząc i próbując rozpaczliwie wepchnąć sobie z powrotem wyrwane jelita. Rozległy się pierwsze strzały. Kule wyrywały kawały ciała potwora, tworząc pulsujące, smoliste kratery, jednak Lindemann nie zwalniał. Jeden z żołnierzy spojrzał w stronę generatora zasilającego urządzenia von Brauna...

11/11/1942 Tajne/tajne/tajne

Oddział specjalny dotarł na miejsce. Ani śladu po U-524. Zgodnie z raportem samolotu zwiadowczego okręt zmierza w stronę Norwegii.

W ruinach Katedry św. Magnusa znaleźliśmy zmasakrowany oddział SS. Po liczbie ciał i oznaczeniach na resztkach mundurów stwierdziliśmy że musi to być cały 13. oddział SS-Totenkopfstandarte. Dowódca oddziału Sturmbannführer, Karl Lindemann, popełnił samobójstwo. Wygląda na to, że najpierw zmasakrował własnych ludzi, a następnie odebrał

sobie życie. W ruinach znaleźliśmy urządzenia von Brauna. Według naszego analityka mogą służyć do prowadzenia wojny paranormalnej. Konsoleta jest uszkodzona. Wygląda, jakby jeden z leżących najbliżej martwych żołnierzy usiłował zniszczyć urządzenie. Kaliber kul wyjętych z urządzenia odpowiadał broni znalezionej na miejscu. W pobojowisku znaleźliśmy też pamiętnik zaginionego naukowca, profesora Eliasza Blumenfelda. Samego na miejscu nie znaleziono. Ostatnią stronę pamiętnika zapisano innym charakterem pisma. Zapisane słowa to: „Geedis Ta broń artefakt zło zniszczyć Geedis oczy oczy oczy czoy occczy". Przewozimy zabezpieczoną maszynerię do Groom Lake. Ściągnąć naukowców do zbadania i naprawy urządzenia.

MARIA BORYS-PIĄTKOWSKA

UNO — OPIS POTWORA DO SYSTEMU ZEW CTHULHU 7ED

„...i choć normalny Ghast wzrostem przypomina rosły dąb, ten liczył niewiele ponad metr, ale wciąż budził grozę".

Bestiariusz Profesora Hasseliusa

Tak jak mówi się, że Ghasty to nieudane eksperymenty Wężowych Ludzi, tak Uno to eksperyment fatalnie spaprany. Przypadek beznadziejny. Dlaczego Uno? Ano dlatego, że jest jeden. Dosłownie. Gdy znaleziono go w jaskini pomiędzy truchłami Ghastów, które miały mniej szczęścia, starsi koledzy byli przekonani, że to jakiś nowy kosmiczny gatunek... i natychmiast chcieli go spożyć. Tymczasem Uno udowodnił im, że nie dość, że ma futro i pazury jak oni, to jeszcze wydaje podobne dźwięki i tak samo pachnie. Co więcej, jest mniejszy i łatwiej wciśnie się w ciasne skalne szczeliny, a podwójna para łap z pewnością przyda się w chwytaniu zwierzyny. No i ten urok osobisty. Uno potrafi przybrać wygląd nieszkodliwego pluszowego stworka w rodzaju Stitcha z filmu *Lilo i Stitch*. Naiwni ci, co myśleli, że z jego charakterem jest podobnie. Niestety, tu przypomina bardziej Gremlina lub rekina ze *Szczęk*.

S	**90**
KON	**60**
BC	**60**
ZR	**75**
INT	**10**
MOC	**50**
PW	**12**
Średni Modyfikator Obrażeń	**+1k4**
Średnia Krzepa	**1**
Średnia Wartość PM	**10**
RUCH	**9**

Ataki:
Ataki w rundzie: 2
Walka: jak każdy Ghast, dysponuje standardowym dla istot humanoidalnych zakresem ataków bez użycia broni. Należy wziąć pod uwagę, że Uno ma dwie pary łap.
Walka: 50% (25%/10%), obrażenia 1k4 + MO
Unik: 35% (17%/7%)
Pancerz: brak
Broń: maczuga
Umiejętności: Ukrywanie 70%, Urok Osobisty 50% (łatwo się nabrać)
Utrata Poczytalności: 0/1K6PP za ujrzenie Uno.



Ilustracja: Natalia Anna Zalewska

ALEKSANDER JANUS

ZAPOMNIANI

— Za co siedzicie, panowie? — Brązowy stworek, zwany Geedisem, rozpoczął spotkanie. Rozsiedli się mniej więcej w kręgu, na tyle, na ile pozwalały im kamienne łóżka i nieliczne krzesła. Ktoś westchnął głośno, ale nikt nie chciał odezwać się jako pierwszy.

— Nazywam się Zoltan i siedzę za zabicie smoka oraz uratowanie królewny — odezwał się w końcu zielonoskóry jegomość ze skrzydłami i małymi rogami.

— Nie wiedziałem, że mamy tutaj bohatera! — zawołał Geedis, klaszcząc w łapy.

— Geedis, przecież ustaliliśmy, że nie będziemy się z nikogo śmiać, niezależnie od przyczyny odsiadki — strofował go Harry.

— Nie, Geedis ma rację. W zabiciu smoka nie było nic bohaterskiego. Kiedy przyjechałem do zamku z jego głową, król wściekł się jak mało kto. Myślałem, że nigdy nie skończy rzucać we mnie kielichami, bo służba wciąż przynosiła mu nowe. Okazało się, że król zawarł umowę ze smokiem. Specjalnie pozwolił mu palić wioski, gromadzić skarby i pożerać owce, aby siał postrach i zdobył odpowiedni szacunek. Przecież księżniczki nie może pilnować byle kto. Wszystko po to, żeby nie dała sobie zawrócić w głowie jakiemuś łapserdakowi bez grosza przy duszy. Miała posłużyć jako karta przetargowa, gdyby królowi nie wyszedł jakiś sojusz. Ale skoro smok był martwy, córka czym prędzej skorzystała z okazji i w ogólnym zamieszaniu czmychnęła z wieży, żeby zostać aktorką. No przecie bym jej siłą nie zmusił, by wróciła ze mną do zamku. Co ja jestem, barbarzyńca? Przepraszam, jeśli mamy tu jakichś barbarzyńców, nie chciałbym nikogo urazić.

— Wiesz może, czy ta księżniczka osiągnęła sukces? — zainteresował się Harry.

— Z tego, co się orientuję, jej ojciec każe palić każdy teatr, w którym wystąpiła. Przez to nie może zdobyć żadnej roli. Nadali jej przydomek „Aktorka ze spalonego teatru”.



— Przykra sprawa.

— Skoro już o paleniu mowa... Eric, lat trzydzieści sześć, odsiaduję wyrok za spalenie Wioski na Krańcu Świata — powiedział mężczyzna wyglądający jak wojownik.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Geedis, który wydawał się być organizatorem tej grupy terapeutycznej.

— Pewnie mi nie uwierzycie, ale… mieszkańcy sami mnie o to poprosili. Jak tam zajechałem, wręcz mnie o to błagali. Mówili, że w ich Wiosce nie rodzą się żadni Wybrańcy, których rodziców chcieliby zabić przedstawiciele Wielkiego Zła. Nawet orkowie nie chcą ich najeżdżać, ponieważ jest to dla nich za daleko.

— A co ty robiłeś na takim zadupiu?

— Przyznam szczerze, że... chciałem po prostu odpocząć. Odpocząć od... robienia dobra. Dosyć miałem tego wiecznego pomagania, wiecznego czynienia dobra, ratowania dam w opałach, zostawania bohaterem i tak dalej. Dokąd się nie ruszyłem, tam pojawiała się okazja do dobrego uczynku. A ja... chciałem poczuć, jak to jest nie mieć skrupułów. Chciałem zrobić... coś naprawdę złego. Sprawić komuś przykrość, skrzywdzić kogoś. Tak trafiłem do Wioski na Krańcu Świata, gdzie mieszkańcy zapytali się, czy... nie mógłbym spalić paru ich chat. A najlepiej całej wioski. Mieliby ciekawsze życie. Cóż... zrobiłem to.

— Tylko że w sumie im pomogłeś.

— To prawda! Tak samo mówiłem sędzinie, ale ten, przepraszam, ta nie uwierzyła mi. Zbrodnia to zbrodnia, niezależnie od okoliczności, a te nie były łagodzące.

— Nie mogłeś poprosić mieszkańców wioski, by potwierdzili twoje słowa?

— Cóż... tak bardzo spodobało mi się podkładanie ognia — im zresztą też — że chciałem spróbować czegoś jeszcze. I trochę mnie... poniosło. W pewnym momencie odrzuciłem pochodnię i chwyciłem za miecz. Zanim się opamiętałem... wszyscy mieszkańcy byli już martwi. Nie wiedziałem, że potem będę miał takie wyrzuty sumienia! — krzyknął, łapiąc się za głowę. Jego potężny tors zatrząsł się od szlochu.

Geedis poklepał go pocieszająco po ramieniu. Reszta patrzyła ze współczuciem na Erica. Tylko jedna osoba ponownie westchnęła.

— Już dobrze, już dobrze. Nic dobrego się przecież nie stało — uspokajał go Harry.

— Nie stało? — Eric miał twarz opuchniętą od płaczu.

— No tak. Chciałeś popełnić zły uczynek. Co prawda, zrobiłeś coś dobrego z punktu widzenia mieszkańców tejże wioski, jednakże ogólnie rzecz ujmując i biorąc pod uwagę ustanowione przez króla, a dokładnie artykuł dwieście czwarty, popełniłeś przestępstwo czwartego stopnia, za co zostałeś prawomyślnie skazany na dożywocie z możliwością skrócenia kary za dobre sprawowanie. Jesteś przestępcą, Eric.

— Naprawdę? — Wojownik wytarł oczy i wysmarkał się w chustkę podaną mu przez Harry'ego.

— Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób. Nie spodziewałem się, że osoba z taką gębą może być tak wygadana. Skoro używasz takich słów, to może opowiesz nam, co ciebie spotkało — powiedział Geedis.

— Dobrze. — Mężczyzna zdawał się nie słyszeć obelgi skierowanej w jego stronę. — To było dwudziestego dnia piątego miesiąca x roku. Pogoda była wtedy przepiękna. Świeciło słońce, na niebie nie było ani jednej chmurki, ale szczęśliwie co jakiś czas moją szyję muskał delikatny powiew wiatru, chłodząc mnie. Do ucha zaś ćwierkał mi przywieziony z odległego kraju ptaszek, prezent od mojego starego i dobrego przyjaciela... — Wszyscy rozsiedli się, najwidoczniej oczekując długiej, acz przyjemnej opowieści. Znowu ktoś westchnął głośno, jakby z irytacją, ale nikt się tym nie przejął. — Zajmowałem się swoimi sprawami i interesami. Odpisywałem na wszystkie bardzo ważne listy, każdy własnoręcznie zaklejając i pieczętując. Uzupełniałem księgi rachunkowe, dokonywałem przemyśleń i rozważań, nie tylko na temat moich przyszłych posunięć finansowych, możliwych zakupów i nieuniknionych sprzedaży, ale także na temat sensu istnienia, mojej przyszłości jako księgowego *et cetera, et cetera*. Byłem tak pogrążony

w rozmyślaniach, że ani odrobinę nie zwróciły mojej uwagi krzyki i ogólny rozgardiasz w holu rezydencji. Również głośne kroki na schodach i jeszcze głośniejsze protesty mej wiernej służby, która nie opuściła mnie nawet w tak kompromitującej sytuacji, nie sprawiły, że drgnęło mi choć ucho. Dopiero brutalnie otwarte drzwi, które z hukiem uderzyły o ścianę, oderwały mnie od kontemplacji. Jakże wielkie było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem nie jednego z mych partnerów, uczniów czy przybranych synów, a oficera straży miejskiej w towarzystwie zbrojnego ramienia, a nawet kilku ramion. Oficer wyciągnął i rozwinął zwój, którego koniec spadł aż na podłogę. Przeczytał: „Harry — pozwólcie, że nazwisko i tytuły zachowam dla siebie, zbyt zawstydzające było dla mnie to wszystko — zostajesz oskarżony o oszustwa, próby oszustw, defraudację publicznych pieniędzy, matactwa, przekupstwa, szantaże, sabotaże, kradzieże...". I wymieniał, i wymieniał, i wymieniał, i wymieniał, a moja służba nie mogła się temu wszystkiemu nadziwić, szczerze, choć naiwnie sądząc i wierząc, że zaszła jakaś pomyłka. Ich pan te wszystkie bogactwa i pieniądze, w tym także te przeznaczone na comiesięczne wypłaty, zarobił przecież żmudną i uczciwą pracą, na którą cień występku obrzydliwego nigdy nie padł.

— Długo jeszcze? — wtrącił się zielony malec.

— Już niedługo, mości Iggy. Zabrali mnie takiego, jak stałem — szczęściem w ubraniu — i zaprowadzili do aresztu. Muszę przy tym napomknąć, że byli bardzo uprzejmi i kulturalni. W brzuch dostałem tylko trzy razy, pałką zaś raz, co, zważywszy na wagę win, było delikatnym traktowaniem. Proces sądowy był jednostronny. Nie miało sensu wynajmowanie wyspecjalizowanego obrońcy, gdyż mieli tyle dowodów i świadków, że nie dałoby rady ich wszystkich przekupić. Musieli ich szukać chyba przez kilkanaście lat mojej działalności.

— I z takich błahych powodów wrzucili cię do celi z kryminałami? — zdziwił się Geedis.

— A wspominałem już, że moje działania wywołały wojnę pomiędzy królestwami?

Tak ich to zaskoczyło, że żaden się nie odezwał. Tylko znowu ktoś westchnął.

— A ty, Iggy? — zapytał Geedis, który wreszcie zwrócił uwagę na wzdychającego malca.

— A ja mam dość tej waszej skretyniałej zabawy! — wrzasnął Iggy tak głośno, że wszyscy podskoczyli, nawet on sam. — Od czterdziestu lat, dzień

w dzień, zadajecie sobie to głupie pytanie i opowiadacie sobie, jacy to z was bandyci, mordercy, gwałciciele, rabusie i inni tacy!

— Wkurzasz się, ponieważ nawet Tokar wymyśla lepsze historie od ciebie — zadrwił Geedis, rozbawiając towarzystwo.

— Argh! — Frustracja Iggy'ego sięgała sufitu, co w przypadku jego nikłego wzrostu było nie lada osiągnięciem. Zirytowany odszedł od towarzyszy, żeby nie musieć ich słuchać, ale nie zaszedł daleko. Mury więzienia zdecydowanie mu w tym przeszkodziły.

Spoczął w kącie obok czaszki należącej do śmiałka, który pierwszego dnia zabawy odpowiedział: „za niewinność".

— Zazdroszczę ci, chłopie — mruknął do czaszki. Nie pozostało mu nic innego, jak gapić się na resztę spode łba. Akurat przyszła kolej na Tokara.

— Tokar zjeść pies.

— To musiał być bardzo ważny pies. Właściciel nie był zły, że go zjadłeś? — zapytał Harry.

— Właściciel też zjeść. — Tokar zastanawiał się przez chwilę. — Smaczny był.

— Pies czy jego pan? — zainteresował się Zoltan, zanim inni go powstrzymali. Na szczęście golem nie odpowiedział; wyłączył się swoim zwyczajem i tylko wpatrywał się tępo w ścianę.

— Czasem mnie przeraża — zagaił Geedis po dłuższej chwili milczenia. — Zbyt często wspomina o zżeraniu innych. Aż dziwne, że nie pożarł któregoś z nas.

— A on? — odezwał się Iggy, podnosząc czaszkę do góry.

— Brrr...

— Czego on jeszcze nie naumiał się gadać po naszemu? — Eric siedział ze skrzyżowanymi nogami i wykonywał dłonią ruchy, jakby ostrzył miecz. Pewnych przyzwyczajeń nie da się wykorzenić nawet po czterdziestu latach.

— Kwestia ograniczeń — odparł Harry. — Bynajmniej nie umysłowych, tylko technicznych. Zajrzałem raz do jego głowy, gdy spał. Mimo że nie posiadam odpowiednich kwalifikacji, jestem w stanie stwierdzić, że taki już został stworzony.

— Przeklęte golemy. — Geedis kopnął Tokara w łydkę. Gdy ten poruszył ręką, jakby chciał odgonić wstrętną muchę, Geedis stał już schowany za plecami Erica. Chyba tylko on mógłby sprostać golemowi.

— Idźcie już lepiej spać — burknął Iggy. — Tylko głupoty wam chodzą po głowie.

Tak też zrobili.

***

Mówi się, że niektóre słowa, wypowiedziane w odpowiednim miejscu oraz czasie, mają moc sprawczą nieporównywalnie większą nawet od magicznego zaklęcia, które — jak dobrze wiemy — potrafi zmienić świat w znacznym stopniu. Geedis był o tym przekonany tak mocno, że swoje słowa wypowiadał bez przerwy w nadziei, że uda mu się trafić w odpowiedni czas. W odpowiednim miejscu już przecież był.

„Wypuście nas, wypuście nas, wypuście nas", powtarzał przy każdej okazji, licząc na efekt. Gdy jednak nic się nie stało, przypomniał sobie, że niektórych życzeń nie powinno się wypowiadać na głos, ponieważ mogą się nie spełnić. Zmienił taktykę i od tamtej pory nie mówił, tylko myślał.

Jak wielkie było jego zdziwienie, kiedy pewnego dnia...

Rozległy się kroki na schodach. Więźniowie popatrzyli po sobie, część zaniepokojona, część zaintrygowana. Mimo że nie mieli żadnej klepsydry ani zegara, po latach niewoli potrafili mniej więcej wyczuć pory posiłku. Strażnicy na pewno nie nieśli śniadania.

Było ich dwunastu, wszyscy ciężko uzbrojeni, jakby szli nie do więźniów, a co najmniej na elitarny oddział przeciwnika. Zatrzymali się w półkolu przed celą na tyle, na ile pozwalał korytarz. Po chwili wszedł naczelnik, który zatrzymał się przed nimi.

— Fiu, fiu, cóż to za okazja, dowódco? Przyprowadziłeś panienki? — zadrwił Iggy, który na wszelki wypadek odsunął się od krat.

— Co za żałosny tekst — mruknął pod nosem Harry.

Dowódca jedynie popatrzył z dezaprobatą na Iggy'ego. Wyglądał na zmęczonego.

Wtedy stało się coś, czego nie spodziewał się żaden z więźniów. W dłoni dowódcy zabrzęczały klucze, spośród których jeden trafił do zamka i otworzył drzwi celi. Lekkie pchnięcie ręką sprawiło, że otwarły się na całą szerokość.

Nikt się nie ruszył nawet o milimetr. Byli pewni, że to podstęp. Złudna obietnica wolności, którą można odebrać za pomocą noża wbitego w plecy w momencie, kiedy by się tylko odwrócili.

„Skurwysyny" — pomyślał Geedis.

— No, na co czekacie? — warknął dowódca. — Król sobie o was

przypomniał, amnestia była, jesteście wolni. Wypad! Nie mamy całego dnia, a na wasze miejsce czekają kolejni!

Minęło jeszcze parę długich minut, podczas których naczelnik wzdychał ze zniecierpliwieniem, aż Geedis zrobił pierwszy krok, czyli ruszył lewą przednią łapę, dołożył do niej lewą tylną, powtórzył manewr, tyle że z prawymi łapami, całość wykonał jeszcze parę razy i po kilkudziesięciu latach wyszedł z celi. Nie cieszył się zbytnio; pozostały jeszcze korytarz i schody, a to wystarczająco wiele okazji, by zginąć.

Towarzysze równie niepewnie ruszyli za nim. No, oprócz Iggy'ego, który dziarskim krokiem wymaszerował, rzucił żołnierzom wyzywające spojrzenie i skierował się do wyjścia.

Żołnierzy zdziwiło zachowanie byłych już więźniów. W momencie otwarcia celi przestali być przecież groźnymi przestępcami i stali się szarymi, wolnymi obywatelami królestwa. Nie mieli czego się obawiać, przynajmniej z ich strony.

Geedis osłonił oczy łapą. Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat widział świat, który... zaskakująco niewiele się zmienił. Może trawa była bardziej zielona, niebo bardziej niebieskie, a drzewa wyższe niż ostatnim razem, jednak wszystko wydawało się być względnie po staremu. Potwierdził to zresztą naczelnik, wyjaśniając im pokrótce aktualną sytuację geopolityczną. Król ten sam, wrogowie królestwa ci sami, problemy te same. Jakby świat zastygł w bezruchu.

Stworek odetchnął pełną piersią. Płuca przyzwyczajone do zatęchłego powietrza z radością powitały świeże.

— Wreszcie wypuścili nas z Puszki! — ogłosił światu Harry.

Geedis popatrzył na towarzyszy. Oprócz Harry'ego, leżącego na trawie, wszyscy rozciągali kości, rozgrzewali zastałe mięśnie. A potem rzucili się na strażników.

Słychać było okrzyki bólu i przekleństwa, w powietrzu latały części zbroi, miecze i topory. Walczących szybko skryła bitewna kurzawa.

Chwilę później było już po wszystkim. Żołnierze martwi; ostał się jedynie naczelnik, który stał z boku cały blady i nie potrafił uwierzyć w to, że garstka zmizerowanych, źle karmionych więźniów... wróć, obywateli, pobiła dwukrotnie więcej młodych, dobrze wyszkolonych i przede wszystkim lepiej uzbrojonych strażników. I to gołymi rękami!

— Nie martw się, naczelniku — powiedział Geedis, kawałkiem koszuli ścierając krew z łap. — Tyleśmy razy jedli wspólnie makowiec, że nic ci nie grozi. Tylko nie wspominaj o nas w raporcie, ani tym bardziej o tej krępującej sytuacji. Bo wtedy wrócę i to nie na przyjacielską pogawędkę.

Dowódca pobladł jeszcze bardziej, mimo iż wydawało się, że już bardziej nie mógł. Przełknął głośno ślinę, ale potrafił jedynie skinąć głową; słowa nie chciały przejść przez ściśnięte gardło.

— Widzę, że się rozumiemy. — Uśmiech stworka był przerażający. — No, chłopaki, chodźta! Świat na pewno o nas zapomniał, więc trzeba o sobie przypomnieć!

Z bronią zabraną poległym żołnierzom ruszyli w stronę najbliższej wioski.



Ilustracja: StandardDeviation2

KAMIL „TYGRZYK" MUZYKA

GEEDIS, CO TU SIĘ STAŁO?

Przebywaliśmy w przestrzeni, owiewani wichrami odmłodzonej gwiazdy, żerując na jej świetle i do gardzieli sącząc nuklearny plankton. Drgania niższych częstotliwości oraz piana powstających i znikających cząstek czyniły pustkę fraktalnym wielowymiarowym oceanem, bardzo odległym od mrocznej, zimnej pustki, którą znałem, gdy opuszczałem Letonię, gdzie leżała kraina TA. Kosmos, jak zwano wszystko poza studnią grawitacyjną i atmosferą Letonii, był czymś zupełnie innym niż to, co znam dziś. Mróz i bezpowietrze, jak zwaliśmy próżnię, o mało co nie kosztowały mnie życia, kiedy zespoliły elementy mojej pancernej powłoki. Ogień Vorki, głównej gwiazdy układu, słońca naszego małego świata, palił powierzchnię, a naładowane cząstki z oddali przeszywały moje mechanizmy. Jak wiele czasu upłynęło, jak bardzo sam czas się zmienił od tamtych chwil grozy i walki o przetrwanie. Czy jestem tym samym, kim byłem, czy może posiadamy już tylko wspomnienia dawno nieistniejącej istoty? Czy jak okręt zwycięskiego Eryka i jego dzielna załoga jestem tylko duchem ciągłości, gdyż żadna część mnie nie przypomina nawet tego pancernego, topornego humanoida? Tak jak w przypadku statku i załogi Eryka, gdyby zebrać odrzucone strzępy żagli, masztów i desek, gdyby zebrać wszystkich poległych towarzyszy jego pierwszych wypraw i postawić obok tych z jego ostatnich podbojów, czy i z moich odrzuconych części, dałoby się złożyć prawdziwego mnie, który byłby świadectwem tożsamości, patrzącym z odrazą na trwającą nieprzerwanie istotę ciągłości, która uważa, że posiada jego tożsamość i wspomnienia?

Patrząc wstecz, Tokar, którym byłem, wydaje się wręcz snem. Bajką o istocie, której cele dyktowało jej ograniczone rozumienie otaczającego świata. Teraz nawet ciężko mi mówić Ja, gdyż gdzie kończy się Ja, a zaczynamy My? Gdzie kończymy się My, a zaczyna niepodległe i samodzielne Ja? My jesteśmy wszystkim. Powłoką, napędem, mrowiem maszyn i organizmów istniejących tylko w jednym celu. By zapewnić przetrwanie i rozwój statk... statkowi? Czy jesteśmy statkiem? Statek

zwykle płynie do celu. Stacją kosmiczną? Stacje zwykle są umieszczone w pewnym punkcie z jakiegoś powodu. Stanowią cel podróży dla statków. My? My jesteśmy maszyną? Organizmem? A może zespołem tych cech, wymykającym się dawnemu rozumieniu, jakie znaliśmy, opuszczając Letonię i TA? Któż to wie, ani my, ani nasze mnogia zdają się nie prowadzić długich dysput symboliczno-semtantycznych cechujących mniej złożone formy inteligencji.

Przebyliśmy wielkie odległości, chłostani międzygwiezdnymi wichrami, absorbując wędrowne komety i samotne asteroidy. Pochłaniając dostępne nam w środowisku składniki, rozwijamy się i zmieniamy, mnożymy. Część naszych mnogii nie przypomina nas, my nie przypominamy już nawet nas z czasu ostatniego mnożenia. Pochłanialiśmy budulce różnych form życia, które zamieszkują teraz nas. Byliśmy świadkami cyklów śmierci i narodzin gwiazd, cywilizacji, bytów próżni. Na niektórych z naszych mnogii obce nam formy życia założyły kolonie. Inne mnogie padały ofiarą replikacji szkodliwych błędów, infekcji szybko rozprzestrzeniającymi się, łatwo adaptującymi rojami jednostek pasożytniczych lub wiralnych. Jeszcze inne przepadały w wyniku wzajemnego drapieżnictwa lub napotkania osobników będących przykładem międzygwiezdnej konwergencji albo zawłaszczonego rozwoju. Życie makroform i megabytów rozsianych po bezkresach przestrzeni opiera się na kreatywnym wykorzystywaniu warunków, w jakich przyszło danej formie przeżyć. Tą samą zasadą kierują się organizmy oraz replikujące się hyloformy, postorganizmy czy neobiom. Te same zasady adaptacji, replikacji, przetrwania pojawiają się niezależnie od przyjętej formy. Uczeni z TA mogliby się zdziwić, jak bardzo ich definicje życia i rozgraniczenia były mylne i nieadekwatne do realiów światów, które przyszło nam napotkać. Cóż mogli wiedzieć oni, mierzący gwiazdy własną miarą, nadając im imiona oraz wyznaczając konstelacje. Ci, którym nigdy nie przyszło nawet zobaczyć TA wyżej niż z wysokości Wieży Motyla, domeny Cecily, ani z grzbietu Hrakisa, wiernego smoka Pani Niebios, Rimeldy. Nie widzieć Letonii ani TA z nieba lub sponad niego, to nie pojąć, jak bardzo mały jest nasz piękny świat. I jak mało od niego zależy.

Jednak to, co się stało w tych krótkich jednostkach czasu, sprawiło, że My, że Ja zapragnąłem wrócić do dawnej planety i dawnej krainy. Wyczuwając sztucznie generowane neutrina i promieniowanie

rozpadowe, zwróciliśmy część swojej uwagi na przemieszczające się w tym układzie ich źródła. Z początku wzięliśmy zjawisko za kolejne eksperymenty ocaleńców zasiedlających pozostałości pierścieni i habitatów budowanych wokół odmłodzonej gwiazdy. Mimo że ci, którzy jeszcze żyją, dawno zeszli do poziomu metalowego pięściaka, zdarzały się próby uruchomienia jakichś bardziej skomplikowanych struktur. Te, które były jeszcze funkcjonalne, dawno zostały już przez nas wchłonięte. Źródło jednak przybywało spoza sfery wpływu gwiazdy. Był to statek międzygwiezdny.

Przemieściliśmy się, wykorzystując zmagazynowane cząstki, by zbliżyć się do statku, którego silniki stworzono do wytwarzania większego przyśpieszenia niż obecnie. Były niedożywione, brakowało im energii. Zrównaliśmy się i pochwyciliśmy statek naszymi dendrytami. Następnie, niczym głowonóg polujący na ofiarę, szukaliśmy włazu, przez który wpuścimy nasze maszyny i organizmy w celu nawiązania kontaktu oraz zbadania przydatności wyposażenia i załogi rannego statku. Odnóże niczym długi proboscis zakończony niby przyssawką uszczelnieniem śluzy oraz zestawem małych, fraktalnych, krzaczastych odnóży przywarło do włazu, po czym wewnętrzne dendryty sprawnie otworzyły właz. Odnóże zostało przygotowane na różnice ciśnień między nami a statkiem, jednak nie można było tego samego powiedzieć o pojeździe. Różnica ciśnień uszkodziła drugi, wewnętrzny właz, przez co nasze maszyny musiały go fizycznie usunąć.

Po wejściu do korytarza kryjącego się za uszkodzonym włazem nasze maszyny i wspierające je organizmy napotkały załogę statku. Ta otworzyła do nich ogień. Urządzenia, które trzymali w rękach, służyły im za broń, mimo że ewidentnie przeznaczone do zupełnie innych celów. Dwa organizmy zostały ranne, z czego jeden wkrótce umarł. Maszyny meldowały uszkodzenia. Organizmy i maszyny, chociaż istoty tak autonomiczne, jak bakterie towarzyszące złożonym organizmom, trzymane były na krótkiej smyczy. Mogły porzucić odruch osłaniania się i przejść do ofensywy, gdy taki rozkaz zostanie im wydany. Zdecydowaliśmy się zezwolić im na odpowiedź ogniem, ale z broni, która nie będzie w stanie przebić poszyć delikatnego pokładu, zabijając załogę i niszcząc statek. W przeciwnym wypadku już dawno, niczym antyczny potwór ogonem lub mackami, zmiażdżylibyśmy ich statek, pochwycony jak delikatna, pusta łupinka.

Trzy postacie w jednolicie brązowych szatach i z medalionami na piersiach padły w wyniku ostrzału maszyn. Zaczęły się cofać, nadal osłaniając ogniem

swój odwrót. Padłe organizmy i maszyny da się odtworzyć, wymienić. Autonomiczne istoty żywe, mające złożone zdolności kognitywne i własną kulturę, wymienia się bardzo długo, a często nie można ich wymienić wcale. Posuwające się naprzód maszyny zauważyły wysokie poziomy zjonizowania atmosfery wewnątrz statku. Widać reaktor został uszkodzony, a powłoki ochronne — zerwane. Promieniowanie rozprzestrzeniło się po pokładach. Oni już są martwi.

Maszyny i organizmy ścigały załogę po korytarzach. Po kilku mniejszych potyczkach ze zdesperowanymi obrońcami przeszły w głąb statku. Dotarły do czegoś w rodzaju lecznicy. Tam leżeli umierający dwunożni i dwuramienni humanoidzi. Część nie miała na sobie szat. Obrońcy złożyli broń, po czym przyjęli pozycję pokłonu i zaczęli intonować jakąś pieśń. Wycofaliśmy część organizmów, które wykazywały oznaki ran promiennych w narządach. Próbowaliśmy zarazem zaoferować kilku rokującym najlepiej wśród skazanych na męczarnie środki, których używamy na naszych organizmach. Organizmy białkowe, prawoskrętne, jakich wiele, jednak wystarczy zmiana kultur mikroflory i preparaty mogą okazać się dla nich zabójcze. Odmawiali.

Nawet lecznica nie posiadała takich środków. Naprędce wytwarzane napary i zbite proszki były rozpoznawalne przez chorych, jednak odmawiali. Wskazywali na medaliony i powtarzali te same słowa. Patrzyliśmy i czuliśmy zmysłami maszyn, zbieraliśmy sygnały od organizmów, jednak Ja zamarłem, kiedy zobaczyłem medalion.

Widniała na nim mała postać przykucnięta na tylnych kończynach. Miała wielki nos, uśmiech i wielkie oczy. Przypominała gutana, jedną z inteligentnych ras zamieszkujących moje dawne TA. Widzieliśmy wiele zbliżonych wskutek konwergencji ewolucyjnej form, jednak ta ewidentnie wyglądała na gutana. Wręcz na pewnego gutana.

— Geedis... Geedis pernem atara... — mówił osłabiony humanoid trzymający medalion.

„Geedis się do nas uśmiecha". To jeden z dalekoTAańskich dialektów. Nie. Geedis nie uśmiecha się do nas. „Geedis się z nas śmieje!" Geedis.

Geedis, przyjacielu. Jakim cudem stałeś się przedmiotem kultu? Zawsze wyśmiewałeś możnych, hierarchie, marzenia i rytuały. Potrafiłeś znaleźć w nich słabe punkty i wykorzystywać ludzi wiernych tym abstrakcjom i tradycjom dla własnych celów. Chociażby dla satysfakcji z obserwowania, jak coś potrafi runąć. Geedis, który niczym się nie różnił od reszty włochatych rogatych gutan. Ani bardziej możny, ani bardziej

waleczny. Zawsze pojawiający się znienacka, ofiarujący przyjacielską radę lub proszący o pomoc. To jednak wystarczyło, by krótkowzroczni ludzie byli nieświadomi roli, jaką odgrywali w twoim teatrze kukiełek.

Geedis... Geedis się z nas śmieje. Twoi niegodni wyznawcy umierają w napromieniowanym statku. Co oni robili tak daleko od TA? Może nie byli z TA ani nawet z Letonii?

Postanowiłem, że natychmiast wyruszymy w kierunku mojego rodzimego świata. Wyznawcy Geedisa nie powiedzieli nic więcej. Powtarzali jedynie swoją mantrę. Geedis się z nas śmieje, wszystko jest żartem w oczach Geedisa. Każdy z nich miał ten sam medalion przedstawiający śmiejącego się Geedisa. Ich ciała rozłożyliśmy i oczyściliśmy, statek został wchłonięty.

Czas mijał. W podróży napotkaliśmy wrak jednej z naszych mnogii, pokryty jakimiś dziwnymi naroślami. Minęliśmy też dawną mnogię, z którą nie mogliśmy się połączyć — zbyt daleko się odgałęziliśmy od pierwotnego pnia. Byliśmy kiedyś jednym, lecz podzieliły nas historia, czas i adaptacja. Chociaż obserwowaliśmy i reagowaliśmy na sygnały, połykając po drodze nuklearny plankton przestrzeni międzygwiezdnej, czyniąc z niego źródło naszego napędu, Ja, nadal zamyślony, powracałem do myśli o TA. O Geedisie, którego przyjaźń była czymś wyjątkowym. Komensalizmem, gdzie czasami trudno wskazać, kto jest prawdziwym beneficjentem. Wskazywał nierzadko absurdy rzeczywistości, absurdy istnienia gildii magicznych, kompanii najemnych czy samej polityki między królestwami. Geedis wiedział o wszystkich prawie wszystko, czasami wydawało się, że w jakimś stopniu rozgryzł myśli innych. Nie był w stanie czytać myśli, chociaż pewne podstawy magii posiadał. Jednak jego nagłe pojawianie się zawsze okazywało się dziwnym zbiegiem okoliczności. Wiedział, kiedy zwykły śmiertelnik był w potrzebie, i zawsze wiedział, jak zaradzić krzywdzie lub wydobyć z tarapatów. Wiedział, jak poruszyć nic nieznaczącym chłopem, by całe księstwo rozpadło się jak piramida z wróżebnych kart. Sam zawsze pozostawał w cieniu. Uśmiechnięty. Śmiejący się. Za swoją uśmiechniętą gutańską mordką, szydzący i cierpliwie obserwujący.

Powoli zbliżaliśmy się do Letonii, okrążającej Vorkę. Była teraz inna niż ostatnio. Urosła i zmieniła poświatę. Jej partnerki w kosmicznym tańcu, Kohae, nie było widać. Dało się wyczuć, że oddziałuje na Vorkę

i okrążające ją planety, komety czy inne zlepki głazów, gazu i lodu, jednak nie było to tak mocne oddziaływanie jak to, które sam studiował. On, hylomanta i pan ożywionych maszyn, który począł żeglować między studniami grawitacji gwiazd i planet. W zasadzie astromanta, przemieniający bryły skał i lodu w swoje powłoki, w podległe jednostki, i wykorzystujący je do mnożenia. Pasożyt żyjący w otoczeniu, które samo w sobie jest jego pożywieniem i źródłem energii. Metabolizujący rozproszone w pustce atomy i zmieniający właściwości planet i ich księżyców. On, My, Ja! Ja powracam do TA.

Nie zbliżymy się bardziej do Letonii — walka z siłami jej niższych orbit będzie pozbawioną sensu stratą energii, materii i czasu. Postanowiliśmy rozdzielić się. W ten sposób Ja wyląduje w TA, kiedy My będziemy znajdować się w punkcie znoszenia się grawitacji Letonii i jej dwóch księżyców: Orbiusa i Forklesa. Poza Mną od Nas odłączą się także mniejsze jednostki, niczym młode z pyska wężoptaka. Ich zadaniem będzie wybranie planktonu nuklearnego i przeciwmaterii zamkniętych w magnetycznych pasach Letonii.

Rozłączenia się nie odczułem jako straty. Jesteśmy w kontakcie, ale nie jesteśmy jednością. Widzę z wysokości niskiej orbity TA miasta, góry i wody, które znałem, i te, które są mi obce. Ja jestem modułem, który wchodzi w atmosferę spłaszczoną powierzchnią i sztucznie emitowaną tarczą magnetyczną. Osiągając pewną wysokość, rozwijam skrzydła, wykorzystując mój reaktor. Używam atmosferycznych gazów, kierując się w stronę Daf'are TA, największego miasta-księstwa doliny. Z wysokości orbity wygląda na znacznie większe, niż kiedy widziałem je po raz ostatni, wisząc w pustce.

Lasy, łąki, góry i rzeki. Kraina TA. Jakże odmiennie wyglądają w innych spektrach. Chociaż staram się patrzeć dawnymi ograniczonymi widmami, by przywołać wspomnienie, obecna forma i liczba przemian, które przeszedłem — przeszliśmy — z ich perspektywy TA wygląda zupełnie inaczej. Nędzniej. Zbliżałem się do zabudowań Daf'are TA. Zabudowań — to mało powiedziane. Okoliczne wsie, które zaopatrywały księstwo w zboże, wyglądały na opuszczone. Zaniedbane pola, jakieś porzucone maszyny. Zniżyłem się do lądowania nieopodal miejskich zabudowań. Przyziemiłem na zdziczałej łące przed szczątkami budynków.

Wydzieliłem się z pojazdu, przyjmując formę identyczną z tą, jaką posiadałem, gdy opuszczałem tę krainę. Powłoka Tokara, brązowego mechanoida, miała przypominać moją dawną postać, chociaż wewnątrz nie było dawnych, sztywnych mechanizmów. Był za to reaktor otoczony mailtroniką przyjmującą postać mechanoida.

Zabudowania wyglądały na opuszczone. Panował dzień, Vorka świeciła w tej części globu we wczesnej fazie postpołudnia. Niebo przejrzyste i pozbawione obłoków. Jednak nie było ciżby ani chłopstwa. Nie było kupców ani wojowników. Ani zwierząt w gospodarstwie. Wszystko jakby martwe. Dało się słyszeć ruch, drapanie kopyt lub szponów o bruk. Sapanie, echa żywego organizmu. Jednak to nie odgłosy miasta o tej porze dnia.

Idąc w głąb zabudowań, wyczuwałem chemiczne sygnatury bliższe dzikiej łące niż miastu, będącej miejscem zamierzchłej bitwy. Zapachy, jak to ci z miękkimi ciałami nazywali, były mi kiedyś całkowicie obce. Nawet teraz są tylko informacjami. Nie wzbudzają we mnie żadnych somatycznych odruchów. Ścieżka wyglądała na zaniedbaną, nieuczęszczaną, a elewacjom domów brakowało prawidłowej konserwacji. Okiennice zbutwiały, murki z kamienia pokrywał mech. Dachy pozapadane, a w części budynków przez otwarte lub wyrwane drzwi dało się zobaczyć stare, leżące w nieładzie kości, ze śladami zębów. Dom za domem, uliczka za uliczką, domownicy i zwierzęta gospodarskie były martwe. Dalej leżały wyschnięte szczątki skrzydlaka. Co tu się stało? Gdzie jest TA pełne życia, kupców, rzemieślników? Gdzie jest TA, w którym toczyliśmy wojny, w których moi animowani piechurzy z głazów i stali siali postrach? Gdzie Motyle Wojny siały śmierć śpiewającymi strzałami swych harfłuków? Gdzie Stefan Smokobijca i Radon Wytrwały, którzy sforsowali moją twierdzę i zmusili do ucieczki? Gdzie jest Geedis?

Czy gdzieś jesteś i się śmiejesz? Przecież upłynęło tak dużo czasu. Letonia tyle razy musiała okrążyć Vorkę — czy jakimś cudem jesteś czymś więcej niż kośćmi? Czym był ten medalion, który nosili ci wędrowcy w surowych szatach?

Zbliżałem się do miejsca, gdzie kiedyś, dawno temu, zaczynało się miasto Daf'are TA. Miasta, jak każdy organizm, rozrastają się. Nie są samowystarczalne, więc potrzebują żmudnej pracy prowincji, by zapewnić sobie składniki odżywcze. Ot, jeden z wielu układów cywilizacji, jednak, o dziwo, dość powszechny, naśladujący bardziej superorganizm niż kolonię organizmów. Dziś zostały z niego tylko trwała skorupa i szkielety. Martwe,

pozbawione ruchu i populacji, przestaje być masywnym tworem gotowym kształtować życie całego otoczenia. Teraz leży jak szkielet wielkiego zwierza, ogołocony z żywych tkanek, lecz dla innych padlinożerców, szczególnie tych polujących na tajemnice, wiedzę, historię — archeologów — lub zwykłych zbieraczy, może jeszcze mieć znaczenie.

Dopiero po dotarciu do kolejnych zabudowań przypominających warsztaty cechowe zacząłem znajdować odzienie, narzędzia i broń. Rozczłonkowane szkielety przedstawicieli różnych ras zamieszkujących TA, które jeszcze miały na sobie fragmenty ubrań, pozwalały ocenić, kto zginął w walce, a kto z niewyjaśnionych przyczyn. Jednak wśród martwych leżały postacie w szatach podobnych do tych, jakie miała załoga napotkanego przez Nas statku. Obok dwóch znalazłem medalion. Identyczny, chociaż wykonany z innych stopów metali, medalion z Geedisem. Ich ciała układały się jakby w ścieżkę, która zakręcała w prawą uliczkę.

Dało się w tej uliczce wychwycić dźwięk skrobania jakiegoś zwierza. Dochodził z pobliża wielkiego budynku na jej końcu. Wśród zwłok porozrzucanych niczym kości wróżebne na tacy odnalazłem szkielet gutana. Gutanie nie mieszkali w miastach. Ich domem była puszcza Paral-Gut, chociaż Geedis za swój dom pojął opuszczoną strażnicę w okolicach Ilgea TA, która w czasach dawnych wojen patrzyła na przecięcie rzek Lar i Homy. Ale to nie był Geedis. Ten miał za długie różki.

Skrobanie ustało i zmieniło się w cichsze stąpanie drapieżnika. Zbliżałem się do budynku, przed którym leżał gruz, jakby ze zniszczonych posągów. Stąpanie zbliżało się do mnie. Było blisko, chociaż przez budynki nie udało mi się zauważyć sygnatur emisyjnych maszyn ani organizmów. Ani ciepła, ani fal, tylko drgania podłoża. Nieznaczne, co oznaczało, że coś się skradało. Słyszałem coś, co mogło być tylko wyciszonym oddechem. Zbliżało się do załomu budynku z wyrwanymi drzwiami i okiennicami, z którego parapetu wystawała zeszkieletowiała ręka z resztką mieszczańskiego odzienia. Nie czułem lęku. Czekałem jednak. Jeżeli to istota znająca język i mająca wiedzę, będzie mogła powiedzieć mi o tym, co tu się stało.

Zza załomu wyszedł granatowy stwór o sześciu łapach, z czego środkowe były krótsze. Bardzo podobny do kort — dzikich mieszkańców bagien. Jednak był zdecydowanie większy i jakimś cudem chodził na czterech łapach. Korty były z zasady prymitywne i trzymały się w małych stadach, jednak ten ewidentnie zdziczał. Odwrócił w moją stronę jednooki łeb

uzbrojony w duży dziób, idealny do przełamywania pancerzy i grubszych skór zwierząt żyjących na bagnach i w okolicach rzek. Nie wyglądał ani na zaciekawionego, ani na posiadającego wybitne zdolności komunikacji. Warczał na kilku częstotliwościach. Zbliżał się do mnie. Powoli. Coraz szybciej. Najpierw nisko na przednich i tylnych łapach, środkowe mając przy tułowiu. Potem nabierał prędkości. Szykował się do biegu i skoku.

Zmieniłem pozycję, by stanąć bokiem do zbliżającej się bestii. Wyprostowałem dłoń, która zmieniła się w wylot, zaś z przeciwnej strony generatora otworzyłem plecy. Zassane powietrze podległo rozgrzaniu i jonizacji, a jego strumień wystrzelił wprost w znajdującą się już w powietrzu, lecącą na mnie bestię. Plazma wyparowała bestię, zanim ta zdążyła chociażby zareagować, a strumień przepalił mury dwóch oddalonych budynków, topiąc kamień i zostawiając ślad emisyjny. W okolicy nie dało się już wyczuć żadnego drapieżnika. Poszedłem w stronę budowli ze zniszczonymi pomnikami.

Ze szczątków pomników wynikało, że przedstawiały postaci gutan w różnych pozycjach. U wejścia do świątyni leżało kilka szkieletów, zarówno zbrojnych, jak i tych jeszcze ubranych w szaty wyznawców Geedisa. Leżały medaliony, potłuczone tabliczki, figurki i naczynia. Medaliony znajdowały się na właścicielach lub w ich pobliżu.

Wszedłem do środka. Zaciemniona świątynia pozbawiona świec, z wybitymi oknami, przez które światło postpołudnia rzucało swoje snopy, rozświetlając wybiórczo pewne elementy zdewastowanych ławek i stołów, a zaciemniając inne. Na środku stał posąg przedstawiający siedzącego gutana. Śmiejącego się gutana. Na cokole wyryto napis: „Geedis się z nas śmieje. Wszystko jest żartem w oczach Geedisa". Patrzyłem na pomnik i przypomniałem sobie śmiech dawnego przyjaciela. Na nawach świątyni łuszczyły się pokryte grzybem malowidła. Przedstawiały Geedisa śmiejącego się podczas ceremonii koronacji Astrid. Geedisa wskazującego palcem królów idących na wojnę. Patrzącego zza chłopskiej chałupy na pogrzeb i żałobę. I wreszcie Geedisa, któremu wszyscy służą.

Kulty religijne budują się na mitach o żywych osobach lub ich reprezentacjach, jednak to było jakieś szaleństwo. Podszedłem do górującego nade mną, lecz nadal patrzącego na mnie posągu. Śmiejącego się ze mnie. Śmiejącego się z tego, co zostało z tego miasta, tej świątyni, z jego kultu. Wyciągnąłem rękę w jego stronę i głosem, jakiego używałem, kiedy jeszcze byłem mieszkańcem tej krainy, spytałem:

— Geedis, co tu się stało?!



Ilustracja: Jakub Oleksów (IG @doktor_gurgul)

ALEKSANDER KILLMAN

HARRY, ZOLTAN I ERYNIE

Jego zgrzytliwy wrzask zjeżył mi włosy wokół łysiny. Brrr, ależ to było nieprzyjemne, ale czego się spodziewać po gadziowatych? No, znaczy się, domyśliłem się, że był gadziowatym, właśnie po tym wrzasku. Bo przecież nie widziałem go jeszcze przez dłuższą chwilę, nim nie wyskoczył z przydrożnych krzaków, drąc tę swoją zębatą japę bez krzty godności.

— Co do stosu zgniłych bananów? — mruknąłem, ale chyba mnie nie usłyszał, bo przecież wrzeszczał nadal, jakby go goniło stado jakichś koszmarnych stworów.

Znaczy się, goniło go stado koszmarnych stworów, więc można powiedzieć, że ten rozdarty pysk był rozdarty nie bez przyczyny. Ale to zobaczyłem dopiero po tym, jak rozluźniłem zmarszczone brwi.

Właściwie to trudno było mi się zdecydować, czy chcę patrzeć na tamto stado — bądź co bądź oddalone od nas o dobre pół mili, czy raczej na gnającego wprost na mnie gadziowatego, który w tej chwili stanowił namacalne zagrożenie, skoro był ode mnie dwa razy wyższy i w panice łopotał skrzydłami, które nie nadawały się zupełnie do lotu, ale do wybicia mi paru zębów mogły wystarczyć.

— Ratuj, bracie! — wrzasnął na mój widok (a chyba potrzebował znacznie więcej czasu, by mnie zobaczyć, niż mnie zajęło dostrzeżenie jego rozpędzonego, zielonego jestestwa).

Dziwne wydało mi się, że nazywa mnie bratem. Nie łączyły nas żadne podobieństwa, jeśli nie liczyć dwóch łap górnych i dwóch dolnych. Gadziowaci mieli tendencję do zamykania się w swoim elitarnym kółku zielonoskórych, do którego pasowałem jak pięść do nosa. Ja, krępy ludziak, handlarz i rolnik, tak różny od tego mięsożernego plemienia, które reprezentował walący wprost na mnie ścigany.

No, ale skoro zniżył się do tego, chyba był zdesperowany. A banda koszmarnych stworów, będąca teraz nieco ponad ćwierć mili od nas, wyglądała niezbyt sympatycznie. Na pewno mniej sympatycznie niż nawet najmniej przyjemny dla oka zielonkawy gadziowaty ze skrzydłami.

— Wsiadaj — warknąłem, bo mój żołądek nie przetrawił jeszcze słodyczy jego kwilenia i czułem lekką zgagę na myśl o takim towarzystwie.

Nie wiem, czy moje słowa coś by zresztą zmieniły. Gadziowaty w mgnieniu oka znalazł się na wozie, a ja dołączyłem do niego, po czym smagnąłem Przecherę biczem i zaczęliśmy przyspieszać.

Przechera była dobrym zgułem pociągowym, ale nie miałem przekonania, czy pociągnie nas dość szybko, by rozwścieczone (takie sprawiało wrażenie) stado stworów przestało zagrażać gadziowatemu.

— Co to za bestie? — rzuciłem, poganiając Przecherę.

— To... potwory!

— Tyle poznaję. Ale jeszcze takich nie widziałem, a jeżdżę przez te góry od trzydziestu sześciu lat.

— No... — Zmieszał się wyraźnie, a na jego czoło wkradła się przewrotna zmarszczka. — Ja też nie!

Pomyślałem, że potem go przesłucham, bo na razie wściekłe badziewie zbliżało się i widać nie zamierzało odpuścić pościgu, choć Przechera powoli rozpędzała się do galopu.

— Za tym zakrętem jest Wielka Szczelina. Wjedziemy na most i, jeśli te bestie nie odpuszczą, stawimy im czoła na moście.

— Cz... czoła? — zapytał lękliwie gadziowaty. Dziwne, bo jego czoło wyglądało dość poważnie, na pewno nadawało się do tego, by go stawić.

Ja oczywiście miałem już wieloletnie doświadczenie w obronie dobytku przed wszelkiej maści rabusiami, których pełno było w górach, więc perspektywa stoczenia walki nawet nieco mnie podnieciła. Mimowolnie pogładziłem bojowy topór, którego ten wysoki chuderlak pewnie nawet by nie podniósł.

Wóz wtoczył się z rozpędem na solidnie zbudowaną przeprawę, rozpiętą wysoko ponad rozcinającą góry rzeką. Wielka Szczelina była tak głęboka, że wody, która przepływała w dole prawie nie było widać z tej wysokości. W przeciwnym razie zapewne pęknięcie w górach nazywano by Kanionem, a nie Szczeliną. Ale zbaczam z tematu.

Szarpnąłem Przecherę w znany jej dobrze sposób i wykonała gwałtowny manewr, na który mój przygodny pasażer nie był przygotowany. Co oczywiście niemal nie skończyło się dla niego twardym lądowaniem. Koła skrzypnęły i w kilka chwil wóz stał się barykadą, a ja stanąłem na niej z toporem w ręku niczym obrońca zamku na blankach.

Banda potworów zbliżała się, a ja w końcu mogłem im się przyjrzeć.

Były paskudne. Bardziej nawet niż ten zielony gadziowaty, choć na pierwszy rzut oka łączyły je z nim liczne podobieństwa. Co dziwne, udało mi się teraz zauważyć, że należały do plemion Ta, choć wydawały się półdzikie, być może zbezczeszczone w wyniku działania jakichś obrzydliwych mocy. Na wypadek, gdyby miały świadomość i sprawny język we wstrętnych gębach, zawołałem:

— Jestem Harry z Lagenstrad, a to mój wóz, mój zguł i mój gość. Jeśli chcecie wyrządzić im szkodę, musicie zmierzyć się ze mną!

Jakby zwolniły, choć nadal zmierzały w naszą stronę niczym jedna zlepiona masa. Trudno było ocenić ich liczbę, ale zdawało mi się, że dostrzegam około dziesięciu łbów. Wiły się przy tym i syczały, a ich kształty falowały, jakby same nie mogły się zdecydować, czym właściwie są.

— Zoltan! — syknęły jednym głosem. — Zoltan! Oddaj nam Zoltana!

— Zoltan to ten gadziowaty, tak? Teraz jest moim gościem, idźcie precz, bo wziąłem go pod swoją opiekę.

— Zoltan! Zoltan! — powtórzyły chórem, ale zatrzymały się, chyba mierząc wzrokiem mój topór. Może i było ich wiele, ale były raczej drobnej budowy. Jakby... Potrząsnąłem głową, przyglądając się im niepewnie. Jakby były jeszcze niedojrzałe.

— Idźcie precz! — warknąłem, unosząc broń.

Podziałało, bo potwory cofnęły się.

— Czy... one odchodzą? — zapytał Zoltan, kuląc się za bokiem wozu.

— Mają przewagę liczebną — wyjaśniłem tonem znawcy. — Wycofują się, żeby przemyśleć swoją taktykę. Jeśli ruszymy, zaraz za mostem wyprzedzą nas i napadną, gdy będziemy najmniej się tego spodziewali.

— To co zrobimy?

— Zaczekamy. Jeśli są zdesperowane, będą atakować i srogo oberwą. Jeśli są sprytne, zaczają się gdzieś w okolicy lub odpuszczą.

— Ale... jeśli zaczekają, to co my zyskamy?

— Zyskamy pewność, że są sprytne. Chyba, że je znasz... Zoltan?

Gadziowaty speszył się i jakby skurczył pod moim twardym spojrzeniem. Tak, tak — zorientował się, że się zorientowałem. Zresztą — kto by się nie zorientował?

— No, to już zostaliśmy sobie przedstawieni — wyszczerzył gadzie kły. — Jestem rzeczywiście Zoltan z Karramar.

— Miejska elita? Błąkasz się po górach z dala od domu, panie arysto-tfu-krata!

Kątem oka śledziłem odwrót tajemniczych potworów, które zwracały się po imieniu do swojej niedoszłej ofiary. Tymczasem Zoltan wił się bardziej niż przeciętny gadziowaty.

— Widzisz, nie daj się zwieść mojej urodzie...

Przyjrzałem mu się dokładnie. Nie, zdecydowanie nie dałem się zwieść.

— Jestem alchemikiem — ciągnął. — Przyszedłem w góry po kryształy, których potrzebuję do mojej pracy...

— Masz ładne różki — przerwałem mu. — Chciałbyś, żeby ci je skrócić?

Łypnął na mnie spode łba.

— Ale... o co ci chodzi, Harry?

— Kiedy zaczynasz kręcić, nad twoim lewym okiem pojawia się zmarszczka. Tak, jak w tej chwili.

— No... dobra. Uciekłem w góry przed NIMI. Ale znalazły mnie i chcą mnie zabić. Musisz mnie ocalić!

— Nic z tego, dopóki nie wyjaśnisz, co nimi powoduje. Co to w ogóle za stwory? Jakby należały do plemion, ale nie do końca. Gadaj!

Zoltan wyprostował się i rozejrzał. Pogoń rozpłynęła się w powietrzu. Westchnął i wspiął się z powrotem na wóz, nie widząc widać sensu w dalszym chowaniu się za nim.

Gdy przysiadł obok mnie, znów rzucił mi się w oczy jego wysoki wzrost. Przyszło mi do głowy, że z ostrzejszym kawałkiem żelaza albo większą pałką w łapie mógłby zapewne poradzić sobie z tym dziwacznym stadkiem. Ale do tego trzeba było mieć jeszcze odrobinę odwagi, której wyraźnie mu brakowało.

— Słyszałeś o Siostrzanym Stowarzyszeniu Selekcji Seksualnej?

— Ssss, tak, to ta sekta. — Skrzywiłem się z niesmakiem, sadzając tyłek na ładunku rzepy, którą wiozłem na pace. — Samice, które gardzą Nocą Płodności i odmawiają Wielkiemu Przypadkowi prawa do decydowania o naszym potomstwu.

— To jedno z ich przestępstw — przytaknął Zoltan. — Drugie to oddawanie się aktom prokreacji w dowolnym czasie. Tyle razy w roku, ile mają ochotę!

— No dobra, ale po co opowiadasz o tych obrzydlistwach? — zapytałem z obawą. — Te stwory pracują dla nich?

Pokręcił głową.

— Jeśli słyszałeś o Ssss, to może znasz także historię Krwawej Astrid?

— Astrid Wątróbki? — przeszył mnie dreszcz. — Ale ją spalili na stosie... kiedy to? Dwa lata temu?

— Niedługo będzie trzy — przytaknął ze smutkiem. Nie uszło to mojej uwagi.

— To była jakaś twoja znajoma?

— Ależ skąd! — Zoltan niemal zerwał się z miejsca. — Choć była jedną z najpiękniejszych samic w Karramar i to doprawdy smutne, że Ssss ją zwiodła swoimi hasłami.

— Piękna! — oburzyłem się. — Ona zjadała wątroby samców, których uwiodła! Gdyby jej nie złapali, każdy z nas byłby zagrożony.

— Ale była też niezwykle piękna, dlatego właśnie samce ulegali jej, zapominając o wstrzemięźliwości, do której wszyscy jesteśmy wezwani. Czy sądzisz, że zwyczajna samica przekonałaby tylu samców do... oddania się jej poza świętym czasem Nocy Płodności?

— No dobra, dobra.

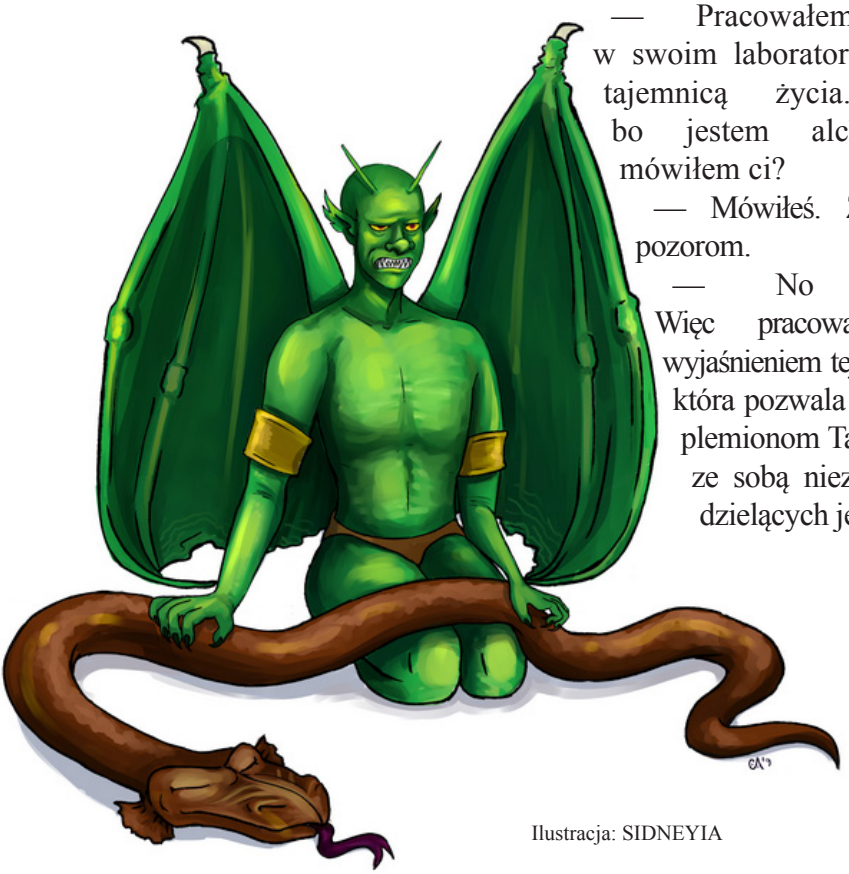
Poczułem, że zaczynam się niecierpliwić. To nie był bezpieczny temat.

— To co z tą Astrid?

— Pracowałem wtedy w swoim laboratorium nad... tajemnicą życia. Wiesz, bo jestem alchemikiem, mówiłem ci?

— Mówiłeś. Że wbrew pozorom.

— No właśnie. Więc pracowałem nad wyjaśnieniem tej tajemnicy, która pozwala wszystkim plemionom Ta łączyć się ze sobą niezależnie od dzielących je różnic...



Ilustracja: SIDNEYIA

— Wielka mi tajemnica! — prychnąłem. — Samiec i samica w Noc Płodności, upojeni napojem bogów...

— Nie o tym mówię! Chodziło mi o sposób, w jaki nasze cechy łączą się ze sobą, owocując najróżniejszymi połączeniami. Zwierzęta tak nie mają! Tylko my, istoty świadome, plemiona Ta, potrafimy oddać swoje ciała Wielkiemu Przypadkowi. Bywa, że przynosi to rezultaty wspaniałe, a bywa, że powstają... no, istoty słabe i pogardzane.

— Dlatego nazywamy to Wielkim Przypadkiem. Bo następuje przypadkiem. Wielkim.

Zoltan pokręcił głową, a w jego gadzich oczach płonął jakiś żar.

— A gdyby tak... pozwolić, by górę wzięły przypadki szczęśliwe? Co, gdyby łączyć ze sobą tylko najlepsze cechy?

Podrapałem się w łysą głowę. Do czego on zmierzał?

— Co to ma wspólnego z Astrid?

— Astrid miała wiele wspaniałych cech! A ponieważ uwodziła samców poza świętym czasem Nocy Płodności, nie pozostawiła potomstwa. Co za strata!

— Ckliwa historia. Coś jeszcze?

— To dopiero początek historii!

Skrzywiłem się. To był dopiero początek? No, cóż — musiałem szykować się na najgorsze.

— Dostałem pozwolenie na zbadanie ciała Astrid. Wiesz, jako alchemik miałem pewne uprawnienia...

— Zaraz, ale ona spłonęła na stosie!

— Eeee... No, więc niezupełnie. To znaczy, owszem, na stosie spalono jej ciało, ale w geście protestu Astrid wcześniej sama... zadała sobie śmierć. Powiesiła się w celi.

Mruknąłem z namysłem. O tym się raczej nie mówiło i chyba rozumiałem, dlaczego.

— No, więc... Oczywiście za pełną zgodą, pełną zgodą!

— Wierzę ci, ale co za pełną zgodą?

— Pobrałem z jej łona... niezapłodnione jaja.

— Po co ci jaja martwej samicy!?

— Ona była martwa dopiero od paru godzin, a wiesz, że ciała gadziowatych potrafią przechodzić w stan pełnej śmierci bardzo powoli... Więc pobrałem jej jaja i, w pośpiechu, póki była w nich iskra życia, przystąpiłem do eksperymentu.

— Do czego!?

— No, eksperyment to coś, co robimy my, alchemicy, gdy chcemy sprawdzić, czy coś działa tak, jak to przewidzieliśmy.

— Mów po normalnemu: co zrobiłeś?

— Zapłodniłem jej jaja i przystąpiłem do obserwacji.

— Zapło... jak!? Czym?

— No, pod ręką miałem tylko swoje... No, rozumiesz, to nie było do końca planowane, musiałem działać w pośpiechu.

— Ale... To świętokradztwo! To pewnie nie była nawet Noc Płodności!

— Nie była... Ale co miałem robić? Zaryzykowałem! Refleksja przyszła później... Zrozumiałem, że dopuściłem się strasznego przestępstwa.

— A to w ogóle zadziałało? Ten twój... ekspecoś tam?

— Obserwowałem jaja przez kilka nocy, aż zaczęło do mnie docierać, że w imię alchemii igram z samym życiem! Przeraziłem się. Trochę wtedy wypiłem... Wiesz, ten cały stres i w ogóle. Zawinąłem jaja w płaszcz i wymknąłem się z pracowni. Wzdłuż ulicy płynęły rynsztoki, był koniec pory deszczowej... Wrzuciłem jaja do rynsztoka i postanowiłem nigdy nie wracać do eksperymentów na życiu.

— Ale... — Zaczęło do mnie docierać. — Ale to nie był koniec?

— Zdawało mi się, że był. Przez parę lat niemal udało mi się zapomnieć o tamtych kilku szalonych dniach. Aż pewnego dnia pod drzwiami mojej pracowni stanęły one...

— One? — Pokazałem palcem w kierunku, gdzie niewiele wcześniej zniknęła banda stworów.

— Tak. One. Nie tylko przetrwały, ale podrosły, żyjąc w kanałach pod miastem. Kryły się w ciemności, podglądały mieszczan, podsłuchiwały rozmowy. Musiały być w tym niezwykle sprytne. Nawet nauczyły się coś niecoś mówić! Jak to w ogóle możliwe!? W każdym razie przybyły do mnie tamtej nocy i... chyba uważały mnie za ojca!

— No... — Zasępiłem się. Ta historia brzmiała jak jedna z wielu bajęd, których słucha się przy nastym kuflu w knajpie po długiej podróży. — W sumie to chyba nim jesteś.

— Oszalałeś!? To są potwory, które chcą mnie zabić!

— A właściwie dlaczego chcą cię zabić? Kiedy przyszły do ciebie, od razu miały takie zamiary?

— Eeee... nie całkiem. Po prostu, ja... no wiesz, nie byłem przygotowany na taki obrót spraw.

— Co zrobiłeś? — Próbowałem nadać mojemu głosowi zrównoważone brzmienie, ale nie jestem pewien, czy mi się to udało.

— Wiesz, no pewnie postąpiłbyś tak samo, gdyby zgraja potworów w środku nocy...

— Nie bądź taki pewien, co bym zrobił! — huknąłem, wstając, i choć byłem od niego dwa razy niższy, przez chwilę mogło się wydawać, że jest dokładnie na odwrót.

— No, ale ja nie wiedziałem, że one... że tak źle mnie zrozumieją! A potem już było za późno, zawzięły się! Próbowałem je przekonać, że jednak nie żywię złych zamiarów, że nie musimy żyć w niezgodzie... Ale nie chcą słuchać! Naprawdę nie chcą!

Bez słowa zeskoczyłem z wozu i jąłem przysposabiać Przecherę do dalszej podróży.

— C... co robisz?

— Ruszam dalej.

— Ale przecież mówiłeś, że nas dogonią...

— JA ruszam dalej. TY zostajesz.

— Ale... ale Harry! One mnie zabiją!

— To twoje córki, wychowaj je — mruknąłem, znów ustawiając wóz równolegle do gościńca. Zoltan gestykulował, zapierał się, błagał, ale nie wzruszyły mnie jego jęki.

— Nie podniosę topora przeciw dzieciom. Żegnaj, Zoltan. I obym cię więcej nie spotkał.

Wóz ruszył powoli, a zielona sylwetka gadziowatego zaczęła znikać za górką rzepy. Nie oglądałem się, choć czułem ukłucie ciekawości, jaki los spotka Zoltana. Z drugiej strony — czy taka historia mogła zakończyć się dobrze? I jakie zakończenie w ogóle mogłoby być dobre, zważywszy na to, co wydarzyło się do tej pory? Znów poczułem okropny, lodowaty dreszcz. Co za niefortunny los przywiódł mnie na tę drogę w ten dzień? Czy uda mi się wymazać z pamięci wszystko, co usłyszałem? Bo o tym, że ty nigdy mi nie uwierzysz, jestem przekonany.

Dolej, jeśli łaska.

KATARZYNA OPHELIA KOĆMA

CASTING

Zwykle o tej porze w poczekalni tłoczyło się wiele bytów. Tym razem przebywały w niej jedynie trzy istoty. Mimo przestronnego, jasnego korytarza z siedziskami obitymi miękką substancją pomieszczenie zdawało się dziwnie ciasne. Napięcie zawisłe między oczekującymi skutecznie wypychało przestrzeń, zagarniając coraz więcej miejsca. Gdy Zoltan rozprostował skrzydła, niebieski kompan zwrócił mu uwagę, że pęd powietrza mierzwi misternie wyczesane futro. Niebieskofutry Uno nie mógł także zdzierżyć, iż od kilkunastu minut Tokar wyświetla hulające po całym korytarzu hologramy. Posiadacza gigantycznego oka pośrodku czaszki ruchome obrazy w takim natężeniu musiały wręcz fizycznie boleć. Co więcej, złocista powłoka towarzysza, która skrzyła się jaśniej niż niejedna biurowa lampka, tylko potęgowała migrenę. Tokarowi natomiast, przyzwyczajonemu do powierzchni twardych, niełatwo było znieść zapadające się krzesła, a widok smokoidalnego zieleńca tulącego pluszowego węża sprawiał, że diody aż skrzyły się ze złości.

Każdy z bytów od godziny zastanawiał się — czy to w zaciszu własnego jestestwa, czy też wspólnie z dwójką pozostałych, dlaczego ich wezwano. Wiadomość sprzed dwóch dni była krótka i enigmatyczna: przeszli do ostatniego etapu castingu, podano im czas oraz miejsce przesłuchania. I tyle. Problem w tym, że żaden z nich nie brał udziału w castingu. Pragnęli jedynie jak najszybciej wyjaśnić zaistniałą pomyłkę.

Dlatego, gdy Głos wezwał Tokara do jakiegoś wnętrza za pomalowanymi czernią drzwiami, ucieszyli się całą trójką, zapominając o wcześniejszych uprzedzeniach. Oczywiście zarówno Uno, jak i Zoltan woleliby wejść pierwsi, ostatecznie jednak nieznana machina została wprawiona w ruch, a zniknięcie Tokara oznaczało, że i na nich przyjdzie kolej, wcześniej czy później.

Czarne drzwi kryły w sobie okrągły pokój wymalowany granatową farbą z fluorescencyjnymi gwiazdami ułożonymi w konstelacje. Poza

prostym i twardym krzesłem w pomieszczeniu nie znajdowało się absolutnie nic. Tokar zastanawiał się więc, skąd dobiega Głos i dlaczego nie widać żadnego bytu, który mógłby go wydawać.

Głos nie pozostawił mu jednak czasu na dywagacje.

— Proszę się przedstawić — zabrzmiało z nicości. — Nazwisko, wiek, rasa, wykonywany zawód.

Tokar odpowiedział więc, że choć ma zaledwie trzy lata, jest uznanym holotorem, pierwszym w historii niebiologicznym zdobywcą statuetki „Holo-Ideolo" za siedmiowymiarowy hologram propagandowy. Robotowi niemal przepalały się obwody z chęci pochwalenia się wielkim dziełem, Głos zadał jednak kolejne pytanie.

— Panie Tokarze, czy ma pan duszę?

Gdyby twarz Tokara zdolna była do wyrażania mimiki, z pewnością zmarszczyłby brwi. Bo cóż znaczy owo: „Panie Tokarze, czy ma pan duszę"? I co w ogóle znaczy dusza? Ponieważ jednak pierwszy spośród wezwanych na casting niepozbawiony był mądrości, wiedział, że należy powiedzieć coś, co stworzy pole do dalszej dyskusji.

— Ależ oczywiście — odparł.

— A skąd pan o tym wie? — dociekał Głos.

— Jestem tu, mówię, tworzę, myślę. Posiadam świadomość, pamięć i tożsamość. Czy to nie są dowody na istnienie duszy?

— Nie, panie Tokarze. Mam na myśli duszę jako twór pozamaterialny. Nie posiada pan organicznego ciała. Owszem, jest pan bytem inteligentnym, jednak żadna pana myśl, żadne pragnienie czy potrzeba nie wypływają z tej — proszę mi wybaczyć — złocistej skorupy, lecz z programu komputerowego.

— A czy to ważne skąd? Byt kształtuje świadomość. Myślę, więc jestem.

— Ważne, panie Tokarze. Nawet nie zdaje sobie pan sprawy, jak ważne. Nie neguję pana tożsamości, nie podważam jednostkowości, jednak czy w sytuacji, gdyby pana doczesna powłoka została zniszczona, pan jako pan dalej będzie istniał? Bo tak właśnie dzieje się z istotami posiadającymi duszę. Ciało jest śmiertelne, ale nie dusza. Ponieważ dusza stanowi gwarant, że nigdy pan nie umrze. Każda posiadająca świadomość jednostka zrodzona z natury ją posiada, czy tego chce, czy nie. Ale czy robot dysponuje duszą? Tego nie wiemy.

— Dlaczego zatem pytasz mnie o coś, co pozostaje niewiadomą?

— Powinien pan wiedzieć, czy ma pan duszę, czy nie. Nie sądzi pan?

— Skoro tak, uznajmy, że mam.

— Nie narodził się pan z ciała, lecz został zaprojektowany przez istotę organiczną, w jaki więc sposób wszedł pan w jej posiadanie? Duszy oczywiście, nie istoty organicznej — uzupełnił Głos.

— Skąd mam wiedzieć? Ja się znam na hologramach, nie na duszach — zirytował się robot.

— Wierzy pan w Boga, panie Tokarze?

— Nie interesuję się religiami.

— Nie pytam o zainteresowania, ale o wiarę.

— Nie bardzo.

Tokar mógłby przysiąc, że Głos stropił się na takie wyznanie. Być może robot zburzył misternie zaplanowaną koncepcję konwersacji. Czy jeśli nie wierzy, to trochę źle, bardzo źle, neutralnie, czy może dobrze? Sądząc z wcześniejszych pytań — chyba nie najlepiej. Poprawił się na krześle — wreszcie było idealnie twarde i wyprofilowane, wprost zaprojektowane pod jego złocistą powłokę.

— Może inaczej... — zaczął Głos po chwili ciszy. — Powiedzmy, że każdy świadomy byt posiada duszę. To powszechne prawo wszechświata. Dusza stanowi gwarant przetrwania świadomości nawet po zniszczeniu ciała. Ale nagle pojawia się rasa istot, które jej nie mają. Jak traktowałby pan taką jednostkę?

— Normalnie.

— Proszę rozwinąć.

— Jak już mówiłem, nie znam się na duszach. I tak po prawdzie, wcale mnie one nie interesują. Dlatego nie robi mi różnicy, czy ktoś ma duszę, czy nie. Każdy byt należy traktować tak samo.

— Proszę jednak pomyśleć i rozważyć różne opcje. Może należałoby takiemu bytowi współczuć i traktować go lepiej? Nic dobrego poza tym, co tu i teraz, przecież go nie spotka. Albo ukrywać przed nim ten brak, by nie odbierać nadziei? A może od razu zutylizować, skoro i tak jego życie pozbawione jest sensu? Czy zabójstwo bytu bez duszy liczy się tak samo, jak tego, który duszę posiada?

Tokar zabrzęczał metalowym korpusem. Miał serdecznie dość Głosu, bezsensowych pytań, gwieździstego pokoju, a nawet wygodnego krzesła. Chciał po prostu wstać i wyjść. Podniósł więc złocistą powłokę i ruszył w stronę czworoboku czerni. Głos milczał, lecz robotowi zdawało się, że w ciszy błądzą wahanie i jakby... pogarda.

— Panie Tokarze — dobiegło go gdzieś na granicy pokoju i korytarza. — Czy gdyby istniał wykrywacz duszy, zdecydowałby się pan na sprawdzenie, czy ją posiada?

— Nie. — Z ulgą nacisnął klamkę.

Gdy Uno i Zoltan usiłowali dowiedzieć się, jak przebiegł casting, robot uświadomił sobie, że nie zapytał o najważniejsze: „O co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi?". Nie mógł uwierzyć, że przez dziesięć minut rozmawiał z Głosem o metafizyce i nie zapytał, po co się tu znalazł i o jakim dokładnie castingu mowa. A także: co powinien zrobić po wyjściu z gwieździstego pokoju. Opuścić budynek czy zostać i poczekać, by przekonać się, jak poradzą sobie pozostali?

Uno zasugerował, że może nie chodzi o casting, a śledztwo w jakiejś kosmicznie ważnej sprawie. Może popełnili przestępstwo i dlatego ich tu sprowadzono. Stąd i potrzeba konspiracji, o zbrodniach nie rozpowiada



Ilustracja: BrandonQueue

się przecież na prawo i lewo. Niebieskofutry nie miał jednak czasu rozwinąć koncepcji, gdyż właśnie zaproszono go na rozmowę.

***

— Nie wiem, ile mam lat — przyznał stropiony cyklop, wiercąc się na niewygodnym krześle. — My mamy ciut inną koncepcję czasu. Ale będzie tak ze... czterysta? No, może trochę więcej. Kiedyś zajmowałem się oczozmniejszaniem. Takie wielkie oko to tylko kłopot, no i pozostaje też kwestia mody...

— Czy byt ze zmniejszonym okiem jest nadal tym samym bytem? — wszedł mu w słowo Głos.

Uno nie wiedział. Przecież żaden z niego intelektualista. Prosty cyklotysta, ot i tyle. A oni mu nagle z czymś takim. Coś musiało się stać, o coś go zaraz oskarżą. Tylko o co? Już od dawna nie zmniejsza przecież oczu, obecne prawo nie pozwala na przeróbki ciał. Może któryś z dawnych klientów ma problem? Może — nie daj Kosmosie — czyjeś oko się rozdwoiło? Takie przypadki czasem się zdarzały.

— Panie Uno, zadam pytanie w nieco innej formie — pospieszył z pomocą Głos. — Czy gdyby doznał pan wypadku i odjęto panu jedno z ramion — Uno aż wzdrygnął się na myśl o tym, że pozostałoby mu do dyspozycji jedynie pięć kończyn, a wówczas nie mógłby dorabiać na boku w podziemiach futerskiego strzygarstwa — nadal byłby pan sobą?

— No a kim niby?

— A gdyby zamontowano protezę?

— A co ma do tego proteza?

— Byłaby przecież czymś sztucznym.

— Ale to nadal byłbym ja, nie?

— A gdyby wymieniono panu każdy żywy organ w ciele poza mózgiem? Albo przeszczepiono mózg do innego ciała, niekoniecznie należącego do gatunku cyklopów niebieskofutrych, robiłoby panu różnicę?

— Pewnie byłoby mi trochu trudno się przyzwyczaić.

— Mi? Czyli to nadal byłby pan?

— No, panie Głosie, a kto inny? Przecież ja to jestem ja. Weź pan przestań takie durne pytania zadawać. Tak w ogóle, to o co tu biega? Może mi pan łaskawie powie, co ja tu robię? A ten smok i robot? Po co tu są?

— Już prawie kończymy. Ostatnie pytanie. Czy patrząc na przedstawiciela pańskiego gatunku ze zmniejszonym okiem, odczuwa pan dyskomfort?

— Że co proszę?

— Przez lata, a właściwie wieki, dokładnie trzy, zajmował się pan redukcją cyklotyczną. Mówiąc wprost — zmniejszał pan oczy przedstawicieli swojej rasy. Na pewno zdarzały się też nieszczęśliwe wypadki rozdwojenia, a nawet roztrojenia. Czy widok osobników tak okaleczonych, w dodatku pana własną kończyną, nie wydawał się nigdy przykry?

— Żadne tam „okaleczonych". Sami chcieli. Panie Głosie, pan wie, jak trudno się żyje z takim wielkim okiem? Łeb to mi nawala non stop.

Akurat w tym przypadku Uno nie kłamał. Odkąd znalazł się w gwieździstym pokoju, czuł się fatalnie. Puszyste futro w odcieniu mięty oklapło i posklejało się od potu, a przed okiem przelatywały gwiazdy, które powinny tkwić przecież na ścianie.

Głos nie odezwał się więcej. Niebieskofutry miał wrażenie, że jego odpowiedzi nie do końca spodobały się Głosowi. Co mógł jednak zrobić? Zawsze cenił szczerość, a przy tym bywał nieco popędliwy, mówił więc dokładnie, co myślał. A nawet więcej, niż myślał. Dlatego i teraz, nawet nie zastanawiając się, co robi, samowolnie opuścił pokój.

***

— Mógłby pan jeszcze raz powtórzyć, ile ma pan lat? — dociekał Głos.

Zoltan przytulił mocniej wężową maskotkę. Tak bardzo nie chciał tu być. Pomieszczenie zdawało się zbyt ciasne, nie mógł nawet rozprostować skrzydeł. Za każdym razem, gdy napinał pokryte seledynową błoną narządy, miał wrażenie, że zmiata ze ściany jakąś część gwiazd.

— W świecie rzeczywistym czterdzieści osiem, ale głównie przebywam w świecie rozsennym, a tam czas nie istnieje.

— Mógłby pan wyjaśnić? Niestety w bazie danych nie ma zbyt wielu informacji na temat pańskiej rasy.

— Na rozstaju snów. Jestem szefem Komisji do Spraw Rozdziału Marzeń i Koszmarów Zjednoczonych Galaktyk.

— Czy jest pan sprawiedliwy w swych przydziałach?

— Mam taką nadzieję.

— Czy kiedykolwiek przydzielił pan jakiemuś bytowi koszmar, który go zabił?

— Niestety tak.

Wypowiadając te słowa, Zoltan zatrzepotał skrzydłami. Taki miał tik nerwowy, na który nie pomagało nawet przytulanie maskotki. Właściwie

wężowy pluszak wzmacniał nie tylko uczucie klaustrofobii, ale i smutku. Jego właściciel odnosił wrażenie, że cała rozpacz, jaką w nim niegdyś zamknął, z powrotem wsącza się w serce.

— Żałuje pan tego?

— Nie.

— Jak to?

— Niektóre sny muszą zabijać. Tak stanowi prawo. Nie ja je ustanawiałem.

— Czy przy wyborze marzenia sennego kieruje się pan gatunkiem danego bytu?

— Tak, trzeba dostosować sen do możliwości nie tylko danej jednostki, ale i szerzej — gatunku.

— Czy przez wzgląd na gatunek jakikolwiek istota otrzymała kiedyś gorszy lub lepszy sen, niż powinna?

Smokoidalny trzepnął lewym skrzydłem tak mocno, że ściana zadudniła. Czy Głos mógł wiedzieć o nieszczęściu, jakie go spotkało? Chciałby teraz szybować wśród gwiazd, drganiem skrzydeł generując kolejne sny, musiał jednak siedzieć na uwięzi, zamknięty w owalnym pokoju bez okien.

— Czasem zdarzają się zaniedbania. Nie zawsze potrafimy właściwie zinterpretować wszystkie okoliczności. Mogę jednak zapewnić, że żaden byt nigdy świadomie nie dostał nieprzeznaczonego dlań snu, więc...

— Panie Zoltanie, proszę sobie wyobrazić taką sytuację — Głos zignorował próby wyjaśnienia — że ma pan do rozdysponowania dwa sny. Jeden jest neutralny, drugi to zbiorowy koszmar, zdolny zabić kilkadziesiąt jednostek. Byty te jednak należą do gatunku nieprzyjaznego pana rasie, drugą istotą śniącą zaś jest przedstawiciel smokoidów-zieleńców. Może pan zabić wiele nieprzyjaciół, ocalając jednego osobnika z pańskiej rasy, albo zgładzić swego pobratymca i ocalić tamtych. Co by pan wybrał?

Zoltan nie trzepotał już skrzydłami. Unosił się nad sufitem, tuląc bezradnie miękką zabawkę. Bał się spojrzeć na podłogę, nie chciał zobaczyć kałuży łez.

— Ja nie muszę sobie wyobrażać — zaszlochał. — Ja... ja to zrobiłem. Ta... ta... maskotka — uniósł węża w stronę drzwi, zupełnie jakby bryła czerni stanowiła portal do miejsca, w którym przebywał Głos — należała do mojej córeczki. Zesłałem na nią śmiertelny sen, by ocalić armię wrogów.

Gdy Zoltan wyfrunął z pomieszczenia, Głos wciąż milczał. Uno i Tokar próbowali uspokoić towarzysza. Był wdzięczny tym obcym bytom, że troszczą się o niego, mimo początkowych animozji. W końcu są tu z jakiegoś powodu, powinni się więc jednoczyć, nie zaś dzielić.

— Szanowni goście. — Po chwili na korytarzu rozległo się znajome dudnienie. — Mam przyjemność powiadomić was o wygranej. Przeszliście pomyślnie przez wszystkie 24 etapy rekrutacji. Wasze wspomnienia zostały wymazane w momencie złożenia podania o rozważenie kandydatury, dlatego nie pamiętacie udziału w poprzednich przesłuchaniach. Spośród 46085 kandydatów należących do 5647 gatunków zamieszkujących 101 planet wybrano waszą trójkę. To wielki zaszczyt, lecz i wielka odpowiedzialność, jesteśmy jednak pewni, że podołacie zadaniom, które czekają was na Ziemi. Jutro rozpocznie się procedura przydziału nowych powłok cielesnych. Gratulacje, wygraliście casting na człowieka.



Ilustracja: Krzysztof Kietzman

MONIKA NOWAK

NA RATUNEK GEEDISOWI

— Geedis już dawno powinien tu być — powiedział zmartwiony rubinowy smok. — Mieliśmy się spotkać na środku tej polany w samo południe!

Siedząca na grzbiecie bestii postawna dziewczyna o długich złotych włosach, spomiędzy których wystawały zakręcone, wyglądające na bardzo niebezpieczne rogi, wyraźnie posmutniała. Jej śliczną twarz szpeciła długa blizna. W milczeniu pogładziła smoka po lśniących czerwienią łuskach na szyi.

W niedalekiej odległości, pomiędzy drzewami krążył wychudzony, podstarzały mężczyzna w rogatym hełmie. Posępną twarz pokrywała siateczka zmarszczek, spod krzaczastych brwi lśniły roziskrzone gniewem brązowe oczy. Zatrzymał się przy smoku i dziewczynie, po czym zaczął mówić:

— Geedis nigdy się nie spóźnia. To do niego niepodobne! Zawsze dotrzymywał danego słowa, choć to mały, złośliwy demon. — W jego głosie rozdrażnienie mieszało się z niepokojem o los kompana.

Dziewczyna zeskoczyła z grzbietu smoka i podeszła do wojownika. Jej niebieskie oczy miały wąskie, kocie źrenice. Wydawała się bardziej demonem niż człowiekiem.

— Radonie, tracimy cenny czas. Musimy go poszukać. Boję się o niego. W Krainie Ta jest wiele istot, które pragną wykorzystać jego potencjał!

Podobnie jak smoki, przyjaciel Rimeldy i Radona był rzadkim stworzeniem obdarzonym wielką mocą. Należał do wymarłego rodzaju demonów. Ostatnim przedstawicielem. Magowie i wszelkiego rodzaju czarnoksiężnicy zażarcie polowali na członków gatunku Geedisa, by pozyskać ich magię oraz skórę do celów alchemicznych i jako składniki do mrocznych zaklęć. Zabito wszystkich poza małym demonem, którego ocalili Radon i jego kompania. Geedis był wtedy jeszcze dzieckiem, któremu odebrano rodziców. Starszy wojownik wraz z dziewczyną i smokiem zaopiekowali się malcem i ukrywali go przed zagrożeniami, aż nie wydorośleje. Przez te lata zdążyli bardzo zbliżyć się do Geedisa.

Traktowali go jak syna, którego nigdy nie mieli. A teraz znowu znalazł się w niebezpieczeństwie. Rimelda zamierzała zrobić wszystko, co w jej mocy, by ocalić demona. Nawet poświęcając własne życie.

— Rimelda ma rację — powiedział smok, wyrywając demonicę z rozmyślań o przeszłości. — Będę wypatrywać z góry, a wy spróbujcie przeczesać las. Nie martwcie się, wrócę do was.

Mężczyzna skinieniem głowy zgodził się z propozycją.

— Bądź ostrożny, Morserusie — dodał Radon na pożegnanie.

Smok zamruczał w odpowiedzi, po czym odbił się od ziemi, rozkładając szerokie błoniaste skrzydła. Po chwili zniknął za zasłoną potężnych koron drzew puszczy. Zmartwieni kompanii Geedisa odwrócili się na pięcie, po czym zniknęli w leśnej gęstwinie.

***

Wielka Czarna Puszcza należała do najniebezpieczniejszych miejsc w całej Krainie Ta. Na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo oraz pewna śmierć dla tych, którzy nieuważnie wybierali ścieżki. Mantikory, gobliny i inne bestie czekały tylko na nieostrożny ruch wędrowców, by zaatakować.

Wędrowcy znali dobrze te tereny, wiedzieli, co kryło się w wiecznie zielonej kniei. Nie zbaczali z wytyczonego szlaku. Czujnie rozglądali się wokół, trzymając w pogotowiu miecze. Strach i niepewność co do losu Geedisa popychały ich naprzód. Cokolwiek mogło spowodować zaginięcie demona, Rimelda z Radonem nie zamierzali spocząć, dopóki go nie odnajdą.

Skręcili w kolejną leśną ścieżkę. Nie uszli daleko, gdy nagle zobaczyli stos martwych ciał na listowiu. Jedne należały do małych zielonych istot, a inne do człekopodobnych o szarej jak skała skórze. Zwłoki znaczyły głębokie rany, zadanie sztyletem albo szponami jakiejś bestii.

— Gobliny i elfy jaskiniowe — syknęła demonica, pochylając się nad zwłokami i przyglądając rozległym ranom. — Ślady szponów i czarnej magii... Myślę, że to robota naszego Geedisa. Napadnięto go. Próbował się bronić.

Wstała i ostrożnie obeszła pobojowisko, starając się nie zadeptać żadnych śladów. W oddali dostrzegła jeszcze więcej zwłok, ślady wielu stóp odciśnięte w błotnistej ziemi, a także coś jeszcze. Powoli wszystko zaczęło się układać w całość w jej głowie. Wstała szybko i odwróciła się do Radona.

— Leżało tu jeszcze jedno ciało. Kogoś ciągnięto po ziemi. Wygląda na to, że za zniknięciem naszego przyjaciela stoją elfy jaskiniowe.

Radon zmarszczył brwi.

— Sprzymierzyły się z tymi małymi zielonymi skurwielami?

Rimelda kiwnęła głową.

— Na to wygląda. Ślad jest jeszcze świeży, więc jest szansa, że uda nam się wytropić grupę i uwolnić Geedisa.

W tym momencie powrócił Morserus i z gracją wylądował na ścieżce obok Rimeldy i Radona. Upłynęły raptem dwie godziny od czasu, gdy się rozdzielili, a Radon miał nadzieję, że smok zdołał się dowiedzieć czegoś więcej niż on i Rilmelda.

Wojowniczka podeszła do smoka, uśmiechnęła się. Widok Morserusa bardzo ją ucieszył. Z jego pomocą znalezienie wrogiej grupy stałoby przebiegłoby znacznie szybciej niż gdyby podjęli pościg piechotą.

— Udało ci się czegoś dowiedzieć? — zapytała. — Znaleźliśmy ślady goblinów i elfów jaskiniowych. To oni stoją za pojmaniem demona.

— Jest tak jak mówisz, Rimeldo — zaczął Morserus. — Niedaleko stąd zobaczyłem te podłe stworzenia. Mają w magicznych kajdanach małego demona. Wyglądał jak nasz Geedis! Zmierzają do Zrujnowanej Świątyni. Mam wrażenie, że mają wobec niego jakieś plany.

— Nic mnie nie obchodzą ich plany — syknął Radon. — Nie pozwolę im wykorzystać mocy Geedisa do złych celów!

— Wsiadajcie na mój grzbiet — powiedział smok. — Jeśli mamy odciąć wrogowi drogę, musimy się pospieszyć.

***

Pod wieczór na rozległej leśnej polanie natrafili na obozowisko wroga. Znajdowało się jakieś trzy dni drogi od Zrujnowanej Świątyni. Rimelda oparła się o drzewo i ostrożnie rozejrzała. W obozie panowała senna atmosfera. Znudzeni wartownicy przechadzali się pomiędzy namiotami. Dziewczyna dostrzegła, że to elfy i gobliny.

Podeszła ukradkiem do elfa jaskiniowego, który trochę nieostrożnie oddalił się od reszty i chwyciła go mocno, zatykając mu usta, po czym pociągnęła jeńca do miejsca, gdzie czekali jej kompani. Elf szarpnął się, przerażony na widok tej dwójki.

— Nie spotka cię z naszej strony żadna krzywda pod warunkiem, że

odpowiesz na nasze pytania. — Radon od razu przeszedł do rzeczy. — Gdzie trzymacie Geedisa?

— Nawet jeżeli cokolwiek wam powiem i wypuścicie mnie wolno, i tak zabije mnie Cecily — warknął wściekle.

Radon popatrzył z obrzydzeniem na wroga. Jego skóra była szara jak kamień. Włosy miały rdzawy kolor błota, a zęby były lekko wydłużone. Wyglądały bardziej na orcze niż elfie, choć wiele historii krążyło o tej rasie. Mówiło się, że kiedyś elfy skrzyżowały się z orkami, a ich potomstwo stało się plagą dręczącą lasy Krainy Ta.

W zielonych oczach przesłuchiwanego czaiło się paniczne przerażenie. Rimelda ścisnęła mocniej nadgarstki jeńca, sprawiając, że ten stęknął z bólu.

— Gniew twojej pani będzie twoim najmniejszym zmartwieniem, kiedy wypatroszę cię jak rybę — zagroziła. — Gadaj! Już!

Elfa jaskiniowego zaczęła opuszczać odwaga.

— Nawet jeśli powiem, nic wam to nie da. Demon jest dobrze strzeżony. Nie macie szans się do niego dostać.

— To się jeszcze okaże. — Radon wyszczerzył zęby w groźnym grymasie. — Mów!

— Jest w szałasie na środku obozu.

— Dziękuję ci za współpracę. Dobranoc! — Radon przywalił elfowi w czoło z główki, pozbawiając go przytomności.

Rimelda położyła bezwładne ciało na listowiu. Wyglądało na to, że nareszcie los się do nich uśmiechnął. Byli o krok od wydostania przyjaciela z niewoli, jednak musieli działać ostrożnie. Mimo obecności smoka wrogowie mieli nad nimi przewagę liczebną. Wiedziała, że Geedis wciąż żył. Jednak to dopiero początek, Rimelda i jej towarzysze będą zmuszeni wyeliminować po cichu wartowników, zanim uwolnią kompana.

— Ktoś musi zostać i osłaniać nasze tyły — stwierdził ponuro Radon.

Morserus pochylił głowę, spoglądając przez chwilę w kierunku obozowiska nieprzyjaciela. W jego oczach dało się dostrzec błysk strachu. Nie przepadał za wchodzeniem w sam wir walki, co więcej, nienawidził zabijania. Jego przyjaciele rozumieli go i szanowali jego decyzje, by nie angażować się w starcia, chyba że nie było innego wyjścia.

— Ja zostanę — oznajmił. — Stworzenie moich gabarytów poderwie na nogi cały obóz. Wy macie większą szansę przekraść się do Geedisa. Jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego albo nie będziecie długo wracać, wkroczę do akcji.

Rimelda ruszyła z Radonem do obozu wroga. Poruszali się cicho, ostrożnie mijając wystające korzenie drzew oraz suche patyki. Minęli pierwszą grupę strażników i weszli między namioty. Do ich uszu docierało chrapanie śpiących goblinów i ich elfich sojuszników.



Ilustracja: StandardDeviation2

— Niepokoi mnie jedna rzecz — szepnął Radon. — Jeniec wspomniał kogoś, kto ma na imię Cecily. To imię wydaje mi się dziwnie znajome.

Rimelda spojrzała na Radona.

— Znałeś kogoś takiego?

— Miałem nieprzyjemność spotkać wredną babę, która jakoś podobnie się nazywała. Niezwykle potężna i przerażająca nekromantka.

— No to robi się ciekawie.

***

Radon nie cackał się z goblinem. Przeszył mieczem drobną pierś stwora jednym szybkim ruchem. Stworzenie osunęło się z jękiem na ziemię i znieruchomiało. Mężczyzna skrzywił się z bólu, przyglądając paskudnej szramie pokrywającej całe jego ramię. Gdyby nie zachował ostrożności, wróg odciąłby mu rękę. Mimo wszystko poszło dużo łatwiej, niż się spodziewali. Wokół szałasu ziemia zasłana była zakrwawionymi trupami strażników. Człowiek trącił bezwładne ciało goblina nogą, upewniając się, że ten nie żyje. Parę kroków dalej Rimelda ocierała miecz z krwi o odzienie powalonych wrogów. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, chowając broń do pochwy.

— Na razie idzie gładko — powiedziała. — Ale jeśli reszta wrogów się obudzi, nie będzie zbyt ciekawie.

Radon kiwnął głową. Odgarnął skórzaną płachtę szałasu i wszedł do pogrążonego w półmroku wnętrza. Ujrzał małego, pokrytego futerkiem demona przywiązanego do drewnianego pala na środku namiotu. Stworzenie otworzyło żółte oczy o wąskich jak u kota źrenicach.

— Geedis! — Na twarzy Radona pojawił się pełen ulgi uśmiech. — Nic ci nie jest, stary druhu? Możesz iść?

— Radonie — zaczął demon słabym głosem. — Całe szczęście, że znaleźliście mnie na czas. Inaczej byłoby ze mną krucho. Oni chcieli użyć mojej krwi, by przywołać jakieś silne monstrum z piekieł. Wielkiego Dragmira, czy jakoś tak. A odpowiadając na twoje pytanie, na szczęście jeszcze mogę chodzić.

— Nie mamy czasu na pogawędki. Musimy się stąd wynosić — oznajmiła Rimelda, podchodząc do Geedisa.

Kiedy rozcinała więzy, w jej uszach rozbrzmiał dziwny piszczący dźwięk, przeszywający umysł na wskroś. Dziewczyna jęknęła z bólu.

Zasłoniła uszy i osunęła się na jedno kolano. Najwyraźniej rozcięcie więzów musiało uruchomić magiczny alarm-pułapkę.

Radon skrzywił się z bólu, ale podbiegł do Rimeldy i Geedisa, po czym chwycił ich za ramiona, stawiając na nogi.

— Uciekajmy stąd, zanim wszystkie siły wroga zwalą się nam na łeb!

Po tych słowach pociągnął Rimeldę i Geedisa do wyjścia. Demonica z trudem zebrała w sobie siły i starała się dotrzymać Radonowi kroku. Podobnie jak Geedis. Biegli, ile sił, nie odwracając się za siebie. Co jakiś czas pojedyncze gobliny i elfy jaskiniowe próbowały ich zatrzymać, jednak nie mieli szans z Radonem i Rimeldą. Wycinali sobie drogę, a ich miecze lśniły złowieszczo w srebrzystym blasku księżyca. Każdy wróg, który zastąpił im drogę, ginął na miejscu.

Piszczący dźwięk zaczął się powoli obniżać, aż ucichł zupełnie. Byli już prawie przy samej granicy obozu.

Nagle drogę zastąpiła im wysoka kobieta w czarnej szacie i z kosturem w dłoni. Z pleców wyrastały jej kolorowe motyle skrzydła. Czuć było od niej aurę mocy oraz śmierci. Gniewny grymas wykrzywił wargi Radona.

— Cecily! — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Ty wredna wiedźmo!

Kobieta roześmiała się złośliwie i postawiła krok w kierunku Radona i jego towarzyszy.

— Ten demon jest mi potrzebny! — oznajmiła, podnosząc dłoń, w której zalśniła magia. — Oddajcie mi go, jeśli cenicie własne życie!

Rimelda dobyła miecza. Zasłoniła przyjaciół własnym ciałem przed wiedźmą. Cokolwiek Cecily mogła im zrobić, nie zamierzała się poddać bez walki.

— Trzymaj brudne łapska z dala od Geedisa!

Rzuciła się w kierunku Cecily, wyprowadzając cios w kark. Wiedźma była na to przygotowana. Zablokowała uderzenie magią, po czym poraziła demonicę zaklęciem. Rimelda osunęła się na ziemię, a jej śliczną twarz przeciął grymas cierpienia. Nie mogła się ruszyć, jakby moc nekromantki ją sparaliżowała. Uczyniła bezradną. Radon chciał podbiec, lecz i on został unieruchomiony przez zwoje zaklęć Cecily. Byli całkowicie bezradni wobec potęgi nekromantki, która zmierzała w kierunku Geedisa, by znów go związać.

W oddali słyszeli tupot wielu stóp oraz gniewne okrzyki prześladowców spieszących na pomoc swojej władczyni. Zostali otoczeni. Radon wiedział, że to koniec. On i Rimelda zginą teraz, a Geedisa spotka coś znacznie gorszego niż śmierć.

Lecz szczęście i tym razem ich nie opuściło. Potężny smoczy ryk rozdarł nocne powietrze. Usłyszeli łopot potężnych błoniastych skrzydeł i zobaczyli na niebie Morserusa. Zniżył lot, aż znalazł się tuż nad wrogimi siłami. Zionął ogniem, paląc tych, co znaleźli się w jego zasięgu. Wylądował przed resztkami bandy, zasłaniając potężnym cielskiem Radona i resztę kompanów. Zaryczał, a pozostali przy życiu wrogowie rzucili się do ucieczki. Cecily została sama, jednak nie wyglądała na ani trochę zmartwioną takim stanem rzeczy. Jej wargi wygięły się w uśmiechu.

— Smok w drużynie... No, tego to się nie spodziewałam. Tym lepiej dla mnie. Jego krew również może mi się przydać. Wzmocni czar.

Naraz jej oczy rozjarzyły się zgniłozielonym blaskiem, czarownica podniosła kostur i zaczęła mamrotać pod nosem niezrozumiałe dla bohaterów słowa zaklęcia. Wtedy z Morserusem zaczęło się dziać coś dziwnego. Gadzie źrenice rozszerzyły się w cierpieniu. Potrząsnął kilkakrotnie głową w bezowocnej próbie walki z niewidzialną siłą, która na niego napierała. Nagle obrócił się i ruszył w kierunku Radona oraz reszty drużyny. Zamachnął się łapą i uderzył starszego barbarzyńcę w tors, powalając go na ziemię. Na skórze pozostały długie, krwawiące rany. Mężczyzna skrzywił się z bólu, odsuwając się. Ściął mocniej miecz. Przez chwilę patrzył to na Morserusa, to na Cecily. Powoli zaczęło do niego docierać, co się stało.

— Doskonale — zaśmiała się wiedźma. — Zabij swoich przyjaciół i przyprowadź do mnie demona!

Rimelda zasłoniła Radona przed kolejnym atakiem Morserusa, a następnie oboje się cofnęli. Sytuacja wyglądała beznadziejnie i jeśli nic nie zrobią, by pomóc smokowi, czekał ich okropny koniec. Bestia zionęła w nich ogniem. Drużyna rzuciła się na ziemię i przetoczyła po trawię, o włos umykając przed gorącymi płomieniami. Z ich ust dobyło się ciche stęknięcie, gdy gorący dym musnął grzbiet skóry.

Radon uderzył pięścią w trawę.

— Niech to szlag — syknął. — Cecily jest potężniejsza, niż się spodziewałem.

— Trzeba coś wymyślić! — odkrzyknęła mu Rimelda. — Musimy wyrwać Morserusa spod jej kontroli.

Geedis milczał, patrząc na przerażone twarze dwójki przyjaciół. Traktował ich jak rodzinę, bo własną utracił dawno temu. Choć bał się, wiedział, że musiał coś zrobić, nim będzie za późno. Szczerze nie

znosił sięgać po swoją moc, jednak w tym wypadku nie miał innego wyboru. Rzucił się z furią na nekromantkę, wbijając ostre szpony w jej pierś. Cecily upadła na ziemię, a oczy demona zalśniły mocą. Ciało wiedźmy pokryło się dziwnymi, lśniącymi mocą runicznymi znakami. Poczuła, że nie mogła się poruszyć. Choćby drgnąć. Geedis uśmiechnął się wrednie i wyrwał kostur z jej ręki. Złamał go jednym ruchem. Z ust Cecily wyrwał się okrzyk wściekłości, mieszający się z przerażeniem. Ze szczątków różdżki zaczęła uciekać magia.

Morserus zatrzymał się w pół kroku od Radona i Rimeldy. Przez chwilę rozglądał się, oszołomiony, po czym spojrzał na sponiewieraną parę. Byli poobijani i lekko poparzeni, ale na szczęście nie odnieśli poważniejszych ran poza płytkimi rozcięciami na torsie barbarzyńcy.

— Co ze mną działo? Co ja uczyniłem?! — spytał zlękniony smok. — Nie wyrządziłem wam żadnej poważnej krzywdy?

— Nic nam nie jest — odpowiedział Radon, krzywiąc się z bólu. — Ale gdyby nie działania naszego przyjaciela, mogłeś nas zabić.

— Już więcej nie spróbuje przejąć kontroli nad Morserusem, bo pozbawiłem ją potęgi — powiedział Geedis. — W tym kosturze była zamknięta większość mocy tej podłej wiedźmy.

Morserus zaryczał wściekle, szykując się do szarży na Cecily, lecz Radon powstrzymał smoka gestem ręki.

— Daj spokój, przyjacielu. To nie ma sensu. Bez swojej mocy jest już nikim i to jest dla niej wystarczająca kara.

Cecily uniosła się na łokciu. Kaskada długich czerwonych włosów opadła jej na ramiona. Usta wykrzywiły się w grymasie wściekłości, w oczach tańczyły ogniki nienawiści. Wszystko, do czego dążyła, utraciła w tej jednej chwili.

— To jeszcze nie koniec, Geedisie! — krzyknęła. — Jeszcze zapłacisz mi za to! Słyszysz!?

Po tych słowach wiedźma rozpłynęła się w powietrzu ku uldze Radona i pozostałych. Być może jeszcze się z nią spotkają, kiedy Cecily odzyska siły, jednak wojownik nie chciał o tym na razie myśleć. Cieszył się zwycięstwem. Morserus odwrócił się do przyjaciół. Zrobił krok w ich stronę.

— Może czas się stąd wynosić i udać się w jakieś spokojniejsze miejsce? — zaproponował.

Przez krótką chwilę zapanowało milczenie. Geedis padł w ramiona Rimeldzie i Radonowi. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Jeszcze

nie tak dawno bał się, że już więcej nie zobaczy tych, którzy byli dla niego jak rodzina. Teraz czuł ogromną ulgę i radość, że wszystko tak dobrze się zakończyło.

— Tak się o ciebie martwiłam! — powiedziała Rimelda, tuląc go do siebie. — Ta wstrętna kobieta mogła ci zrobić krzywdę...

— Popełniliśmy błąd, że zostawiliśmy cię na chwilę bez opieki — dodał Radon, klepiąc demona po plecach. — Teraz będziemy cię lepiej pilnować.

— Nie obwiniajcie się. Nic mi nie jest — zapewnił ich Geedis. — Najważniejsze, że znaleźliście się we właściwym miejscu, w odpowiednim momencie. Nie stójmy tu tak. Niedobitki wrogów mogą jeszcze tu wrócić.

Po kolei wdrapali się na grzbiet Morserusa. Byli gotowi do drogi powrotnej. Mieli już serdecznie dość wielkiej Czarnej Puszczy. Chcieli wrócić do miasta, wejść do najlepszej karczmy i napić się porządnego piwa. W końcu mieli co świętować. Udało im się pokonać potężną czarownicę z pomocą Geedisa, który ostatecznie ocalił im życie. Gdyby nie jego odważny czyn, zginęliby. Radon nie zamierzał tego długo rozpamiętywać. Byli już bezpieczni i właściwie tylko to się teraz liczyło.

— Wracajmy do miasta, Morserusie. Należy się nam trochę odpoczynku po tym wszystkim, co przeszliśmy.

Ta Noir #1













/u/standardeviation2

MATEUSZ ZELEK

GEEDISIUM

Dźwięk mężczyzny w pełnej zbroi spadającego ze schodów obudziłby pewnie wszystkich umarłych w wieży, gdyby nie fakt, że właśnie go gonili. Gdy w końcu stoczył się z ostatniego schodka i mógł przyjąć postawę wyprostowaną, zrobił to, co każdy zrobiłby na jego miejscu — przeklął głośno, wyraźnie i z odpowiednią intonacją. Błyskawicznie się zorientował, że jego naczelnym zadaniem w tym momencie jest ucieczka przed hordą szkieletów odzianych w zardzewiałe zbroje i uzbrojonych w zniszczone ostrza, albowiem mają zdecydowaną przewagę liczebną. Na szczęście znajdował się na najniższym poziomie i od światła słonecznego dzieliło go zaledwie pięćdziesiąt metrów. W Khazmarze nie grzebie się zmarłych w podziemnych kryptach, a w wysokich wieżach. Związane jest to z tym, że pasażerowie trumien dostają sporo darów na ostatnią podróż, aby w zaświatach nie pozostać z pustymi rękoma. Kapłani, którzy pełnią pieczę nad tymi przybytkami, zwykle co jakiś czas odprawiają odpowiednie obrzędy, toteż pozostawiają dwójkę współbraci przy drzwiach, a reszta udaje się w mozolny marsz ku górze.

Jednakże duchowni nie są bezbronni. Szkoli się ich w sztukach walki z użyciem niebezpiecznych sztyletów rytualnych. Niszczenie grobów jest karane śmiercią, toteż egzekucje bywają wykonywane z wielką ochotą przez kapłanów — i to na miejscu. Nawet gdyby rabuś uniknął konduktu żałobnego, pozostawieni na straży członkowie kultu ukróciliby jego życie, zważywszy, że wyjście z wieży pogrzebowej jest zawsze jedno. Pech chciał, że zlecenie Matzela, który właśnie biegł z zadyszką do wyjścia, związane było z dostaniem się do wieży, która nie dość, że została opuszczona (przez co jej stan techniczny doprowadziłby architektów do ataku serca), to jeszcze magia uwolniona na tych terenach doprowadziła do tego, że umarlaki nad wyraz chętnie wstawały z grobu. Nie licząc nieprzyjemności, kilku zadrapań i niegroźnego rozcięcia na ramieniu, najemnik zdobył dziwną harfę i mógł udać się do pracodawczyni po zapłatę. Wypadł niczym strzała puszczona

z łuku i nie zwalniał tempa, słysząc za plecami zgrzyt zardzewiałego ekwipunku. Uzmysłowił sobie, że spotkanie z Sybillą może być równie nieprzyjemne, co z chodzącymi trupami...

Dzień powoli chylił się ku końcowi. Matzela czekała jeszcze kilkugodzinna jazda konna do Habisu, gdzie urzędowała jego mocodawczyni.

— No, przynajmniej tym razem nie trzeba było użyć zwojów ratunkowych — powiedział mężczyzna, głaszcząc konia, który czekał na pobliskiej łące. — To co, mały, gotowy na podróż do bardziej cywilizowanych krain? — zapytał wierzchowca z uśmiechem, a ten parsknął w odpowiedzi.

Sala tronowa Sybilli była usiana wszelkimi zdobyczami oraz ozdobami. Widać, że władczyni nie stawiała na odpowiednią ekspozycję artefaktów, a po prostu emanowanie bogactwem. Wiele ostrzy czy kielichów leżało bezwładnie na ziemi, często usypane w stosy. Matzel zastanawiał się, czy taki widok miał kusić potencjalnych najemników, aby ci zapisywali się na służbę u aroganckiej władczyni Gildii.

Jako kobieta Sybilla prezentowała się nad wyraz groteskowo — obok długich, rudych włosów miała krzaczaste brwi, które błagały o odpowiednie zabiegi kosmetyczne. Jej wydatny biust niezbyt korelował z faktem, że była dość niska. Sama twarz wyglądała niezwykle surowo. Gdyby nie fakt posiadania piersi, większość osób wzięłaby ją za mężczyznę. W ubiorze była oszczędna. Na nieproporcjonalnie chudych rękach nosiła stalowe bransolety, z kolei miejsca intymne zasłaniała bielizna wykonana ze złota. Ciało dodatkowo okrywała czerwona peleryna z charakterystycznymi rogami, które odchylały się w kierunku pleców. Aby podkreślić władzę, nosiła diadem, który zdobyła, zabijając księżniczkę z odległego królestwa. Zapytana, uwielbiała opowiadać ze szczegółami, jak dokonała morderstwa, choć sama wolała określać to mianem „pozbawienia życia irytującej osoby". Na jej chudych nogach spoczywały złote trzewiki, a całość tego wyjątkowego wyglądu podkreślała niebieska skóra.

Matzel nigdy nie czuł się pewnie w wielkiej sali tronowej z sześciorgiem kolumn, na których końcu znajdował się jej tron. Zawsze zdawało mu się, że za kolumnami czekali ukryci siepacze, którzy w mgnieniu oka zaatakują go, gdyby odważył się obrazić lub zdenerwować ich władczynię. Jednakże gorsze wrażenie sprawiał ulubiony zwierzak Sybilli, który zawsze znajdował się po jej prawicy — Geedis. To dziwne stworzenie wyglądało

jak nieudolna krzyżówka małpy, niedźwiedzia i świni. Świński ryjek korelował ze sporej wielkości twarzą, żółtymi ślepiami oraz wydatnymi rogami. Ciało miał krępe, pokryte ciemnym futrem, a łapy do złudzenia przypominały ludzkie dłonie. Jednak najbardziej przerażający był uśmiech tego stworzenia. Geedis potrafił trwać nieruchomo niczym posąg, wpatrując się w przybysza i ciągle uśmiechając. Było to tak nienaturalne, że aż przerażające. Z kolei po lewej stronie stał Tokar, wiecznie odziany w dziwny żółty pancerz tłumacz Sybilli. Gdy przybywał ktoś z odległych krain, mężczyźnie błyskawicznie włączał się tryb gaduły i mówił swojej pracodawczyni wszystko, co wiedział o danym kraju, a wiedział naprawdę sporo. Jednak wystarczyła podniesiona ręka Sybilli, aby wyłączyć jego słowotok w ciągu sekundy. Nauczył się tego po kilku przypadkach, gdy gadał za długo i został odpowiednio przeszkolony z użyciem bata.

— Ty. — Sybilla skierowała wzrok na wchodzącego najemnika. — Zbliż się tu. Głos tej przerażającej kobiety rzadko kiedy pozwalał rozpoznać, w jakim jest humorze. Dlatego Matzel zawsze wolał zakładać, że w tym złym. — Mam dla ciebie wyjątkowe zadanie.

Oho, pomyślał mężczyzna. Szykuje się mała gehenna.

Geedisium było artefaktem, o którym słyszał każdy poszukiwacz przygód. Magiczne, trójkątne pudełko, którego zawartość miała onieśmielić znalazcę. Jedni opowiadali, że prowadzi do jakiejś machiny wojennej, zdolnej niszczyć całe kraje. Inni szeptali, że kryje tajemnice wiecznej młodości, co głupsi myśleli, że drogocenne klejnoty. Sybilla nie cierpiała legend i opowieści głoszonych przez pijanych gości karczm. To, że w ogóle padło z jej ust słowo Geedisium, musiało świadczyć o tym, że miała pewność, iż przedmiot ten istnieje. A to sprowadzało się do Matzela i jego nieszczęsnego zadania. Żywot najemnika nie był prosty, zwłaszcza gdy miało się takiego zleceniodawcę, ale co zrobić... Z pustym żołądkiem nie jest przyjemnie funkcjonować. Mężczyzna dostał o dziwo sporą sakiewkę złota (w ramach pokrycia kosztów oraz jako ułamek zapłaty) oraz kolorowy rysunek na płótnie, który dokładnie przedstawiał wspomniany artefakt. Czerwone zdobienia na piramidce aż nadto przypominały krew i najemnik podejrzewał, że rysownik prawdopodobnie jej użył. Zastanawiał się tylko, czy osobiście popuścił własną posokę, czy wolał zdobyć ją w inny sposób.

Jak zwykle zlecenie związało się podróżą, toteż po nocnym odpoczynku z samego rana wyruszył do niewielkiej mieściny o nazwie Odium. Miejscowość znana była z tego, że niezwykle dobrze nią zarządzano, ale nie

należała do tych najbardziej popularnych. Po całym dniu w siodle w końcu ujrzał mury miejskie. Niestety czekała go misja w duecie, albowiem jego mocodawczyni uzyskała informację od pewnego człowieka, a ten postawił warunek, że osobiście zaprowadzi najemnika na miejsce, gdzie rzekomo miał znajdować się artefakt. Jak w każdej takiej historii, przewodnik czekał w karczmie o nazwie „Pod Rozbrykanym Zoltanem". Zielony demon na szyldzie średnio pasował na maskotkę, ale biorąc pod uwagę, że alkohol potrafił obudzić najpodlejsze diabły, taki wizerunek nabierał sensu. Jeden mężczyzna wyróżniał się bardzo z tłumu przeciętnych obywateli i Matzel obawiał się, że to jego przewodnik. I niestety zgadł. Gdy zapytał właściciela przybytku o swojego nowego partnera, ten prychnął i wskazał ruchem głowy najbarwniejszą postać w sali. Harry siedział przy stole, żłopiąc (bo ciężko było to nazwać piciem) piwo. Był masywnie zbudowany, niższy o głowę od najemnika. Twarz miał już w czerwonawej odmianie barw, lecz nie wiadomo było, czy od trunku, czy od urodzenia. Bulwiasty nos, gładkie czoło oraz rozczochrane kłaki wokół linii głowy powodowały, że ciężko było go uznać za człowieka. Na ciele spoczywała prosta pobrudzona tunika. Gdy Matzel podszedł do stolika, mężczyzna uśmiechnął się dumnie, prezentując szczerbaty uśmiech.

— No, witam szanownego podróżnika! Wyście od Sybilli, prawda? — zagadnął wesołym, podpitym głosem. — No to słuchajta, co mam ci do powiedzenia, nim ruszymy.

Okazało się, że miejsce docelowe znajduje się ledwie dwie godziny pieszo od miasteczka. Harry nie chciał słyszeć o podróży konno, twierdząc, że konie śmierdzą i go nie lubią. Matzel obstawiał, że to zapewne woń samego Harry'ego skutecznie zabija zaufanie ze strony wierzchowców. Okolica nie wyróżniała się niczym — ot, typowy las mieszany, pełen zwierząt i roślin, z rzadka upstrzony ruinami dawnych leśnych elfów. Na miejscu mężczyźni rozłożyli niewielki obóz i wyszykowali się do wyprawy. Z tobołków zabrali najbardziej potrzebne rzeczy do przeszukiwania takich miejsc.

Ruiny wyglądałyby zachęcająco, gdyby Matzel był jednym z akavarskich badaczy. O cały kompleks już mocno upomniała się lokalna przyroda, ale niektóre kolumny wciąż miały wiele do zaoferowania miłośnikom historii. Płaskorzeźby były w nie najgorszym stanie, tu i ówdzie można było dostrzec starożytne runy.

— Hehe, takie ruiny to ja se dla zabawy zwiedzam — skomentował Harry na widok ponurej miny najemnika.

— Będzie dobrze! — zakończył, wspierająco klepiąc mężczyznę po ramieniu.

—Tia... — odpowiedział mu Matzel, albowiem coraz bardziej powątpiewał w kwalifikacje swojego towarzysza. Po przeczesaniu okolicy oraz sprawdzeniu, czy w pobliżu nie stacjonuje jakaś grupa przestępcza (Harry zapewniał, że można by tu zostawić mieszek na widoku, ale Matzel wolał nie sprawdzać), przystąpili do poszukiwania wejścia. Te udało się zlokalizować po godzinie i rzecz jasna musiały to być potężne, starożytne i wykute z kamienia drzwi. Co zabawne (dla Harry'ego), odpowiednią dźwignię znaleźli zaledwie po kilkunastu minutach, albowiem ukryta była za jedną z powalonych kolumn. W głowie najemnika pojawiło się pytanie: jakim cudem ten mechanizm mógł działać po tylu latach?

Jak można było się spodziewać, w ruinach panowała ciemność... jak to w niezamieszkanych ruinach. Na szczęście zabrali sporo pochodni i coś było widać. Schody biegły w dół, więc wychodziło na to, że schodzą pod ziemię, czego Matzel nienawidził. Tylko bogowie mogli wiedzieć, co zalęgło się w tych ruinach. O dziwo po kilku minutach schodzenia trafili do głównej sali. Nie napotkali niczego większego od białych pająków, które polowały na zamieszkujące tu stawonogi.

— Hehe, wygląda na to, że niczego tu nie ma. — Harry roześmiał się. — W sensie potwurów żadnych.

Matzel zastanawiał się, czy brak kompetencji językowych jego towarzysza wynikał ze sposobu bycia, czy tego, że jest kompletnym idiotą. Po kilkunastu minutach okazało się jednak, że to drugie. Rubaszny mężczyzna plątał się, nie zważając na potencjalne pułapki, póki jednej nie aktywował. Jego noga pechowo trafiła na zapadnię i jedyne, co zdążył powiedzieć, zanim kilkutonowy głaz spadł mu na głowę, było:

— Oho.

Kawałki narządów rozbryzgały się po całym pomieszczeniu, nadając mu nowego, mrocznego wyrazu. Matzel szpetnie zaklął pod nosem, jednakże nie z powodu straty towarzysza, ale dlatego, że fragment jelita przykleił mu się do butów. Po pozbyciu się „dodatku" z podeszwy rozpoczął powolną analizę pomieszczenia. Im dłużej się mu przyglądał, tym bardziej uświadamiał sobie, że najpewniej zostało splądrowane. Nie było tutaj praktycznie niczego prócz gołych kamiennych ścian i pustego echa. Liczył jednak, że dalej będzie lepiej, że może szabrownicy w obawie przed pułapkami nie zapuszczali się w głąb ruin. W następnej części sali znalazł kamienny łuk. Niestety kolejne pomieszczenie okazało się długim kamiennym mostem nad czymś,

co zapewne było kiedyś ozdobnym stawem. Podobnie jak w poprzednim przypadku, tutaj także nie znalazł śladu po czymkolwiek, co warto zabrać. Ruszając powoli i ostrożnie przed siebie, uważał na wszystko, co mogłoby go zranić. Oprócz wilgoci. Za mostem czekały go schody, jednakże w ciemnościach nie zwrócił uwagi, że na stopniach zebrało się sporo wody. Już na pierwszym stopniu stracił równowagę i podróż zakończył dopiero na ostatnim. Dzięki bogom, że stopni było tylko kilkanaście, ale boleśnie się potłukł, zwłaszcza że miał na sobie pancerz. A przed jego oczami majaczyły kolejny łuk i kolejna sala.

Okazało się, że trzecia sala jest ostatnią, gdyż nie zobaczył już nigdzie żadnego przejścia. Pytanie tylko, czy wynikało to ze stanu całej konstrukcji, czy z faktu, że tak została zaprojektowana. Niestety szybki ogląd potwierdził przypuszczenia Matzela — ruiny zostały wyczyszczone. Pośrodku znajdował się cokół, na którym zapewne coś było ustawione. Najemnik już w myślach wyobrażał sobie co i z całej siły kopnął w cokół. Jak na złość aktywował mechanizm pułapki. Obrotowe ostrze wystrzeliło z podłogi i najemnik uskoczył w ostatniej chwili. Niestety stalowe ostrze przejechało boleśnie po skórzanym karwaszu, rozcinając zarówno jego, jak i skórę, którą miał chronić. I to bardzo głęboko. Nie zastanawiając się długo, mężczyzna wrócił po swoich śladach i opuścił ruiny, uważając, aby znów nie wdepnąć w pozostałości Harry'ego, a jednocześnie bandażując na szybko ranę.

Poobijany, krwawiący z przeciętej ręki Matzel dotarł do miasta. Nie miał pojęcia, co powiedzieć Sybilli, bo ta nienawidziła, gdy pracownik przychodził z pustymi rękoma. Kontakt był martwy, cała akcja okazała się podpuchą, a on nie miał niczego, co mogło udobruchać szefową. Odwiedził pobliskiego medyka (który nawet nie pytał, gdzie się tak urządził, Matzel z kilometra wyglądał jak typowy najemnik), który go opatrzył i podał mu silne leki przeciwbólowe. W podłym nastroju, z nieznanych sobie powodów wszedł do pobliskiego sklepu, w którym można było znaleźć wszystko. Chyba po prostu chciał zabić jakoś czas, grzebiąc w różnych bibelotach. Nagle jego wzrok utkwił w szpikulcu ukrytym w misce pełnej biżuterii (tej taniej dla mniej zamożnych kobiet). Sięgnął dłonią, odgarnął kilkanaście naszyjników i bransoletek, i omal nie spadł na widok, który ujrzał — geedisium! Dla pewności wyciągnął rysunek i spojrzał. Wciąż nie wierzył, ale każdy detal się zgadzał.

— Handlarzu, skąd macie tak zacny towar? — rzucił w kierunku wąsatego właściciela przybytku.

— Panie złoty, różni ze mną handlują, także tacy jak pan, poszukiwacze przygód. Nieraz to i całe worki takich przedmiotów mi sprzedają, a mieszkańcy kupują i się chwalą, w jakich to przygodach brali udział! — zakończył wypowiedź gromkim śmiechem.

Nie czekając, aż szczęście się po niego upomni, zakupił artefakt za marne grosze (sprzedawca był bardzo szczęśliwy, więc pewnie i tak przepłacił za jego zdaniem bezwartościowy szmelc) i wyszedł ze sklepu. Nigdy nie uważał się za głupca, ale dzisiaj mógł być największym bezmózgiem na świecie — w końcu głupi ma zawsze szczęście... prawda?



Ilustracja: Grace Kościelna

MICHAŁ J. OWERCZUK

ONCE UPON A TIME IN GEEDYWOOD

„Kosmos jest być może ostatnią z rubieży, ale powstał w piwnicy Geedywood"

— *Anthony Geedis*

Stara Buba Geedis przed śmiercią opowiadała wszystkim małym Geedisom legendę o zapomnianym lądzie. Bajkę do snu, która usypiała nawet najbardziej rezolutnego szkraba. Historię o Geedlandzie, w którym wiosna zawsze przychodzi tego samego dnia i gwałtownie przerywa chłód zimy. Ptaki wracają z dalekich wypraw i razem z pierwszym uderzeniem skrzydeł cała łąka magicznie zamienia się w kwitnący pas zieleni rozciągający się aż po horyzont. Drzewa budzą się do życia. Puszczają młode pąki, które w mgnieniu oka wybuchają kolorami we wszystkie strony świata. A słonce, zawstydzone tym widokiem, rumieni się na czerwono i topi w złocistym blasku jezioro u podnóży wulkanu Mt. Geedis, leniwie chowając się za stromymi zboczami świętej góry. Wtedy rozpoczyna się ostatnie odliczanie do uroczystej ceremonii powitania wiosny. Kiedy z jaskini wychodzi starszyzna plemienia, wszyscy nagle wstają i zaczynają nucić pradawny hymn przodków, do czasu, aż szaman Wielkiego Geedisa nie podpali stosu zeszłorocznej paproci i oficjalnie nie puści z dymem starego roku. Następnie uderza w srebrny gong i rozpoczyna czas ucztowania, a matki przynoszą na stół najlepsze specjały. Marynowane ślimaki faszerowane geedigrzybami czy słynna na cały Geedland zupa z tataraku to jedynie przystawki. Główne danie to pieczone w ognisku świnki morskie marynowane w piwie i nadziewane pigwami oraz duszone larwy jedwabników z sosem z wodorostów i gotowanymi na parze geedikluskami maczanymi w miodzie, na które każda babcia Geedisa ma swój tajemny przepis przekazywany z pokolenia na pokolenie. No i deser. Hmmm. Dodajmy do tego smażone w głębokim oleju liście konopi posypane cukrem pudrem i karmelizowane szyszki chmielu zawinięte w imbirze. Przy tak obficie zastawionym stole wszyscy jedli, śmiali się i tańczyli do białego rana, opowiadając pradawne

legendy i popijając sfermentowane mleko makowe. Tak właśnie od wieków rozpoczynała się wiosna w Geedlandzie i tak opisywała utraconą ojczyznę stara Buba Geedis.

— Frytki! — Skrzeczący głos przedarł się przez mrok i zatrząsł ziemią niczym wybuch Mt. Geedis.

— Co? — Jeff potrząsnął głową i w mgnieniu oka teleportował się z geedlandzkiej sielanki, materializując na obskurnych przedmieściach Miasta Aniołów. Prosto do okienka zamówień lokalnego fast-foodu sieciówki Geed-a-Burger. Ubrany w pasiasty koralowoczerwony fartuch z logotypem lokalu oraz futrzaną czapkę z daszkiem Geedis potrząsnął głową ze zdziwieniem i przywitał szarą rzeczywistość.

— Głuchy jesteś, czy co? Halo! — Czerwona ze złości jak cegła gruba baba w pickupie darła się opętańczo. — Frytki! — wykrzyknęła i rzuciła w twarz Geedisa drobnymi, aż jedna z centówek utkwiła Jeffowi w nosie. Siedzące z tyłu samochodu spasione bachory rechotały ze śmiechu niczym naćpane crackiem żaby. — Frytki, debilu! Rozumiesz po naszemu? — Samochody ustawione w niekończącej się kolejce do okienka trąbiły ze zniecierpliwieniem.

— Już... chwileczkę. — Geedis zająknął się, próbując wyciągnąć monetę z nosa. — Przepraszam, ja...

— Co tu się dzieje?! — Z wnętrza lokalu dobiegł głos managera. — Jeff!

Geedis odwrócił się i westchnął głęboko przez wielkie nozdrza, aż moneta sama wypadła mu z nosa i z cichym brzdękiem upadła na podłogę.

— Ale... — Geedis próbował się bronić, lecz znowu zaatakowała matrona z pickupa.

— Kudłata małpa zapomniała o moich frytkach! — krzyknęła.

— To prawda Jeff? Gdzie są pani frytki? — zapytał manager.

— Kudłata małpa! Kudłata małpa! — krzyczały rozwydrzone bachory z tylu samochodu.

— Ja naprawdę nie wiem, o co...

—Przestań, Jeff! — uciął manager i wskazał na znajdującą się w głębi lokalu frytkownicę. — Przynieś pani duże frytki. No już! — Miller zwrócił się do klientki. — Przepraszamy bardzo, to się więcej nie powtórzy. Frytki będą na koszt firmy. — Wyciągnął z kieszeni koszuli świstek papieru. — I kupon rabatowy na darmowy zestaw przy następnym zamówieniu.

— Nie zapomnij o sosie! — krzyknęła kobieta.

Jeff szybkim ruchem złapał paczkę krzywo pokrojonych ziemniaków, odwrócił się ukradkiem i zerknął na Millera, który przepraszał spasioną jędzę. Nachylił się nad pudelkiem z sosem śmietanowym i soczyście splunął do środka, po czym odwrócił się do okienka i zamykając opakowanie, zbliżył do stanowiska. Już chciał podać zamówienie, ale zatrzymał go manager.

— Chwileczkę. — Miller położył rękę na ramieniu Geedisa.— Co się mówi?

— Przepraszam — wycedził przez zęby Jeff.

— Nie słyszę... — Klientka przystawiła rękę do ucha i uśmiechnęła się szyderczo.

— Jeff? — Miller przycisnął pracownika.

— Przepraszam panią. — Jeff przewrócił oczami. — Dziękujemy za zmówienie w Geed-a-Burger. Smak Geedlandu w Twojej okolicy. Życzymy smacznego i zapraszamy ponownie — wyrecytował.

Klientka parsknęła pod nosem i ruszyła. Odjeżdżając, jej dzieciaki wesoło skandowały.

— Geedis! Geedis! Zamiast nosa penis!

Kiedy odjechali, Miller popatrzył na Jeffa.

— Co z tobą nie tak? To kolejny raz i twój ostatni, *comprende*? A te frytki potrącę ci z wypłaty.

— Ale...

— Nie wkurwiaj mnie, Jeff, bo się doigrasz. — Miller pogroził mu palcem. — Wracaj do klientów! — Machnął ręką w stronę okienka zamówień.

Geedis westchnął, przetarł twarz i niczym automatyczna sekretarka wyrecytował formułkę, nawet nie patrząc w stronę następnego klienta: „Witamy w Geed-a-Burger. Smak Geedlandu w twojej okolicy. Nazywam się Jeff. Czy mogę przyjąć zamówienie?".

— Tak — odezwał się męski głos. — Dla mnie będzie kudłata małpa.

— I frytki do tego! — krzyknął ktoś z siedzenia pasażera. Geedis odwrócił się i szeroko uśmiechnął, widząc dwóch nastolatków w poobijanym czarnym sedanie. — Siema, ryju!

— Mayki... Pete... Siemanko! — Geedis wyciągnął łapę i zbił żółwia z kierowcą, po czym machnął do pasażera. — Kurwa, ale żeście mnie przestraszyli. Myślałem, że to kolejny klient-debil.

— Właśnie widzieliśmy — powiedział Pete.

— A właściwie słyszeliśmy — dodał Mayki. — O co chodziło?

— Szkoda gadać. — Geedis machnął ręką.

— Jeff, jak ty to znosisz? — zapytał Pete. — Traktują cię tu jak śmiecia.

— Potrzebuję tej roboty.

— Stary, ta locha cisnęła ci po małpach. Nie wkurwia cię, że tak jadą po Geedisach?

— Już nie. — Jeff machnął ręką. — A poza tym, technicznie rzecz biorąc, to bliżej mi do niedźwiedzia niż małpy.

— Niedźwiedzia? — zapytał Mayki.

— No tak. Popatrz na mnie, czy ja wyglądam jak małpa?

— No wiesz... — Pete podrapał się po głowie z uśmiechem. — Jakby ci to powiedzieć?

— Pierdol się — odparł z szerokim uśmiechem Jeff.

— I tak masz mniej kudłów niż stara Pete'a — rzucił Mayki i zaczął się śmiać, ale Pete wymierzył mu szybkie uderzenie w ramię. — Ała, nie w szczepionkę! — Mayki skrzywił się, a Geedis wybuchnął śmiechem.

— Dobra śmieszki... co dla was? — zapytał Jeff.

— A ciągle charkasz do sosu?

— Yhym... — przytaknął Geedis.

— To daj dwa podwójne GeedBurgery z serem i colą.

— Dwa podwójne GeedBurgery z serem i colą... — powtórzył Jeff, nabijając zamówienie na kasę fiskalną.

— O której kończysz? — zapytał Pete.

— Za pół godziny, a co?

— Jest dzisiaj imprezka w zachodnim Geedywood. Jakaś bogata cipka zaprosiła ludzi i Geedisów z okazji końca zimy. Same banany i przebierańcy, więc pijemy za darmo.

— Sam nie wiem. — Jeff skrzywił się.

— Jeff! — Z wnętrza restauracji dobiegł krzyk managera.

— Muszę kończyć. — Geedis podał torbę z burgerami Pete'owi. — To będzie 8.99.

— Zwijamy się! — krzyknął Pete i ruszyli spod okna restauracji.

— A hajs? — krzyknął Jeff do odjeżdżającego samochodu.

— Czekamy na parkingu — krzyknął Pete. — Przyjdź i weź!

— Ale...

— Jeff, cholera jasna! —Po raz kolejny Miller wydarł się z wnętrza restauracji.

Geedis westchnął.

— Tak, panie Miller?
— Ktoś puścił pawia na trójce. Bierz szmatę i chodź tu szybko.
— Ehhh... — westchnął Geedis. — Co ja tutaj robię?

GEED THE TICKET, TAKE THE RIDE

Parking na tyłach Geed-a-Burger kiedyś był placem zabaw, na którym każdy Geedis wychowany na osiedlu biedoty Geed Hood bawił się za małolata. Okoliczne parki i skwery Little Geedland tętniły życiem, a plac im. św. Terencjusza Geedisa na West Side w weekendy pękał w szwach. To tu na towarach wywiezionych ze starego lądu robili pierwsze interesy wszyscy uchodźcy z Geedlandu szukający schronienia przed prześladowaniami zoltańskich fanatyków, którzy przyjechali do nowej ojczyzny w poszukiwaniu amerykańskiego snu. Każdy wierzył, że ciężką pracą może osiągnąć sukces i wspiąć się po drabinie społecznej na takich samych zasadach, jak mieszkający tu ludzie. Rzeczywistość szybko jednak rozdeptała marzenia, a dotąd nierozłączna wielka rodzina Geedisów rozpadła się i podzieliła na klany. Wielopokoleniowe tradycje nie przetrwały próby kapitalizmu, który w kilka lat doprowadził do kłótni, waśni i otwartego konfliktu między nowo powstającymi klasami społecznymi. W Little Geedland zostali tylko Zbieracze, których przekształcono w klasę pracującą, oraz starcy, wariaci, pijacy, kalecy weterani wojen zoltańskich i wszelkiej maści futra kryminaliści i degeneraci. Dzielnica szybko zyskała złą reputację jako wylęgarnia terrorystów, po tym jak zoltańscy fundamentaliści przeprowadzili zamach na życie burmistrza Johna Geedisa, i to w dniu jego nominacji do pokojowej Nagrody Geedla. Brutalna interwencja funkcjonariuszy GPD nie polepszyła sytuacji, a jedynie doprowadziła do zamieszek wewnątrzgatunkowych. Wtedy Geed Hood zostało odcięte. Po prostu wpisano je na listę slumsów, od których każdy szanujący się obywatel powinien trzymać się z daleka. Zaś Geedland, a właściwie to, co z niego zostało po rewolucji zoltańskiej, zapisał się na kartach historii jako jedna z wielu krain, na którą spadły miliony ton trotylu międzynarodowej koalicji wzbogaconych tradycyjnym amerykańskim uranem.

— Kurwa, Jeff, już myślałem, że nie przyjdziesz! — Pete wyszczerzył się.
— Mówiłem ci! Wyskakuj z hajsu! — krzyknął Mayki. Pete z grymasem

na twarzy podał mu banknot, ale Jeff złapał go pierwszy.

— To ty wyskakuj z hajsu. Miller poleciał mi z wypłaty za wasze burgery.

— Nie pierdol, Jeff! Mam coś lepszego. Wskakuj. — Pete machnął ręką i wskazał na tylne siedzenie samochodu.

— Nie jadę z wami. Daj pieniądze i się zmywam — powiedział stanowczo Geedis.

—Jak chcesz, Jeff... — Pete wzruszył ramionami, po czym szybko dodał z uśmiechem: — Słyszałem, że Peggy będzie śpiewać na imprezie?

— Peggy Sue Geedis?

— Dobra, zwijamy się. — Pete odpalił silnik.

— Jeff! — Z restauracji dobiegł krzyk pana Millera, a Geedis jednym szybkim ruchem otworzył drzwi i bez zastanowienia wskoczył do samochodu.

— Jak ściemniasz, to cię wezmę na rogi — zagroził Jeff. — A hajs mi i tak wisisz.

— Nie bój żaby, mój futrzasty przyjacielu — odezwał się Mayki. — Skąd znasz Peggy Sue?

— Kiedyś mieszkała przy West Side. Potem nagrała ten swój kawałek i zniknęła z dzielnicy.

— Pamiętam! — krzyknął Mayki, ale szybko zmarszczył brwi. — Kurna, jak to leciało?

— Wrzuć na luz Geedywood... — zanucił Pete

— Poczuj beat prosto z Geed Hood! — dośpiewał Mayki. — No właśnie! Oldschoolowy numer. Puszczę to, czekaj...

— Dobra dupa — powiedział Pete. — Robiłbym.

— No proste! A widziałeś ją teraz? — zapytał Mayki.

— Ty, Jeff, a ty nie świrowałeś jastrzębia w kalesonach do Peggy? — zażartował Pete, ale Geedis nie odpowiedział.

— Co?! — Mayki odwrócił się w stronę Geedisa. — Pete, nie uwierzysz. Nasz Jeffy spalił buraka. — Mayki roześmiał się głośno. — Było coś? No powiedz!

— Przestańcie...

— Dobra, dobra, futrzaku. Sprawdź ten kawałek! — Mayki podkręcił muzykę na maksa i z głośników wydobyły się mocne basy przeplatane zmiksowanymi samplami z Just Jammin' i Sex Machine.

„Geed up! Geed on up!
Wrzuć na luz Geedywood
Sprawdź ten towar z Geed Hood
Geed up! Geed on up!
Poczuj beat prosto z Geed Hood!”

Mayki i Pete śpiewali razem z Peggy Sue, ale Jeff tylko się odwrócił i przykleił nos do szyby. Obserwował, jak z każdą pokonaną przecznicą krajobraz Little Geedland łagodniał, by w końcu po przekroczeniu autostrady i opuszczeniu West Side zmienić się nie do poznania. Stare kamienice i slumsy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniły się w modne witryny sklepowe i szklane domy, a zarośnięte parki pełne przegranych meneli zastąpiły brukowane alejki, posrebrzane latarnie i piękne drzewa palmowe. Nie wszyscy imigranci z Geedlandu zostali strawieni przez nową rzeczywistość. Starszyzna plemienia, która rządziła na starym lądzie, objęła urzędy w nowej administracji i szybko dogadała się z ludźmi, którzy poczuli pieniądz w nowym rynku zbytu. Wtedy wkroczyli Myśliwi i Łowcy Geedisów, którzy wykorzystując znajomości u starszyzny, dostali dożywotnie dzierżawy w Geed Hood. Korzystając z lewych zwolnień podatkowych, postawili sieć dyskontów, lokali fastfoodowych i lombardów. Ci, którzy sprzedali własny gatunek za zielone papiery, szybko się dorobili w East Side, a ich dzieci poszły do dobrych szkół na wschód od autostrady. Niektórzy, tacy jak Anthony Geedis, przebili się nawet do ludzkiego świata muzyki. Zaczęli śpiewać ludzkie piosenki i robić międzynarodową karierę, albo tak jak Geedis Butler — występować w filmach akcji klasy B, grając upokarzająco stereotypowe role złodziei, dilerów czy zacofanych i głupich imigrantów. Tak właśnie formowały się nowe elity rządzących, dla których Little Geedland został jedynie przykrym wspomnieniem dawnej ojczyzny. Ci, którym się udało, wyprowadzili się do East Side, gdzie na wzgórzu, obok ludzkich osiedli wybudowali ekskluzywną dzielnicę dla Geedisów z wyższych sfer — zwaną Geedywood.

— Jeff, byłeś kiedyś w East Side? — zapytał Pete.

— Dawno temu... — odparł Jeff, nie odrywając wzroku od szyby. Widział, jak wszyscy przechodnie ze wstrętem patrzą na stary samochód na rejestracji z Geed Hood. — Słuchajcie, nie powinno nas tu być...

— Luzuj wora — powiedział Mayki i podkręcił muzykę na maksa.

Kiedy stanęli na pasach, otworzył okno i krzyknął do dwóch eleganckich Geedisek w krótkich spódniczkach wychodzących z butiku Dolce & Geedana: — Ej, aniołki! Co dzisiaj robicie?

— Chciałbyś wiedzieć... — rzuciła z szyderczym uśmiechem jedna z nich i obie obróciły się na pięcie, śmiejąc pod nosem.

— Chciałbym, maleńka — rzucił Mayki.

— Przestań! — krzyknął Jeff.

— Robisz przypał na całą dzielnicę — powiedział Pete.

— Wyluzujcie! Złapcie rytm! — Mayki machał rękami, nieczysto śpiewając refren piosenki Peggy Sue, po czym rozpiął kieszeń kurtki i wyciągnął z niej foliowe zawiniątko pełne czegoś, co wyglądało jak brązowe żelki. Wyciągnął jeden i połknął na raz. Podał Pete'owi, który zrobił to samo.

— Te, co ostatnio? — zapytał Pete.

— Innych nie jem. — Mayki odwrócił się do Geedisa. — Trzymaj. — Podał Jeffowi torebkę.

— Co to?

—Bierz, nie pierdol. — Mayki przysunął do niego torebkę. — Jeszcze mi podziękujesz.

Jeff nieufnie złapał jednego żelka, wsadził do ust i wykrzywił twarz w grymasie.

— Ble... Smakuje jak gówno.

— Skąd wiesz, jak smakuje gówno? — zapytał Mayki

— Był na obiedzie u twojej starej. — Pete parsknął śmiechem.

— Co to jest? — Jeff zmarszczył się.

— Zobaczysz. — Mayki puścił mu oko. — Złap ten beat z Geed Hood! — zaczął drzeć się razem z kolejnym refrenem utworu.

— Kurwa! — krzyknął Pete. — Chowaj to! — Za samochodem rozległa się syrena policyjna.

— Co? — Jeff nie wiedział, co się dzieje.

— Kontrola Geedisów! — Pete powoli zatrzymywał samochód.

— Kurwa, po prostu pozbądź się tego! — krzyknął histerycznie Mayki.

Geedis nerwowo rozglądał się po samochodzie w poszukiwaniu jakiejś skrytki.

— Idzie tu! Cisza! — wrzasnął na pasażerów Pete, a Jeff bez namysłu złapał całą torebkę i wpakował dziwne żelki do ryjka.

Okolica utopiła się w czerwono-niebieskich światłach koguta policyjnego, a do samochodu zbliżył się funkcjonariusz GPD, zapukał

w szybę kierowcy i zaświecił prosto w oczy Pete'owi, który, oślepiony, zaczął powoli otwierać okno.

— Jakiś problem, Panie Władzo? — zapytał Pete.

— Rutynowa kontrola Geedisów. Co robicie w East Side o tej porze? — Funkcjonariusz zaświecił latarką w twarz Maykiego i popatrzył w stronę Jeffa.

— Jedziemy do koleżanki — powiedział Pete. — Czy coś się stało?

— Dokumenty — zarządził policjant.

— Już... — Pete nerwowo zaczął szukać dowodu rejestracyjnego. — Gdzieś tutaj były...

Policjant zerknął na Jeffa.

— Nie ty. Ten Geedis jest z wami?

Jeff przełknął nerwowo ostatnie żelki, ale ich smak nadal wykrzywiał mu twarz.

— Co się tak krzywisz? — zapytał policjant.

— To przez latarkę. Nic nie widzę. — Jeff trzęsącymi się rękami wyciągnął portfel. Wyjął dowód i podał go funkcjonariuszowi, który nie spuszczał z niego wzroku.

— Jak się nazywasz? — Policjant zerknął na dokumenty, po czym znowu zaświecił w twarz Jeffa, aż adrenalina uderzyła Geedisowi do głowy.

— Jeff...

— Po prostu Jeff? — Policjant zmrużył oczy i popatrzył podejrzliwie.

— Znaczy się... — Jeff zaczął się jąkać. — Jeffgeed Geedis III, proszę pana.

Policjant popatrzył na dokumenty i znów zaświecił Jeffowi w twarz.

— Jesteś synem Jeffgeeda II?

— Tak. — Jeff spuścił wzrok.

— Znam twojego ojca — powiedział policjant i opuścił latarkę. — Stacjonowaliśmy razem w Geedakilla podczas I Wojny Zoltańskiej. Co u niego?

— Nie żyje. — Jeff spuścił wzrok.

— Moje kondolencje. To był dobry Geedis. — Policjant oddał Jeffowi dowód osobisty. — Dobra, jedźcie. Tylko nie szwendajcie się po Geedywood. — Cofnął się, pomachał latarką do samochodu patrolowego GPD i powiedział przez krótkofalówkę przypiętą do ramienia: — Czysto. Niech jadą.

Pete odpalił samochód i wolno ruszyli, nie odwracając się za siebie. W samochodzie panowała grobowa cisza, ale gdy tylko przejechali przez blokadę policji, odezwał się Pete.

— Jeffgeed, serio? — rzucił z ironią, a Mayki parsknął głośno śmiechem.

— Pieprzcie się — odparł Geedis

— Wielmożny Jeffgedzie III… — Mayki odwrócił się do Jeffa. — Czy mógłbyś łaskawie podać mi grzybki?

— Grzybki?

— No daj... — Mayki wyciągnął rękę i rozejrzał się po tylnym siedzeniu. — Gdzie schowałeś?

— Też chcę — powiedział Pete. — Bez tego z wami nie wytrzymam.

— Ale kazaliście się ich pozbyć...

— No i co? — zapytał Pete.

— No, ja... — Jeff zawahał się. — Ja je zjadłem... Zjadłem je.

— Przecież nie kazałem ci tego żreć! — Mayki złapał się za głowę. — Miałeś schować czy coś...

— Ktoś tu chyba poleci do Geedlandu. — Pete zaśmiał się.

— Co? — zdziwił się Jeff

— Brawo, Jeffgeed... — dodał Mayki, sarkastycznie klaszcząc w zwolnionym tempie. — Wygrałeś bilet do wesołego miasteczka.

FULL METAL GEEDIS

Skołowane zmysły powoli budziły się z pierwszego szoku po nagłym uderzeniu prosto w przysadkę mózgową Jeffa. Gonitwa myśli w jego płacie czołowym grzmiała echem podstawowych pytań przeplatanych zagadnieniami z pogranicza filozofii transcendentalnej. „Gdzie jestem?", „Kim jestem?", „Dlaczego jestem?!". Zakręt hipokampa wykrzywiał się to w jedną, to drugą stronę, by w końcu zamienić się w świetlistą drogę mleczną wiodącą z przysadki, przez peryferie szyszynki, prosto na autostradę percepcji. Każda nanosekunda materializowała idee, które spływały z Mount Geedis wartkim strumieniem, aby z hukiem rozbić się na ostrych kamieniach wodospadu podświadomości.

— Jak się czujesz? — Twarz Maykiego rozpływała się w ciemności. — Jeff?

— $E=mc^2$ — wymamrotał Jeff. — Geedis Schrödingera i syrop klonowy.

— No nieźle — powiedział pod nosem Mayki. — Dasz radę iść?

— 42! — krzyknął Geedis.

— Co?

— Odpowiedź to 42!

— A nie 24? — zapytał z sarkazmem Mayki.

— Przestań go schizować! — wtrącił się Pete. — Chcesz, żeby złapał bad tripa?

— Odpieprz się, Pete — odparł Mayki. — Chcę go ogarnąć, zanim dotrzemy.

— Za późno. — Pete wskazał ręką na gigantyczną willę skąpaną w ciemności i przystrojoną blaskiem księżyca. Budynek krzyczał przepychem, a obraz luksusu dopełniały podwójne złote wrota mieniące się w kolorach tęczy i odbijające światła fontanny, w której pluskały się marmurowe delfiny. — Jesteśmy!

— Wow. Niezła chata. — Mayki wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

— O! Jeżyk. — Jeff dostrzegł zwierzątko przemykające po chodniku i chowające się w cieniu wysokiego żywopłotu otaczającego willę. – Dokąd idziesz, jeżyku?

— To na pewno tutaj? – zapytał Mayki.

— Na stówę. — Pete podszedł do domofonu i nacisnął guzik. Po chwili z głośnika wydobył się krótki trzask i chłodny kobiecy głos.

— Hasło.

— Hasło? — powtórzył ze zdziwieniem Pete i spojrzał na chłopaków, licząc na podpowiedź, ale Mayki tylko wzruszył ramionami.

— 42! — krzyknął Jeff, a w domofonie rozległ się krótki trzask odkładanej słuchawki.

— Mówiłem ci, że to nie tu... — Mayki machnął ręką. — Spadajmy, zanim wezwą psy.

— Mayki... — zamamrotał Jeff, ale Mayki złapał go za ramię i pociągnął za sobą.

— Chodź, Jeff. Nic tu po nas. — Gdy mieli już odchodzić, z wnętrza willi dobiegł donośny odgłos otwieranego zamka, a drzwi zaczęły się uchylać.

— Mayki... — Jeff ciągnął Maykiego za rękaw koszulki. — Mayki...

Drzwi się otworzyły i blask wnętrza oślepił całą trójkę przybyszy. W drzwiach stanęły dwie zabójczej urody Azjatki przebrane za kolorowe wróżki znane z dziecięcych ludzkich bajek. Przypominały klony lub co najmniej jednojajowe bliźniaczki. Gdyby nie różnica w kolorze stroju, prawdopodobnie nie sposób byłoby je odróżnić. Pierwsza była cała ubrana w oliwkową zieleń, druga zaś wpadała w kolory błękitu nieba, który podkreślał kolor jej oczu. Ich skrzydełka spleciono misternie z cienkich

drucików, siatek i delikatnej tkaniny, która współgrała barwami z kusą bielizną i zamszowymi kozakami na wysokich obcasach. Mayki i Pete stanęli jak wryci i wytrzeszczali ze zdumienia oczy, jednak nie Jeff.

— Mayki... — powtarzał jak mantrę imię kolegi. — Mayki! — krzyknął, wybudzając oszołomionego chłopaka z letargu. Mayki potrząsnął głową i odwrócił się do Geedisa.

— CO?!?

— Dokąd nocą tupta jeż? — Jeff podrapał się po głowie.

— Grubo... — Pete pokręcił głową i popatrzył na wróżki. — Dzień dobry, my...

Nie zdążył jednak dokończyć, bo kobiety bez słowa odwróciły się i weszły do willi, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Po chwili Błękitna Wróżka odwróciła głowę i delikatnym skinieniem zaprosiła gości do środka. Chłopaki wymienili się spojrzeniami, a Mayki wyszczerzył się do Pete'a i szturchnął go w plecy.

— Stary, ale sztuki! — powiedział stłumionym głosem.

— Źle ze mną. — Jeff złapał się za głowę. — Ja widzę Wróżki.

— Ja też, mój futrzasty przyjacielu — odparł Mayki i poklepał Geedisa po ramieniu. — Ja też.

Długi, wysoki korytarz ozdobiony był rzeźbionymi panelami z mahoniu, a z podwieszonych złotych lamp w kształcie świeczników, leniwie płynęły promienie żarówek subtelnie oświetlając przestrzeń. Brunatny dywan dziergany w powtarzające się wzory smoków, rycerzy, elfów i mitycznych stworów ciągnął się aż do ustawionego na końcu holu biurka, przy którym siedział Geedis w czarnym smokingu i skrzętnie skrobał coś wielkim orlim piórem w notatniku. Zza jego pleców wydobywał się gwar sali balowej pełnej gości. Jeff jednak nie mógł oderwać wzroku od skrzydeł Zielonej Wróżki. Co jakiś czas próbował jej dotknąć. Za każdym razem, kiedy był już blisko, dostawał po łapach od Maykiego.

— Możesz przestać? — skarcił go Mayki. — Ogarnij się!

Gdy przechodzili obok biurka, kamerdyner od stóp do głów zmierzył wzrokiem Jeffa. Zamoczył pióro w wypełnionym czarnym atramentem kałamarzu i wrócił do pisania, co jakiś czas ukradkiem zerkając na nowych gości. Nagle wróżki się zatrzymały, a oczom chłopaków w całej okazałości ukazała się zielona od roślinności, ogromna sala balowa pełna ludzi i Geedisów wystrojonych w najdziwniejsze kreacje wszelkiej maści. Wielu z gości przebranych było za postacie znane z kultowych

filmów i popkultury, inni zaś przypominali mainstreamowych artystów lub wpływowych polityków znanych z pierwszych stron gazet. Cała ta kolorowa plejada zamaskowanych dziwaków i odmieńców kłębiła się pośrodku sali prosto z mokrego snu o szeroko zamkniętych oczach Geedleya Kubricka. Półnagie wróżki i wygolone Geediski krążyły między zebranymi z tacami pełnymi kieliszków szampana oraz wykwintnych przekąsek gotowych zaspokoić nawet najbardziej wybredne podniebienie. A to wszystko zatopione w gwarze pogawędek, dowcipów i rozmów towarzyskich, którym wydawało się nie być końca.

— Ta impreza będzie moja. Tylko popatrz, Pete. — Mayki złapał kieliszek od jednej z kelnerek i rzucił: — Hej księżniczko! — Puścił do niej oko, ale dziewczyna tylko się skrzywiła i odeszła bez słowa. — Twoja strata. — Podszedł do innej z kelnerek i złapał przekąskę. — Pójdziesz ze mną, aniołku? — zapytał z uśmiechem, ale i ta kelnerka uciekła w mgnieniu oka. — Jakieś sztywne te laski. — Wykrzywił się, przeżuwając kolejną przekąskę i zapijając powitalnym szampanem.

— Człowieku, jak ty nic nie wiesz o kobietach. — Pete zaśmiał się.

— A co tu wiedzieć? — Mayki wzruszył ramionami i rozłożył ręce. — Idzie albo nie.

— Nie możesz być taki zero-jedynkowy. To elegancka impreza, a nie burdel w West Side. Tu trzeba z klasą. — Pete poprawił włosy. — O! Popatrz tam... — Wskazał dwie dziewczyny stojące przy stole z przekąskami. Blondynka i brunetka w skórzanych spódnicach i fikuśnych szpilkach na metalowych obcasach.

— Bez szans. — Mayki pokręcił głową.

— Patrz i się ucz — powiedział Pete i ruszył w kierunku kobiet, zostawiając za sobą Maykiego i Jeffa.

— Jeff, czy ja jestem zero-jedynkowy? — zapytał ze zrezygnowaniem Mayki i popatrzył w stronę kobiet.

— Zero… jedynkowy? — powtórzył zdezorientowany Jeff.

— Nieważne. — Mayki westchnął. — Chodź. Muszę to zobaczyć.

Podeszli do stołu i obserwowali, jak Pete robi podchody do dziewczyn. Udając, że ich nie widzi, powoli zbliżał się do nich i niczym wyrafinowany koneser przeszukiwał stół w poszukiwaniu odpowiedniej przekąski pasującej do wytrawnego szampana. Wreszcie złapał pierwszą lepszą mini kanapkę z nadzieniem i niby przypadkowo znalazł się obok kobiet.

— O la la... pardą — powiedział z koślawym francuskim akcentem Pete, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. — Jak mogłem pań nie zauważyć? — powiedział głośniej.

— Co? — zapytała blondynka, a brunetka uniosła pytająco brwi i obie popatrzyły na niego z wyrazem twarzy, który dał jednoznacznie Pete'owi do zrozumienia, że popełnił falstart.

— Dobre te przekąski. — Próbował zmienić temat i ugryzł kanapkę, ale szybko wykrzywił twarz w grymasie.

— Lubisz kawior z larwy? Myślałam, że to przysmak Geedisów — zdziwiła się blondynka.

— Larwy? — Pete przełknął z obrzydzeniem i obficie popił szampanem. — Tak... A ty nigdy nie próbowałaś? — zwrócił się do kobiety, próbując zapomnieć o cierpkim smaku surowych jaj robaków.

— Nie — odpowiedziała. — Jestem fleksitarianką.

— To... jakaś religia? — zapytał Pete.

— Nie. — Kobiety parsknęły śmiechem. — To dieta. Jestem wegetarianką, ale od czasu do czasu jem ryby, drób i mięso.

— Jesz mięso? — zdziwił się Pete.

— Czasami — przytaknęła.

— To nie jesteś wegetarianką.

— Nie. Jestem fleksitarianką.

— To przecież nie ma sensu.

— Phhh... ignorant — parsknęła druga dziewczyna. — Ta rozmowa nie ma sensu.

— Wiesz, jak to mawiają... jesteś tym, co jesz — dodała blondynka, patrząc na kanapkę z jajami larw.

— To ty musisz jeść diamenty! — Wtrącił się niespodziewanie Mayki. — Dzień dobry, moje panie.

— To twój kolega? — Blondynka skrzywiła się, mierząc Maykiego wzrokiem. — Jesteście z West Side?

— Eeee.... — Pete zawahał się.

— Zero! Jeden! — Wypalił Jeff.

— Oooooo... Zobacz, jaki słodki Geedis — powiedziała brunetka i kobiety podeszły do Jeffa, zostawiając chłopaków.

— Jak się cię zwą, kudłatku? — Blondynka podrapała go za uchem.

— 01001010 01100101 01100110 01100110. — W głowie Jeffa kołatał się jedynie ciąg liczb, które starał się ułożyć w logicznym ciągu.



Ilustracja: FRIWIL

— A jemu co? — zapytała.

— On jest... — Mayki zawahał się.

— Binarny? — dokończył zdziwiony Pete.

— 01111000 01000100 — odpowiedział Jeff.

— Ale czad! — krzyknęła brunetka i zaczęła tarmosić futro Jeffa.

— Cybergeedis! — dodała brunetka i poszła w ślady koleżanki, a otoczony drapiącymi go kobietami Jeff poczerwieniał jak cegła.

— 01100011 00111101 00110011...

— Zero-jedynkowy, co? — Mayki popatrzył wymownie na Pete'a. — Do dupy z taką imprezą.

—Kocie, co tu się dzieje? — Do rozmowy wtrącił się napakowany Geedis w markowym garniturze znanego projektanta, który pękał w szwach od nafaszerowanych sterydami mięśni. Podszedł do brunetki i objął ją w pół łapą. Pod jego okiem chłopaki dostrzegli widoczny mały tatuaż w kształcie pękniętej na pół czaszki Geedisa. Znak szczególny członków geedlandzkiej mafii, która maczała swoje futrzaste paluchy we wszystkich ciemnych interesach Little Geedland. Słynęła też ze szczególnego okrucieństwa, bo jej żołnierzy przeważnie rekrutowano wśród zwolnionych dyscyplinarnie weteranów wojen zoltańskich, co tylko podkreślało zbrojny charakter tej bardzo dobrze zorganizowanej grupy przestępczej o solidnej strukturze dowodzenia. Służby były bezradne, bo nielegalne interesy Geedy Nostry obejmowały również polityków, a szukający sensacji dziennikarze szybko znikali bez śladu.

— Popatrz, Misiu! — krzyknęła do gangstera brunetka. — To Cybergeedis!

— Kurwa, co? — Na czole pakera pojawiła się pojedyncza, żywo pulsująca krwią żyła.

— Dobrze. My już musimy iść. — Mayki złapał Jeffa za futro i odciągnął go w tłum ludzi.

— 01010011 01110011 01101001 01101010!

— Tak. Kolega musi... — Pete zająknął się. — Wymienić olej. Tak — dodał z głupią miną, cofając się jak najdalej od gangstera. — Bardzo dobry ten kawior z larwy. Wyśmienity. Polecam.

FEAR AND LOATHING IN GEEDYWOOD

— Zwijamy się! — krzyknął Mayki, przeciskając się przez tłum ludzi. — Dość imprezy na dzisiaj.

— Poczekaj. — Pete próbował go uspokoić. — Dopiero przyszliśmy.

— I wystarczy. — Mayki zatrzymał się i popatrzył na Pete'a. — Widziałeś go? Wyglądał jak zmutowane Yeti!

— Ciszej! — Jeden z gości parsknął na chłopaków. — Zaczyna się — dodał inny, a światło powoli zaczęło gasnąć. Nagle całą salę wypełniło przeszywająco głośne uderzenie rytualnego gongu.

— Gdzie są wróżki? — Jeff błądził wzrokiem.

— Szzzzzzz... — syknął inny z gości.

Nagle na środek sali wyszła para zakapturzonych mnichów w długich do podłogi habitach. Jeden w kolorze czarnym jak smoła, drugi zaś śnieżnobiały. Odwrócili się do siebie plecami i zamarli bez ruchu. Wszyscy się rozstąpili, kiedy z sufitu padło na nich punktowe czerwone światło wyróżniające ich spośród tłumu. Nastąpiło kolejne uderzenie w gong i nagle reflektor zgasł, ponownie pogrążając salę w ciemności i w ciszy tak klarownej, że Jeff słyszał jeżące się na jego plecach włosy. Następny gong wypełnił przestrzeń, a ze środka sali dobiegł metaliczny dźwięk dobieranych mieczy, które, uniesione ponad zgromadzonymi, odbijały surowe światło księżyca. Nagle miecze zderzyły się i zapłonęły żywym ogniem, rozświetlając salę i rozstawionych w kółku gości. Zakapturzone postacie rzuciły się do walki na płonące ostrza w rytmach rytualnych geedibębnów. Mimo ciężkich szat co jakiś czas podskakiwały, robiły piruety i efektowne uniki, porównywalne jedynie do akrobacji najlepszych cyrkowców. Falujące w pojedynku szaty mieszały się ze sobą niczym ying i yang, przypominając o odwiecznej walce dobra ze złem. Ich miecze przecinały powietrze, często niebezpiecznie blisko przelatując nad głowami gości.

— To jest jakaś sekta — szepnął Mayki do chłopaków. — Złap butelkę wódki i zawijajmy się stąd.

— Gdzie my jesteśmy? — Jeff powoli wracał do świadomości.

— Spadajmy. To jakieś pojeby — Mayki powiedział do Pete'a.

— Czekaj — powstrzymał go Pete. — Chce to zobaczyć.

Szybka wymiana ciosów i jedno sprawne uderzenie sprawiło, że Biały Mnich padł na kolana na samym środku sali i podpierając się mieczem, ze zmęczenia spuścił głowę. Bębny przestały grać, gdy Czarny Wojownik wolno podszedł do pokonanego wroga i uniósł wysoko miecz, jakby za chwile miał go ściąć. Wśród widzów zawrzało. Jedni, żądni krwi, czekali z niecierpliwością na dalszy bieg wydarzeń, a blask płomienia odbijał się w ich źrenicach. Inni zaś zakrywali twarz dłońmi, patrzyli przez palce lub po prostu się odwracali, nie wytrzymawszy napięcia.

— Dobij go! — krzyknął ktoś z tłumu. — Nie! — Ktoś inny histerycznie próbował to przerwać. Kat jednak nie zwracał na to uwagi, zamachnął się, i kiedy miał już wymierzyć cios, nagle zgasło światło, a niektórzy z widzów zapiszczeli z przerażenia. Rozległ się gong, a z głośników mocno uderzył wszystkim dobrze znany beat oraz aksamitny, acz mocny kobiecy głos.— Wrzuć na luz Geedywood! Nagle wszystkie światła zapaliły się oślepiającym blaskiem, a pośrodku sali pojawiła się Peggy Sue Geedis, cała skąpana w złocie. Jej rozpięty markowy czarny dres Dolce & Geedana, buty AdiGeedis z wiosennej kolekcji, złoty zegarek, łańcuch i wielkie kolczyki tworzyły razem spójny wizerunek gwiazdy estrady. A wszystko podkręcał anturaż w postaci wojowników ognia i tańczących z nimi skąpo odzianych wróżek prężących to, czym natura obdarzyła je najhojniej.

— Jeff, popatrz — powiedział Pete, wskazując palcem na salę.

— Jesteście gotowi na pierwszy dzień wiosny? — zapytała Peggy Sue przez mikrofon. Tłum zawył z zachwytu, ale Peggy Sue pokiwała głową z dezaprobatą. — Pytałam... CZY JESTEŚCIE GOTOWI NA PIERDOLONĄ WIOSNĘ!?

— TAK! — wrzasnął zgodnie tłum, a z głośników uderzył basowy beat z mocą, która wprawiała żebra w wibracje i rozsadzała synapsy. Peggy Sue zaczęła śpiewać swój największy przebój, a razem z nią śpiewała cała sala.

"Geed up! Geed on up!
Wrzuć na luz Geedywood
Sprawdź to gówno prosto z Geed Hood!"

Jeff patrzył na Peggy i mimo całej tej otoczki, blichtru, szpanerskich ciuchów i tancerzy nadal widział w niej tą samą dziewczynę, z którą bawił się na West Side jako dziecko. Sierotę, której ukradkiem wynosił obiad, kiedy uciekała z domu wrednej macochy. Dobrą dziewczynę z marzeniami o dalekich podróżach, z którą niemal każdego wieczora chował się na strychu Buby Geedis, by przy świeczce czytać wspólnie mitologię Geedlandu. Opowieści o władcach Krainy Ta, dzielnych rycerzach walczących ze smokami, herosach, magach i elektronicznych elfach podróżujących między wymiarami, stojących na straży czasu i przestrzeni. Chcieli razem uciec z Geed Hood, by wyruszyć w tajemniczą przygodę w poszukiwaniu zaginionych światów równoległych opisywanych przez kronikarzy ze starej ojczyzny. Żeby chociaż przez chwilę odetchnąć wiosennym wiatrem przyniesionym przez ptaki, a potem razem z nimi wzbić się na sam szczyt świętej góry Mount Geedis, rozgonić chmury i zobaczyć mityczne krainy ciągnące się aż po horyzont. To był ich cel. Ucieczka do lepszego świata, który istniał tylko w ich wyobraźni, napędzanej historiami przy kominku leciwej Buby Geedis. Wtedy nic innego nie miało znaczenia. Rzeczywistość przegrywała z fantazją, a smutek topił się w ciepłym strumyku Geedlandu. Ona była Królową, a on dzielnym wojakiem polującym na magiczne demony chowające się za szafą z narzędziami, która odgrywała rolę bramy do ich wspólnego zamku marzeń. Potem razem układali pieśni i wiersze o bohaterskich czynach Jeffa, który mimo przeważających sił wroga pokonał zoltańskie hordy i uratował swoją Królową. Jeff uśmiechnął się, a pojedyncza łza wzruszenia spłynęła po jego policzku i kapnęła na futro. Zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje. Nie była ważna piosenka, brawa czy tłum ludzi skandujący jej imię i błagający o bis. Wtedy go zobaczyła. Gdzieś wśród widowni akurat ich wzrok się spotkał. Niczym przeznaczenie, na które czekał latami. Stali tak bez ruchu, patrząc sobie głęboko w oczy. Jeff uśmiechnął się życzliwie, ale Peggy nie odpowiedziała uśmiechem. Zmrużyła oczy i ze złością złapała za mikrofon, po czym zaczęła freestylować *a capella* ku niekrytej radości i brawom tłumu zebranych na sali gości.

„Pierwszy dzień wiosny? Nie bądź taki radosny,
Bo zanim się obejrzysz, wszystkie spalą ci mosty
Zrobią barter z tym zoltańskim folwarkiem
I na West Side zamiast parku wybudują hipermarket
Gdzie godnie to zarobisz tylko jak buchniesz drukarkę
Gdzie nastoletni Geedis strzeli sobie złotą działkę
A kumpela, ta spod piątki, ryjkiem zrobi za dojarkę
By podzielić się z rodziną ludzkim wymyślonym hajsem
Czy na starcie, wciąż uparcie, chcesz bym żyła w takiej bajce?
Jak ta wiedźma Buba Geedis w sidłach swej demencji starczej

Więc powtarzam to jak mantrę
Każdemu Geedisowi
Niech usłyszą was w Geedlandzie
Chuj w dupę Zoltanowi!”

Cała sala jednogłośnie krzyczała razem z Peggy, powtarzając za nią chóralnie jej ostatni wers.

— Chuj w dupę Zoltanowi! — krzyczeli Pete i Mayki, wymachując rękami.

— Daj mi papierosa — powiedział załamany Jeff.

— Kup sobie — rzucił od niechcenia Mayki.

— Kurwa, daj mi szluga! — wrzasnął Jeff tak głośno, że Mayki aż odskoczył z przerażenia.

— Wyluzuj! — Wyciągnął z kieszeni pomiętą paczkę Geedboro. — Został mi tylko jeden, ale... — Nie dokończył, a zanim schował paczkę z powrotem do kieszeni, Jeff jednym szybkim ruchem wyrwał mu ją z ręki i zniknął w tłumie.

— Dokąd idziesz? — zapytał zdziwiony Mayki. — Koncert się jeszcze nie skończył.

— Co go ugryzło? — zapytał Pete, ale Mayki jedynie wzruszył ramionami.

Jeff wyszedł z sali i podszedł do uchylonego okna w rogu korytarza. Włożył papierosa do ryjka i wyciągnął zapalniczkę, ale nim odpalił, Czerwona Wróżka zabrała mu papierosa.

— Tu nie wolno palić! — powiedziała stanowczo.

— Daj spokój — wycedził przez zęby Jeff.

— Palarnia jest na dole. — Wróżka zmarszczyła czoło i ruszyła w stronę ciemnego korytarza prowadzącego w głąb willi.

Jeff poszedł za nią. Patrzył na jej aksamitne skrzydła i okazjonalnie, przypadkowo zerkał na równie aksamitną krótką spódnicę, która nie do końca zakrywała pełnię skóry między udami a lędźwiami. W końcu ta część Czerwonej Wróżki stała się jedynym punktem skupienia Geedisa.

— Tędy — powiedziała, wyrywając zakłopotanego Jeffa z samczej hipnozy. Jeff rozejrzał się i zauważył, że stoi pośrodku pustego parkietu do tańca, którego ściany pomazane były wielobarwną farbą o psychodelicznych kolorach. W wielkich rozwieszonych dookoła antyramach znajdowały się plakaty mniej lub bardziej znanych undergroundowych zespołów punkgeedowych i geedrockowych z podpisami członków kapel, a nad nimi górował portret Anthony'ego Geedisa z wielkim autografem oraz jego połamana gitara z trasy koncertowej legendarnego już albumu *Caligeedication*. W oddali stał bar, za którym rozstawiała butelki Seledynowa Wróżka. Chociaż zdziwiła się, gdy zobaczyła Jeffa, uśmiechnęła się pogodnie. Od reszty wyróżniał ją strap-on z gumowym penisem wielkości Mt. Geedis, który schowała, gdy tylko zorientowała się, że Jeff go zobaczył.

— Jeszcze zamknięte — powiedziała, jakby w całej sytuacji nie było nic dziwnego.

— Idziesz? — Czerwona Wróżka czekała, zatopiona w zwisających na sznurkach kolorowych szkiełkach zdobiących przejście łączące parkiet z korytarzem. Jeff poszedł za nią, odprowadzając wzrokiem Seledynową Wróżkę, która z każdym jego krokiem delikatnie przesuwała się przy barze, aby ciałem zasłonić upchnięte naprędce za barem gigantyczne dildo.

Odchodzący od sali korytarz wystrojem przypominał haremiczny Babilon. Pod ścianą rozłożone były wielkie poduszki, rozdzielone na grupy posągami z porcelany w stylu starych bogów. Przeważnie tych zajmujących się kwestiami natury erotycznej. Pod nimi leżały małe bębny, gitary, sitary, a nawet banjo przypominające w kształcie nos Geedisa. Widoku dopełniały palmowe liście i plecione pędy bambusa zdobiące ściany i sufity. Na szklanych stolikach obok poduszek rozstawiono porcelanowe kamfory z czerwonym winem oraz miseczki wypełnione winogronami i daktylami. Gdzieniegdzie rozrzucone były stare numery znanych czasopism takich jak „Głos Geedlandu", „Geedland w Deszczu" czy „ Specjalne 69. wydanie Krzysztofzinu".

— Sześć, dziewięć. — Jeff zaśmiał się.

— Coś mówiłeś? — zapytała kobieta.

— Dobrze idziemy?

— Właściwie to jesteśmy. — Czerwona Wróżka zatrzymała się na końcu korytarza, z którego w dół prowadziły skąpane w półmroku schody zwieńczone ciężkimi stalowymi drzwiami.

— Na co czekasz? — powiedziała, wyciągając papierosa, którego zabrała mu kilka minut wcześniej. — Chciałeś zapalić. To jest palarnia. — Wskazała mrok papierosem. — Idziesz czy nie? — rzuciła zniecierpliwiona. — Muszę wracać do gości.

Jeff chwilę się wahał, ale ostatecznie powoli i bardzo ostrożnie zszedł po schodach, rozglądając się dookoła. Wróżka podała mu papierosa.— Światło jest z prawej strony. Na stole jest popielniczka — dodała i prędko opuściła Jeffa, który odprowadził ją wzrokiem.

— Zostaliśmy sami — powiedział pod nosem, zerkając na papierosa, po czym wszedł w głąb ciemnego pomieszczenia, szukając po omacku na ścianie włącznika światła.— Mam cię! — krzyknął. Ucieszony, nacisnął guzik, ale nagły blask włączonej krwistoczerwonej lampy ledowej poraził mu źrenice. Nim zdążył się zorientować, drzwi skrzypnęły przeraźliwie.— Nie! — Jeff skoczył do wejścia, ale było już za późno. Piwnica z piekła rodem zamknęła się z potwornym hukiem i zatrzasnęła go od zewnątrz. Kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do oślepiającego światła, zobaczył niemalże pusty pokój cały wypełniony krwistą czerwienią lampy. Widok godny horrorów klasy B lub starych filmów Geedina Tarantino, ale nie nafaszerowanego żelowymi grzybami Jeffa, które, jak na złość, właśnie zaczynały o sobie przypominać. Wszystkie ściany pokryte od podłogi do sufitu pokryte były lustrami, które tworzyły nieskończone odbicia wnętrza, przyprawiając Geedisa o zawrót głowy. Pośrodku tego dziwnego pokoju stał stół z dwoma drewnianymi krzesłami, a na blacie leżała ciężka popielnica z mosiądzu.

— Nie! Nie! NIE!!! — Jeff rzucił się do drzwi i zaczął histerycznie walić w nie łapami, drąc się wniebogłosy. To jednak nic nie dało i po dłuższej chwili walki osunął się zmęczony na posadzkę, na której leżał jego papieros zguby. Podniósł go i szukając ukojenia w dymie, odpalił trzęsącymi się z nerwów łapami.

— Myśl Jeff! Myśl! — powtarzał do siebie, zaciągając się papierosem. — Głupi Geedis. — Westchnął i wypuścił opary nosem. Podniósł się z podłogi i próbował zebrać myśli, ale ich gonitwa przybierała na sile z każdym uderzeniem serca.— Chodź do Geedywood, Jeff. Będzie

fajnie, Jeff — sarkastycznie małpował pod nosem słowa kolegów, których winił za to, że utknął w psychodelicznej sexpiwnicy jakiegoś pieprzonego zwyrola z East Side, a na dodatek ze ścieżką dźwiękową w postaci dochodzących prosto z sufitu ciężkich basów kolejnego kawałka Peggy Sue. — Spokojnie, Jeff, co się może stać? — zapytał jedno ze swoich odbić w lustrze, jakby szukając odpowiedzi i chcąc się uspokoić. — Przecież mnie nie zabiją, nie potną i nie złożą w ofierze. Nie wytną serca i nie zjedzą wątroby, a wróżki z gumowymi penisami nie zgwałcą moich zmasakrowanych zwłok. Prawda? — Nagle odbicie Jeffa wzruszyło ramionami, a ten zamarł, przełknął głośno ślinę i rzucił się w stronę drzwi z pięściami i płaczem. — WYPUŚĆCIE MNIEEEEE! — Zero reakcji. — SPOKÓJ! — krzyknął, próbując się ogarnąć, ale głos z tyłu głowy nie dawał za wygraną i stawał się co raz bardziej realny.

— Nie zabiją cię, Jeff. Najwyżej zgwałcą — powiedział.

— Zgwałcą? — Jeff wytrzeszczył oczy i popatrzył na jedno ze swoich odbić w lustrze, które zyskiwało autonomię.

— Tylko kilka razy. — odparł Jeff z lustra.— Może nawet nie grupowo — wtrąciło do rozmowy kolejne odbicie Geedisa. — Jak na tak liberalną część miasta to dość konserwatywna okolica — dodało inne.

NEVER-ENDING GEEDIS

Jeff poczuł, że wszystko zaczęło się poruszać, a piwnica zaczęła coraz szybciej obracać się wokół własnej osi. Tysiące Jeffów odbijających się w lustrach nagle uwolniło się od oryginału, generowało własną świadomość i mnożyło w miliony, a nawet w setki miliardów odmian rozrzuconych gdzieś w czasie i przestrzeni nieskończonej liczbie alternatywnych równoległych rzeczywistości. Żyły własnym życiem, w którym odnosiły sukcesy i porażki, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Kochały i nienawidziły. Zamieniały miejscami, duplikowały i dzieliły na pół. zakłócając światy innych Jeffów. Rodziły się i umierały symultanicznie. Toczyły wojny, ginęły i zabijały w imię zasad nieznanych rzeczywistości. Nagle coś uderzyło Jeffa w łeb z taką mocą, że wszystko w jednej chwili się rozpadło, a oszołomiony Geedis spokojnie siedział przy stole, trzymając w ręku papierosa.

— Dość tego! — krzyknął Mechaniczny Elf Iggy, Strażnik Czasu i Przestrzeni. Jeff zaniemówił, widząc mityczną postać, o której jedynie czytał w geedlandzkich baśniach i słyszał legendy od starej Buby Geedis.

Elf rzucił z hukiem na blat stołu opasłą księgę inkrustowaną złotem. — Przesadziłeś, Jeff.

— Jak to? — zdziwił się Geedis.

— Srak to! — Otworzył księgę i wskazał palcem jeden z wpisów. — Patrz! Napoleon Geedaparte, mówi ci to coś? Jeff pokiwał przecząco głową. — Geedyloo? Cały czas nic? — Iggy przewrócił stronę. — Mikołaj Geedernik jest płaskoziemcem! — Przewrócił kolejną stronę. — Geedhis Khan pasterzem, a Geedethe pisze poradnik kulinarny! Kto mi zapłaci za nadgodziny?

— Nie rozumiem...

— Mało ci?! — Iggy przerzucał kolejne kartki. — Geedistoteles, Leonardo da Geedi, Tomasz Geedison, William Geedspeare, Ludwik van Geedthoven, czaisz? Wszyscy minęli się ze swoim przeznaczeniem. — Wskazał palcem następny wpis. — Przez ciebie Adolf Geedtler został malarzem! — Strażnik Czasu skrzywił się. — No tu akurat mogło być gorzej, ale... — Przewrócił stronę. — O, patrz! Maria Geedowska-Geedie odkryła porno! — Iggy przewrócił stronę i nagle pobladł z przerażenia. — O NIE! Tylko nie to...

— Co się stało?

— Muszę usiąść. Proszę trzymaj to... — Podał Geedisowi elektryczną różdżkę i osunął się na krześle, kompletnie wyczerpany. — Jak mogłeś do tego dopuścić Jeff? Wszystko tylko nie to...

— Aż tak źle?

— Sam zobacz... — Strażnik wskazał metalowym palcem otwartą stronę. Jeff nachylił się i pobladł. — Czytaj! — Zabrał Geedisowi papierosa i zaciągnął się z całych sił, wypuszczając dym w przerwach między nitami swojego srebrnego pancerza.

— Muszę? — zapytał z niesmakiem Jeff.

— Czytaj, jak mówię!

— 1 marca 1994 w Kanadzie urodził się Justin Gieeber.

— Zadowolony jesteś z siebie, tumanie? — Iggy zdzielił go przez łeb otwartą dłonią.

— Za co?!

— Za jajco! Jeszcze nie rozumiesz? Istniejesz!

— No i?

— Przecież ty nie istniejesz!

— Jak to?

— Mam przeliterować? N-I-E I-S-T-N-I-E-J-E-S-Z! — wrzasnął Strażnik Czasu i Przestrzeni. — Nie ma cię. Jesteś wytworem wyobraźni. Złudzeniem. Fantazją.

— Ale przecież istnieję. Jestem.

— A czy fantazje istnieją naprawdę? — zapytał Iggy.

— No... nie?

—No nie. A mimo to ludzie o ciebie pytają. Mówią o tobie i piszą jakieś kretyńskie opowiadania. Zmaterializowali cię, a teraz ty materializujesz swój świat. Z każdym słowem o tobie istniejesz coraz bardziej i coraz bardziej kształtujesz otoczenie, kreując równoległą rzeczywistość. Nawet teraz, z każdym moim wypowiedzianym słowem, nadaję ci coraz więcej ciebie. Takie upośledzone *perpetuum mobile*, nadążasz? — Jeff kiwnął głową potakująco, ale jego mina krzyczała kompletną dezorientacją. — Byłoby wszystko w porządku, bo za jakiś czas przestaliby o tobie mówić i trafiłbyś do śmietnika z innymi fantazjami. Pamiętasz Falkora, tego zmutowanego psa z *Niekończącej się opowieści*? — Jeff pokręcił przecząco głową. — No właśnie, bo jego opowieść dawno się skończyła. Był gwiazdą rocka w latach osiemdziesiątych, ale jego czas minął, poleciał w melanż i teraz pracuje u nas w księgowości. Swoją drogą wiesz, jak śmierdzi trzynastometrowy spocony kundel z nadwagą? No, jebie na całe biuro po prostu. Myślisz, że czemu ja pracuję zdalnie? — zapytał retorycznie Iggy. — A wracając do sedna sprawy. To co się stało tam, na górze. — Iggy wskazał palcem w kierunku sufitu.

— U Świętego Geedisa? — Jeff rozpromienił się z ciekawości.

— Nie, kretynie. — Iggy przetarł twarz.

— Ktoś mnie wzywał? — rozległ się niebiański głos Świętego Geedisa, a pokój wypełnił się srebrzystą poświatą boskości.

— Nie, Bob — odpowiedział mu Iggy. — Fałszywy alarm, przepraszam. Wracaj do pracy.

— Widzimy się w poniedziałek — powiedział Głos. — Tym razem nie zapomnij o fakturach za wyjazdy służbowe — dodał i rozpłynął się tak szybko, jak się pojawił. Iggy przewrócił oczami i popatrzył na Jeffa.

— Właśnie zmaterializowałeś wasze zaświaty. Rozumiesz? — Westchnął. — Chodziło mi o to, co wydarzyło się podczas koncertu. Kiedy Peggy Sue wykrzyczała imię Zoltana, a ta banda kretynów powtórzyła je kilkukrotnie, co się stało Jeff?

— Stworzyliśmy Zoltana?

— Bingo! — Iggy klasnął. — A ten wredny skurwiel od razu zaplanował atak na Czas i Przestrzeń. Tak trafiliśmy tutaj. Słuchaj, Jeff. Teraz najważniejsze. — Strażnik podsunął Geedisowi swój notatnik. — Musisz to naprawić.

— Jak?

— Nie wiem, Jeff. — Iggy pokręcił głową. — Pomyśl.

— Gdzie mam szukać?

Iggy podsunął mu pod nos Księgę Czasu i Przestrzeni.

— To jest źle postawione pytanie. — Iggy uśmiechnął się.

Jeff zmarszczył brwi i zacisnął powieki w tęgim procesie zamyślenia. Otworzył oczy i popatrzył na otwarty notatnik. Chwilę błądził wzrokiem po datach wydarzeń spisanych chronologicznie według przypisanym im alternatywnym rzeczywistościom. Podniósł wzrok i zapytał:

— Kiedy go szukać?

— Kiedy tylko chcesz. Zoltan może być kiedykolwiek. — Iggy podał Geedisowi metalowe pióro. — Wybierz stronę, zamknij oczy i zacznij od pierwszej rzeczy, która ci przyjdzie do głowy. — Jeff popatrzył na niego i otworzył tajemniczą księgę. Zamknął oczy i zobaczył Geedland tak klarownie, że świat aż zadrżał w posadach. Z każdą myślą pojawiały się nowe kolory i kształty, które nabierały znaczenia. Idee przeradzały się w obrazy, a fikcja stawała się prawdą. Przystawił do pustej strony ostre pióro, a kropla tuszu delikatnie spłynęła na papier. Czas nagle zwolnił. — Tylko ostrzegam — dodał Iggy, łapiąc Geedisa za łapę. — Dowiesz się o sobie rzeczy, których nie chciałbyś wiedzieć. Możesz zmienić historię, ale ona... zmieni też ciebie. — Zmierzyli się wzrokiem, a Strażnik Czasu i Przestrzeni wskazał skinięciem głowy na księgę. — Gotowy?



Ilustracja: ShakoHead



Pewnie zachodzicie w głowę, co się stało z tą pokraką, Hermanem. Powiem wam, ale najpierw muszę wam powiedzieć o skorumpowanym burmistrzu TA, Harrym.



Tuż po objęciu stanowiska Harry w całości zlikwidował policję i zastąpił ją TerminatOrami KArłów Reakcji, albo TOKAR-ami, bo pod taką nazwą oprawcy znani są mieszkańcom TA.





Ale chociaż nienawidzę TOKAR-ów z całego serca, muszę przyznać, że właśnie *teraz* ich potrzebuję!

Są jedyną siłą zdolną powstrzymać tę górę mięśni, prochu strzelniczego i psychopatycznego szału, która podąża moimi śladami bez najmniejszych oznak zmęczenia.

PRZEMYSŁAW GRABOWSKI

BOGACTWO I SŁAWA

Sir Erik Worthing był bohaterem. Rzecz nie w tym nawet, iż ród Worthingów już od przeszło sześciu pokoleń chlubił się synami, których zapałowi i fantazji na placu boju dorównywał tylko kompletny brak instynktu samozachowawczego, co kończyło się zazwyczaj paskudną, ale jakże chwalebną śmiercią. Wielka estyma i poczesne miejsce w kronikach ludzkości wywróżone zostały bowiem zacnemu Sir Erikowi przez grupę niegustownie ubranych matron, które nie wiedzieć czemu, mimo niezdrowego upodobania do babrania się w zajęczych wnętrznościach, cieszyły się powszechnym uznaniem we wszystkich kręgach, może z wyjątkiem samych zajęcy. Wróćmy jednak do naszego dzielnego rycerza!

Wbrew temu, czego można by się po kimś takim spodziewać, Sir Erik nikogo obecnie nie ratuje, nie broni i nie rozgramia, ba, nawet nie przyjmuje heroicznych póz, galopując po gościńcu na swym rączym rumaku. Tak się składa, iż nasz dzielny oswobodziciel niewiast zaznajamia się z pięknem natury, a dokładniej rzecz ujmując, admiruje listowie przydrożnych zarośli, dowodząc tym samym, jeśli nawet nie swej niezwykłej wrażliwości na uroki krajobrazu, to przynajmniej wrażliwości żołądka na składniki grochówki serwowanej w karczmie „Pod Krzepkim Junakiem". Wiem, iż niektórych zdziwić może fakt, że bohaterowie również chodzą za potrzebą, ale ta powszechna niewiedza wypływa zapewne stąd, iż w sztukach i eposach robią to zwykle pomiędzy aktami. I tak oto nasz pogromca smoków kontemplował uroki natury, co i rusz wpadając w niemy zachwyt nad jej ulotnym pięknem, na co niezbicie wskazują szeroko rozwarte powieki i zaciśnięte z przejęcia szczęki, o ogólnym zaczerwienieniu lica nie wspominając. Jakież zatem musiało być jego zdziwienie, gdy pochylony nad bujnym łonem matki ziemi, zgłuszony został przez zręcznie wymierzony cios toporzego obucha. Dobrze chociaż, że bohater nasz, napadnięty w tak podstępny i niegodny sposób, padł bez przytomności na swe krasne oblicze, nie zaś w tył, bo byłby wpadł we własne... w mrowisko by wpadł, chciałem rzec.

Podczas gdy nasz heros leży, śniąc spokojnym snem sprawiedliwych, a także w sztok pijanych i zwyczajnie nieprzytomnych, z cienia przydrożnej kniei wyłania się oprawca. Przestąpiwszy ciało szlachetnego Sir Erika, złoczyńca przystępuje do prastarego rytuału rzezania mieszka. Ku jego zdziwieniu, mimo bogatego odzienia nieprzytomny mężczyzna nie ma przy sobie niczego ponad skórzaną sakiewkę zawierającą skromną liczbę srebrnych monet i heraldyczny sygnet, sztuk jeden. „Juki", mamrocze pod nosem rzezimieszek, kierując swój wzrok ku widocznemu przez zarośla prześwitowi.

Minstrel Edwin miał bardzo zły dzień. Cienkusz wypity zeszłej nocy zmącił jego lotny umysł, a służebna dziewka nijak nie dała się wychędożyć, choć równał ją do Nikoletty i Kresydy. Teraz niezrównany, przynajmniej w swym przekonaniu, siedzi na koźle małego wozu, mrużąc oczy przed bolesnym blaskiem nienawistnej tarczy słońca. Po prawdzie Edwin rad był lec w cieniu pobliskiej kniei i łykiem wina uciszyć ciskającego się w czaszce demona miast mocniej jeszcze rozjuszać bydle gorącem i podrygami fundowanymi przez kolebanie się wozu na wybojach gościńca. Szlachetny Sir Erik nieustępliwie jednak nalegał na utrzymanie tempa podróży, a nawet podczas spowodowanych grochówką przymusowych postojów nie pozwalał Edwinowi odstępować koni ani na chwilę.

Skołatany umysł Edwina zarejestrował wreszcie narastający szelest listowia zwiastujący koniec postoju. Edwin, niechętny w swym stanie wszelkim ruchom, siedział niewzruszenie plecami do źródła hałasu. Oglądać się ani myślał, bo raz, że ruch wszelaki wyjątkowo był mu w obecnym stanie niemiłym, a dwa, pobrzękiwanie ostróg i okuć pasa uderzających o pochwę sztyletu dowodziły niezbicie, że to nie dzik ani niedźwiedź w stronę jego kroczą. Obolały minstrel zdziwił się zatem niepomiernie, gdy jakieś krzepkie ramiona bezceremonialnie ściągnęły go z kozła. Okrzyk oburzenia zastygł w gardle, zdławiony sztychem sztyletu (tego samego, który tak w swej pochwie pobrzękiwał jeszcze przed chwilą).

Edwin był człowiekiem nader spostrzegawczym. Cecha ta ułatwiała mu życie w znacznym stopniu, umiał bowiem trafnie ocenić, na dwór którego wielmoży jechać warto, co komu śpiewać i która dziewka daje najchętniej. Człek tak bystry nie mógł więc przeoczyć faktu, iż dobrze znany mu sztylet, na którego końcu się znalazł, na końcu przeciwnym ma innego niż zazwyczaj posiadacza.

— Bogactwo i sława! — Na dźwięk wykrzyczanych przez Edwina słów w oczach napastnika zaświtała ciekawość, a sztych sztyletu wyczuwalnie zmniejszył nacisk na gardło truwera. — Oszczędź mnie, a obiecuję przysporzyć ci obu! Bogactwo i sława za moje życie.

W odpowiedzi nie padło żadne słowo, ale Edwin wiedział, że uderzył w odpowiednie nuty. Skupione nań spojrzenie znał nader dobrze ze swych występów na rycerskich dworach, w karczmach i na jarmarkach. Spojrzenie zdradzające głód trawiący nie trzewia, a umysł, głód niezaspokojony i rozpalający wyobraźnię. Edwin był człowiekiem nader spostrzegawczym. Szybko zauważył, że pod cienką warstwą przysiąg, póz i pokrzykiwania o ojcowiźnie i honorze ci, co parają się wojaczką, noszą w sercach dwie wartości nadrzędne, „bogactwo i sławę".

— Jedno li spojrzenie starczy, by wiedzieć, że nie z byle lebiegą, a z panem bitnym a godnym przyszło mi mówić...

— Mniej słów, więcej wiadomości, sługo. — Polecenie padło w ust napastnika ze spokojną stanowczością człowieka, który rozumie, że dwadzieścia centymetrów ostrej stali naciskające na krtań rozmówcy stanowi solidny zamiennik dla wykrzykników.

— Margrabia Stefan, zwany Gadobójcą, wysłał po wszystkich ościennych księstwach gońców obwieszczających na każdym dworze, folwarku i gościńcu, że stary charakternik organizuje turniej, którego nagrodą będą niewyobrażalne zaszczyty i bogactwa. Nie jest tajemnicą, że margrabia Stefan na zbrojnych wyprawach na pograniczu Krainy Ta dorobił się majątku, którego zazdrości mu szlachta całego Cokaygne. Powszechnie znanym faktem jest też to, że stary Stefan, mimo, iż srogi był zeń jebaka, nigdy nie spłodził potomka płci męskiej... cóż, przynajmniej nie oficjalnie, bo jeśli wierzyć w chociaż ćwierć śpiewanych o jego podbojach ballad, po jego domenie biegać musi mała armia bękartów...

— Co mi do tego? Spod płótna na tym wozie błyszczy do mnie stal, w jukach znajdę pewnie trochę srebra, a za konie dostanę mały majątek na najbliższym targu. Czemu mam słuchać twoich opowieści o jurnych starcach, sługo?

— Prawda, ale czy zadowolisz się ochłapami, gdy tak soczysty kęs jest na wyciągnięcie ręki? Margrabia Stefan jest stary, bogaty i nie ma synów, a jego posłańcy zwołują zewsząd zbrojnych, obiecując niewyobrażalne bogactwa za zwycięstwo w turnieju. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by domyślić się, o co toczy się tu gra. Sprzedając zbroję i konie mojego

patrona, napełnisz sakiewkę na miesiąc, wygrywając turniej margrabiego Stefana, zostaniesz wielmożą pławiącym się w luksusach po kres swych dni. — Wypowiedziawszy ostatnie zdanie, Edwin uważniej przyjrzał się reakcji zbójcy. Zgodnie z oczekiwaniem w przesłoniętych strąkami skudlonej grzywy oczach zaiskrzył głód.

— Powiedzmy, że pojadę bić się o ten majątek. Zdaje się, że wszystko, czego mi trzeba, to mocna prawica i twarda stal, a nie sługa wypatrujący okazji, by wydać mnie przy pierwszej sposobności za obrabowanie jego pana. Zdaje mi się, że mądrzej będzie zostawić sługę wilkom na wieczerzę, niż puszczać go wolno, by potem oglądać się przez ramię lub zasypiać niepewnym nadejścia świtu. — Choć w wypowiedzi przybysza dominował tryb przypuszczający, nacisk sztychu na Edwinowe gardło był niewątpliwie oznajmujący.

— Zgoda, puszczać takiego sługę wolno byłoby błędem. Szczęśliwie się zatem dla nas obu składa, że sługą nie jestem, a bardem. Moja lojalność ma kolor srebra, nie herbowej liberii, a w zamian za skromny w nagrodzie udział, że o darowaniu życia nie wspomnę, gotów jestem wesprzeć cię, szlachetny panie, wiedzą zebraną przez lata na rycerskich dworach. Wiedzą o tym, kto z kim i przeciw komu, wiedzą o tym, który rycerz ma biodro niezaleczone po niedawnym upadku z konia, o tym, który hrabia nie widzi na prawe oko po tym, jak runął z balkonu swej kochanki, przed powracającym mężem czmychając. A nade wszystko wiedzę o tym, jak nie wydać się w pierwszym słowie, żeś nie jest Sir Erik Worthing, a jego oprawca. Ba, zechciej, panie, ledwie drobinę swych zdobyczy ze mną podzielić, a uwiecznię twe przewagi w pieśniach tak znakomitych, że prawnuki twych prawnuków śpiewać je będą, zazdrośnie wspominając chwałę tyleż wielką, co niedoścignioną!

— Sklad!— Eksklamacja mężczyzny, choć w samym słowie niezrozumiała dla Edwina, treść niosła niewątpliwie pozytywną, na co dowodem było kompletne zerwanie kontaktu jego gardła z ostrzem sztyletu. — Bogowie, czemuś od razu nie mówił? Dróttin zatrzasnąłby mi przed nosem wrota swej sali biesiadnej, gdybym bez powodu zabił skalda. Ha! — Gromkiemu okrzykowi radości zawtórował lekko tylko cichszy huk dłoni mężczyzny o ramię Edwina. Nie chcąc zburzyć nowo powstałej komitywy, truwer powstrzymał grymas bólu, starając się nie zaprzątać sobie na razie głowy rozważaniami nad tym, ile jeszcze takich przyjacielskich klepnięć jego kości zniosą, nim zaczną pękać. —

Ruszajmy zatem, Słowosiewco, wskaż gdzie czekają skarby Jarla Svena, a ja ci dostarczę materiału do mojej sagi! — „Margrabiego Stefana" — prawie zakrzyknął Edwin. Zapędy edukacyjne przegrały jednak z chęcią przetrwania.

Tak oto okoliczności wstępnie mocno dla Edwina nieciekawe szybko nabierają barw bardziej świetlanych, by nie rzec srebrzystych. Obdarzywszy truwera wilczym uśmiechem, niedoszły oprawca rozsiadł się na koźle, gestem ręki wskazując rozpościerający się przed nimi gościniec.

— Bogactwo i sława w tamtym kierunku, o ile dobrze rozumiem. — Szeroki uśmiech nie opuścił ust niedawnego napastnika ani na chwilę.

Reszta dnia minęła im na podróży. Ivar, bo tak przybysz się przedstawił, okazał się dobrym kompanem, chętnie opowiadającym o swej ojczyźnie i niezwykłych okolicznościach, które sprowadziły go do Cokaygne. Kvenlandia, skąd pochodzi, to na poły legendarna kraina, o której ludność Cokaygne wie tylko tyle, że leży na północ za nieprzebytym masywem gór Cwena. Z zasłyszanych tu i ówdzie opowieści wynika ponadto, że w Kvenlandii nigdy nie przestaje padać śnieg, ludzie zamiast koni dosiadają niedźwiedzi, mężczyźni nigdy nie trzeźwieją, a kobiety za cały ubiór mają dwie metalowe tarczki na piersiach, futrzaną przepaskę w biodrach i obowiązkowy dla osobników obu płci rogaty hełm. Tego, jak metalowe tarczki utrzymują się na nagich piersiach i jak mają się do funkcjonowania w wiecznej zmarzlinie, albo jak Kvenowie utrzymują w tym klimacie stada rogacizny zdolne wyposażyć całą populację w stosowne nakrycia głowy, zasłyszane przez Edwina historie niestety wytłumaczyć nigdy nie raczyły. Słuchał w skupieniu opowieści Ivara o tym, jak zgubiwszy w zamieci drogę, goniąc niedoszłych najeźdźców z wrogiego klanu, schronił się w dziwnej jaskini, która, wijąc się przez górskie trzewia, zaprowadziła go w leśną knieję. Edwin nie krył zdziwienia, gdy Ivar tłumaczył, jak wyjście z jaskini zdało się zniknąć bez powrotu po tym, jak chciał doń wrócić, powróciwszy pod skalną ścianę po krótkiej wyprawie w głąb lasu. Gdy Ivar objaśniał, jak przedzierając się przez zarośla, wędrował w tę i z powrotem wzdłuż zbocza góry, nie mogąc odnaleźć choćby jednego pęknięcia w skalnej barierze, Edwin zupełnie już zapomniał o pytaniach o piersi Kvenek i o rogatym

nakryciu głowy. Mała w tym strata, bo zauważalnie niczym nieokryta grzywa przybysza jednoznacznie sugeruje, iż nie jest on odpowiednim, przynajmniej w drugim temacie, autorytetem. Po fantastycznej opowieści Ivara nadeszła pora na Edwina i jego sprawne, acz momentami nadmiernie kwieciste wyłuszczenie sytuacji z Margrabią Stefanem, a także objaśnienie zasadności plotek o poszukiwaniach następcy. Tak oto dzień ustąpił miejsca wieczorowi, a dyskusje i wymiany opowieści przeniosły się z kozła wozu na niewielką polanę oddzielającą krawędź lasu od rzeki, której przeprawą mieli się zająć dnia następnego.

— Mówiłeś, że jak nazywają tego Svena?— rzucił Ivar konwersacyjnie, nie unosząc wzroku znad oprawianych ryb, świeżo złowionych w pobliskiej rzece.

— Stefana, nie Svena, a zwą go Gadobójcą, bo wsławił się nadzwyczajną sprawnością w ubijaniu wszelkich gadzin. Smoki, bazyliszki, wiwerny, jeśli ma to łuski i potencjalnie zagraża żywemu inwentarzowi, Margrabia Stefan przynajmniej raz to zabił i pewnie ma tego łeb na ścianie. Kraina Ta to dziwne miejsce, legną się tam wszelkiego rodzaju poczwary i czasem jakaś przypełznie na naszą stronę. Stefan, jak i inni Margrabiowie, sprawuje kontrolę nad terenami od masywu Cwena po morze Osti, pilnując by to, co się w Ta lęgnie, w Cokaygne jak najszybciej zdechło. Skoro o bestiach mowa, trzeba nam dołożyć starań, byś i ty przestał być takową. — Mówiąc to, Edwin zaczął przeszukiwać swoje prywatne pakunki.

— Co masz na myśli? — Ivan zmarszczył brwi w wyrazie podejrzliwej wątpliwości.

— Mam na myśli to, że jako Sir Erik Worthing musisz prezentować się godnie, schludnie i zdecydowanie mniej włochato. — Ostatnie słowo podkreślił błysk promieni zmierzchającego słońca na powierzchni wyłowionych z pakunku nożyc.

Po spokojnej nocy i takimż poranku nasi przypadkowi sojusznicy zwinęli obóz i ruszyli wzdłuż bezimiennej rzeki w poszukiwaniu przeprawy. Szczęśliwie bród okazał się znajdować nie dalej jak godzinę od miejsca ich noclegu, więc po krótkim czasie jechali już wzdłuż szerokiego traktu, po którego obu stronach co i rusz pojawiały się małe osady i pola uprawne. Radość ze wskazujących na zbliżanie się do celu oznak cywilizacji przesłaniały nieprzerwane narzekania Ivara, który

z widocznym niezadowoleniem na twarzy, teraz w pełni widocznej po oswobodzeniu z plątaniny kłaków, krytycznie wpatrywał się w swoje odbicie w tafli małego lusterka z polerowanego srebra. Wręczenie mu tegoż miało się okazać błędem, którego Edwin szczerze żałował przez kolejne godziny.

— Wyglądam jak pacholę przed pierwszym polowaniem na trolla! Jak gołowąs, co nie wie, którym końcem włóczni celować we wroga, jak podlotek siłą oderwany od maminego cyca! To najgorszy dzień mojego życia! — Wbrew Ivarowym hiperbolom, jego górna warga i podbródek nie były gołe, acz zdobiący je zarost został znacznie zredukowany w manierze modnej wśród herbowej zgrai. Włosy zaś miały się faktycznie znacznie gorzej, bo straciły znaczną większość swej długości.

— Wyglądasz jak rycerz, a nie jak dziad borowy — rzucił Edwin, nie kryjąc dumy ze swojego dzieła.

Całości obrazu dopełniał ubiór Ivara, wybrany z zasobów Sir Erika. Dublet z modnie pikowanym przodem, dopasowane dwukolorowe nogawice i wysokie buty jeździeckie leżały na Ivarze zaskakująco dobrze. Muskularna sylwetka Kvena wpisywała się w prawidła rycerskiej mody, a jego ostre rysy w lokalne ideały męskiej urody. Mimo iż poza bardzo ogólnym rysem sylwetki wyrzeźbionej życiem poświęconym wojaczce Ivar w niczym nie przypominał anielskiej prezencji imć Worthinga, fakt ten nie przysparzał Edwinowi zbytnich zmartwień. Powodem tego spokoju ducha było to, iż mimo że Worthingowie byli rodem starym i zasłużonym, Sir Erik jako siódmy syn Hrabiego Ottona Worthinga w rodzinnej hierarchii znajdował się gdzieś między majordomem a ulubionym perszeronem ojca. Przy czym z poczynionych przez Edwina obserwacji wynikało, że w interesie Erika było nie doprowadzać do sytuacji, w której jego przyszłość mogłaby spocząć po przeciwnej stronie szali co ta rzeczonego perszerona. Co za tym idzie, Sir Erik nie sprawował żadnych ważnych stanowisk, nie reprezentował rodu w żadnym oficjalnym zakresie i jako taki w zasadzie nie istniał w świadomości okolicznego rycerstwa.

Z rozważań o chwiejności ojcowskiej przychylności i towarzyskiej wadze kolejności, w której dane dziecię opuściło szlacheckie łono matki, wyrwał Edwina dźwięk, o którego istnieniu niemal już zapomniał od momentu wręczenia Ivarowi lusterka. Cisza wybuchła w jego uszach z zaskakującą gwałtownością. Oprzytomniawszy, zerknął na Ivara, który

kompletnie zaprzestał potoku narzekań i wpatrując się z intensywnością ponad łbem ciągnącego wóz wałacha, odwiązywał lejce stąpającego obok wozu palefroia. „Kłopoty", rzucił pod nosem, dosiadając rumaka. Edwin spostrzegł, iż w odległości kilkuset metrów przed nimi droga przechodziła w solidny drewniany most spinający brzegi rwącej rzeki. Przed mostem stało pięciu mężczyzn. Dla niewprawnego oka mogli wyglądać jak żołnierze, ale przybrudzone, wielokrotnie łatane przeszywanice, przyprószone rdzą nieliczne elementy metalowego uzbrojenia i broń w postaci dwóch drwalskich siekier, osadzonej na sękatym badylu włóczni, a także cepa i wideł jasno obwieszczały nieoficjalną naturę ich profesji.

— Uszanowanie, szlachetny panie! — Stojący na czele grupy zbój z drzewcem siekiery zatkniętym za ledwie okalający pokaźne brzuszysko pas ukłonił się, teatralnie zamiatając krawędzią zardzewiałego kapalina kurz. — Prosimy o wybaczenie za tę niedogodność, ale zmuszeni jesteśmy z kolegami prosić o datek na konserwację tego tu mostu.

— Tego tu mostu zbudowanego i utrzymywanego przez Margrabiego Stefana, do którego te ziemie należą? — Ivar zatrzymał rumaka parę metrów od zbrojnej grupy, swobodnie opierając prawą dłoń na przednim łęku siodła.

— Tegoż samego, szlachetny panie — odparł bez skrępowania herszt. — Włości Margrabiego leżą jeszcze kawał drogi stąd, więc by go nie niepokoić, postanowiliśmy z kolegami sami zadbać o stan przeprawy.

— A jeśli zechcę z mostu skorzystać i za jego utrzymanie podziękować Margrabiemu osobiście?

— Obawiam się, szlachetny panie, że opłata jest z góry — powiedział grubas, postępując krok w kierunku Ivara. — Możecie oczywiście na drugi brzeg przepłynąć, a my się zajmiemy waszym dobytkiem, by wam płynąć było lżej. — W odpowiedzi na jego słowa reszta zbirów zaczęła porozumiewawczo rechotać.

— W takim razie chyba zdecyduję się na ten datek — odpowiedział Ivar, z uśmiechem sięgając po zawieszoną u pasa sakiewkę.

Wlepiając ślepia w krągłość pobrzękującego mieszka, herszt zbliżył się do Ivara, wyciągając zachłannie spoconą prawicę. Hojność młodego wojownika zaskoczyła go całkowicie, gdyż pękaty mieszek wraz z całą zawartością wystrzelił z ręki Ivara wprost w nalaną twarz bandyty. Brzękowi monet zawtórował chrzęst łamanego nosa, na którym po

chwili wylądował dodatkowo kopniak jeździeckiego buta. Nim zwalista sylwetka przestępcy w pełnej swej masie spoczęła w kurzu drogi, Ivar wpadł już zerwanym do galopu wierzchowcem pośród oniemiałych rzezimieszków. Błysk żeleźca prędko zmatowiał od rozbryzgów bandyckiej juchy. Sprawnie powodując muskularnym rumakiem, Ivar tratował, kopał i rąbał toporem, nie dając przerażonym złoczyńcom chwili na wykorzystanie ich prymitywnej broni lub nawet na ucieczkę. Zanim koła kierowanego przez Edwina wozu wjechały na pierwsze deski mostu, po samozwańczej ekipie konserwacyjnej zostały tylko krwawe ochłapy.

— Ostatecznie ten dzień nie jest jednak taki zły — obwieścił radośnie Ivar, który podniósłszy z ziemi sakiewkę, pieczołowicie wycierał żeleźce swego topora o koszulę leżącego bez ruchu grubego herszta.

Reszta drogi do włości Margrabiego minęła im bez większych przygód, a i Ivar nie narzekał już ani trochę. Ba, przez godzinę po jatce przy moście uśmiechał się szeroko i nucił pod nosem wesołą melodię. Edwinowi zaś już po tygodniu od tego wydarzenia przestały się śnić twarze bandytów, a raczej to, co z nich zostało po spotkaniu z Ivarem.

Drachenborg, warowne miasto w sercu domeny Margrabiego Stefana, tętniło życiem. Wieści o nadchodzącym turnieju przyciągnęły nie tylko zbrojnych, ale i tłumy kupców, rzemieślników, złodziei i szulerów. Takie wydarzenie było okazją do zarobku, bardziej lub mniej legalnego. Na standardy Cokaygne Drachenborg nie był niczym nadzwyczajnym, ba, był nawet lekko prowincjonalny i zaściankowy, jak to zwykle z miastami na obrzeżach cywilizacji bywa, ale dla Ivara stanowił powalający cud architektury. Szczególnie spektakularnie prezentował się brukowany rynek, na środku którego królował majestatyczny posąg Margrabiego Stefana. Potężny wojownik o gęstej, opadającej na pierś brodzie stał półnagi, niczym antyczny heros, ściskając w lewej dłoni sztandar zwieńczony podobizną złotego smoka. Pod prawą stopą posąg miażdżył wijącego się bezskrzydłego jaszczura, zapewne będącego wiernym przedstawieniem jednej z gadzin z Ta, w których mordowaniu Stefan Gadobójca tak się lubował.

Pierścień herbowy Sir Erika i parę monet z jego mieszka zapewniło Ivarowi i Edwinowi nocleg i suto zastawiony stół w jednej z lepszych drachenborskich karczm. Pierwotnie rozważali przenocowanie pod murami, ale odrobina

rozrzutności zapewniała odpowiedni wypoczynek przed wyzwaniami turnieju i wpisywała się zgrabnie w fasadę rycerskiego stanu. Powierzywszy konie pieczy stajennych pachołków, mężczyźni postanowili zasiąść do wieczerzy. Główna sala karczmy „Pod Smoczym Łbem", jak ów przybytek się zwał, była szerokim, zadymionym pomieszczeniem o niskim sklepieniu. Długie, drewniane ławy obstawiały ciężkie od jadła i napitku stoły, a zasiadający na nich goście wypełniali przestrzeń kakofonią pokrzykiwań, rubasznych porykiwań, pijackich zaśpiewek i ogólnej biesiadnej wrzawy. O wysokiej jakości przybytku świadczyły świeża słoma na klepisku, brak szczurów przemykających się pod stołami, uroda dziewek służebnych uwijających się między rzędami stołów oraz to, że po przekroczeniu progu witał gości zapach jadła, a nie wymiocin. Gdzie nie spojrzeć, w oczy rzucały się herbowe liberie przybocznych i bogato zdobione tuniki rycerzy. Tu i ówdzie widać też było bogatych kupców starających się przemycić do rozmów informacje o zaletach oferowanych przez nich towarów i przyjacielskie zapewnienia o atrakcyjnych rabatach przy zakupie większej liczby tychże. Spostrzegłszy wolne miejsca przy stole obsadzonym herbowymi, Edwin dyskretnie pociągnął Ivara za luźno wiszący rękaw surkotu, wskazując skinieniem głowy kierunek.

—Ach, nowi przybysze! —zakrzyknął jowialnym głosem rycerz o rumianych od libacji polikach. — Siadajcie, siadajcie, a i piwa sobie polewajcie!

— Sobie, a i owszem, byle nie tobie, Borsie, bo przy tym tempie osuszysz wszystkie drachenborskie piwniczki nim pierwszy kur zapieje! — zakrzyknął niezwykle wysoki rycerz o opadających poniżej podbródka wąsach. Edwin nie był pewien, czy Bors usłyszał przytyk, ponieważ większa część jego zaczerwienionego lica skryła się już za pokaźnych rozmiarów kuflem.

Gdy obaj zasiedli do stołu, znikąd zmaterializowała się jedna z dziewek służebnych i postawiła przed Ivarem półmisek parującego mięsiwa i gliniany kufel pocący się od chłodnego piwa. Gdy nachylała się nad jego ramieniem, by umieścić oba naczynia bezpiecznie na blacie, ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. Ivar zobaczył swoje odbicie w chłodnym błękicie, nim dziewoja, zawstydzona, spuściła wzrok. Jej delikatne rysy rozjaśniły się delikatnie w pełnym zakłopotania uśmiechu, a okolone warkoczami koloru miodu poliki lekko się zarumieniły.

— Skąd przybywacie? — Wąsaty fizys wysokiego rycerza łypał na Ivara znad głowy dziewczyny, która, speszona, szybko usunęła się spomiędzy mężczyzn.

— Suddene, hrabstwo Westernesse. Zwą mnie Erik Worthing. — Ivar powtarzał informacje przekazane mu podczas drogi przez Edwina. Dyskretne skinienie głowy truwera potwierdziło, że nie popełnił błędu.

— Na bogów! Toż tyś jeden z Ottonowych chłopców! Walczyłem u boku twojego ojca, gdy w trzecim roku panowania Króla Horna napadli na jego ziemie Turiiańczycy. Ależ to była jatka! Byłem wtedy jeszcze giermkiem, ale twój ojciec traktował mnie jak jednego z pasowanych. „Rycerskość wyraża się w czynach, nie w tytułach", mawiał. Jak się miewa stary Otto?

— Zdrów — rzucił Ivar, posyłając zdenerwowane spojrzenie w kierunku Edwina.

— Zdrówko! — podchwycił Bors, unosząc kufel w kierunku Ivara, który chętnie wzniósł swój w odpowiedzi, widząc w toaście ucieczkę przed dalszą lawiną pytań o „ojca".

— Skoro tu zasiada mężny Sir Bors, to ty, panie, musisz być Sir Cador. — Edwin wykorzystał chwilę ciszy, by skierować rozmowę na mniej niebezpieczne dla nich tory.

— Znacie się? — zagadnął Ivar.

— Nie osobiście, ale któż nie słyszał o Żurawiu i Turze, najsłynniejszych rycerzach Gaunnes? Pieśni o ich czynach śpiewane są na dworach całego Cokaygne. Wiem, bo sam ułożyłem dwie.

— Jesteście nazbyt łaskawi, panie... — zaczął Sir Cador.

— Edwin z Crysban, truwer — odparł z udawaną skromnością.

— Ach! Znam twe dzieła, mistrzu Edwinie! — zakrzyknął Sir Cador.

— Trzeba za to wypić! — ryknął Bors, polewając wszystkim z antałka, który nie wiadomo skąd pojawił się w jego uścisku.

— Pozwólcie, że przedstawię wam, Sir Eriku i mistrzu Edwinie, resztę naszych kompanów. — Wąsacz wskazał dłonią resztę herbowych zasiadających przy stole.

Z litanii nazwisk i przydomków, przerywanej w dość regularnych odstępach toastami Sir Borsa, Ivar i Edwin poznali sześciu kolejnych rycerzy, a także trzech giermków i jednego kronikarza. Uwagę Ivara przykuł stół stojący prostopadle do tego, przy którym zasiadali, a zajęty w całości przez grupę ludzi w granatowo-złotych liberiach. U jego szczytu urzędował odziany w wyszywaną perłami houppelandę rycerz, którego okoloną złotymi lokami twarz wykrzywiał permanentny wyraz zniesmaczenia i pogardy.

— Sir Radon z Mag Mell, przewrotnie i za plecami zwany przez nas Radosnym — wyznał z zawadiackim uśmiechem Sir Cador, odpowiadając na pytanie o ponurego rycerza.

— Uważa się za cholerny dar od Bogów, psia jego mać! — skwitował Sir Bors. — Napijmy się, bo od tej jego miny nam piwo skwaśnieje! — Odpowiedział mu śmiech, ale jakby w obawie przed profetyczną naturą jego słów, wszyscy przy stole unieśli kufle do ust.

Z głową szumiącą od wlewanych w siebie potoków piwa Ivar przedarł się między ławami do ciężkich dębowych drzwi prowadzących na podwórze karczmy. Przyspieszając kroku, popędzany zewem natury wojownik wyszedł wreszcie na rześkie nocne powietrze. Kulturalnie oddaliwszy się od wejścia, zmierzał ku ścianie pobliskiej stajni, gdy jego uszu doszły stłumiony pisk i głuchy huk. „Czyżby ktoś próbował ukraść konie?", pomyślał, przyspieszając kroku.

Borg był zaufanym adiutantem Sir Radona, a także jego zausznikiem i specjalistą od spraw mniej oficjalnych i zupełnie rycerzowi nieprzystających. Borg, podobnie jak jego pan, był też mężczyzną nawykłym do tego, że świat nagina się do jego woli, a słowo „nie" istnieje tylko wtedy, gdy on sam chce go użyć. Dlatego też wielce zezłościło Borga, gdy nader urodziwa dziewka służebna odrzuciła jego zaloty. Poczekał więc, aż zobaczył, że rzeczona dziewka wychodzi z karczmy nabrać wody ze studni, i podążył za nią, by ofertę swą powtórzyć w formie bardziej dobitnej. Obecnie dziewka leżała u jego stóp z rosnącym na prawym policzku zaczerwienieniem będącym wynikiem błędnej na jego propozycję reakcji. Borg schylił się. Złapał w lewą dłoń jeden z warkoczy koloru miodu i patrząc drapieżnie w błękitne, zaszklone od łez oczy, warknął:

— Borg cię teraz wydupczy, ptaszyno, a ty potem ładnie za tę łaskę Borgowi podziękujesz.

— Kozę sobie wydupcz! — krzyknęła, spluwając soczyście w twarz mężczyzny i bez powodzenia próbując zerwać uchwyt jego dłoni.

Prawa dłoń Borga uniosła się do kolejnego ciosu, ale nim zdołała opaść, coś chwyciło go za nadgarstek i obróciło gwałtownym szarpnięciem. Zanim zdążył zareagować, rozpędzona pięść wbiła się w jego nos. Zaskoczony mężczyzna runął na zadek, puszczając w locie warkocz dziewczyny.

— Wracaj do karczmy, ja się tym zajmę — powiedział Ivar, pomagając jej wstać.

— Dziękuję! —rzuciła w przelocie, biegnąc ku wyjściu ze stajni.

Gdy biegła z powrotem do karczmy, ocierając rękawem łzy z oczu, jej uszu dobiegły zduszone krzyki oraz coś, co brzmiało jak łamanie gałęzi.

Ivar opuścił stajnię powolnym krokiem. Otarł strużkę krwi z rozciętego łuku brwiowego nadgarstkiem. Na całej ręce tylko ta odrobina krwi należała do niego. Borg okazał się być twardym przeciwnikiem, ale wśród wyższych klas Cokaygne nie uprawiano walki na gołe pięści, a Kvenowie okładanie się kułakami traktowali jako doskonałą biesiadną rozrywkę. Nie żeby Borg miał mieć w najbliższym czasie możliwość uzupełnienia braków w wiedzy pięściarskiej. Po prawdzie, o ile ludzie z Cokaygne nie posiadali magicznych zdolności regeneracyjnych, Borg najprawdopodobniej nie zrobi użytku ze swoich rąk przez najbliższe miesiące, a pełnej władzy może nie odzyska nigdy.

— Problemy w wychodku? — zagadnął Edwin, gdy Ivar dotarł do ich stołu.

— Nie, ale wstąpiłem po drodze do stajni, by uprzątnąć trochę gnoju — odparł Ivar.

Poranne promienie rozganiają cienie minionej nocy, padając na budynki, rozstawiające się kramy i wyniki przesadnej konsumpcji alkoholu rozbryzgane na wszelkich powierzchniach okalających bryły drachenborskich karczm. Nasi kompani, którzy w niewiadomy sobie sposób dotarli w jakimś momencie do wynajmowanej kwatery, niechętnie wygrzebują się z ciepłej osnowy sienników, spierzchniętymi ustami mamrocząc przysięgi o przyszłej wstrzemięźliwości, których nigdy nie zdołają dotrzymać.

Jako że opisy porannej toalety oraz prób przełknięcia i, co ważniejsze, utrzymania w żołądku stałego pożywienia po całonocnych libacjach nie należą do przesadnie porywających, pozwólcie, że uwagę swą przeniesiemy na przedrachenborskie błonie. Tu bowiem rozpocznie się pierwszy dzień turnieju. Rozstawione na przedmurzu pawilony wypełniane są narzędziami kowalskimi i stanowiskami medyków. Oficjele Margrabiego Stefana sortują pergaminy zawierające listy zgłoszonych rycerzy, zapewne po to, by podzielić zebranych na dwie „armie", które potykać się będą w najbliższych dniach na terenie, którego granice wyznaczają Drachenborg na wschodzie, wsie Rothenbrot i Hundsglück na zachodzie i północy oraz jezioro Stein na południu. Ustalanie tak marnej sadzawki, jaką jest Stein, granicą obszaru turniejowego jest decyzją raczej bezprecedensową, ale pierwotne plany wzięły w łeb, gdy

przeor leżącego parę kilometrów za Stein klasztoru dowiedział się, że oddany jego pieczy przybytek ma być punktem demarkacyjnym dla tak bezbożnego wydarzenia. Kapłani Trójcy, oficjalnej religii Cokaygne, od początku powstania ruchu turniejowego żywili niezrozumiałą niechęć do tej jakże chwalebnej rozrywki. Grożąc każdemu uczestnikowi wiecznym potępieniem, pokrzykiwali coś o nieprzelewaniu krwi bratniej i wojnach sprawiedliwych. Używanie podobnych argumentów przeciwko turniejom rycerstwo powszechnie uważało za bezsensowne majaczenia przeżartych ascetyzmem odludków. Siedzieli bowiem ci mnisi w swoich ciemnych skryptoriach, wgapieni w mozolnie kopiowane księgi, całą swą wiedzę najwyraźniej czerpiąc z tychże. Co zatem mogli wiedzieć o prawdziwym świecie? Skąd marudzenia o wojnie, kiedy turnieje były w sposób oczywisty kompletnie od wojny różne. Ot, dwie grupy zbrojnych manewrowały przez pewien czas po danym obszarze, wdając się ku obopólnej uciesze w zbrojne potyczki, urządzając zasadzki, biorąc jeńców, zajmując pozycje i generalnie starając się dać łupnia tym po drugiej stronie. Jasnym jest, że taka formuła w sposób oczywisty od wojny się różni, więc rycerstwo prośby, groźby i pokrzykiwania kleru zbywało zwykle pobłażliwym milczeniem. Rycerz bowiem musiał pozostawać sprawny, musiał stale pracować nad doskonaleniem zdolności bojowych, by na wojnie, jak to na wojnie, skutecznie wygrywać zbrojne potyczki z siłami wroga, umiejętnie urządzać zasadzki, brać jeńców, zajmować kluczowe pozycje i generalnie dawać srogiego łupnia tym po drugiej stronie.

Gdy Ivar przybył na przedmurze, znaczna liczba zebranego rycerstwa już tam była. Ciężar zbroi, wpierw obcy, szybko dawał mu poczucie pewności siebie. W Kevlandii tylko nieliczni mogli sobie pozwolić na zbroje z plecionki kolczej, a nawet te najlepszej jakości, zrobione z grubych żelaznych pierścieni, ważyły znacznie więcej niż wykonana z płaskich nitowanych kółek koszulka, którą miał obecnie na sobie. Kolcze rękawy, znacznie dłuższe niż w zbrojach Kvenów, sięgały aż do nadgarstków, chowając się pod szerokimi mankietami płytowych rękawic. Przedramiona okrywały dodatkowo otwarte od wewnętrznej strony karwasze, a łokcie i ramiona chroniły okrągłe stalowe tarczki. Dolna krawędź zbroi kolczej, spoczywająca na dodatkowej, pikowanej warstwie aketonu sięgała do kolan, które to z kolei chronione były przez stalowe nakolanki, poniżej których pobłyskiwały otwarte z tyłu

nagolenniki. Całości dopełniały skryte pod herbowym tabardem płaty, rodzaj zbrojnej kamizelki, do spodu której przynitowano w ciasnych rzędach stalowe płytki. Głowę Ivara chroniła obecnie łebka z solidnym kolczym kapturem, przywodząca mu na myśl rodzime hełmy z żelaznym nosalem, ale właściwa osłona, hełm garnczkowy zwieńczony klejnotem przedstawiającym złotego jastrzębia o lekko rozpostartych skrzydłach, spoczywał na razie na wysokim przednim łęku kawaleryjskiego siodła. Na prawym udzie lekko podskakiwał w szkarłatnej pochwie miecz o wydłużonej, pozwalającej na dołożenie lewej dłoni rękojeści. Topór Ivara spoczywał zatknięty za pas rycerski na jego lewym biodrze, zaraz obok sztyletu, który nie tak dawno był o włos od zagłębienia się w Edwinowym gardle. Sam Edwin, z gardłem szczęśliwie oddalonym od wszelkich ostrych narzędzi, jechał tuż obok na Erikowym palefroiu.

— Sir Eriku, mistrzu Edwinie, tutaj! — ryknął w jego kierunku bas, którego posiadaczem mógł być tylko Sir Bors.

Ujrzawszy machającego doń rycerza, Ivar skierował konia ku grupie znajomych zbrojnych. Ku jego zaskoczeniu Sir Bors prezentował obraz świeżości i młodzieńczej werwy, mimo iż ilość spożytego przezeń poprzedniego wieczora alkoholu zdolna byłaby obezwładnić całą chorągiew.

— Doskonałe wieści, młodzieńcze! — zakrzyknął Sir Bors. — Upewniliśmy się, że przypisano cię po właściwej stronie, naszej.

Nim Ivar zdążył cokolwiek odpowiedzieć, na pobliskie podwyższenie wkroczyło trzech mężczyzn w liberiach z herbem Margrabiego Stefana. Dwóch stojących po bokach przyłożyło do ust surmy, i wygrało donośną melodię ku przyciągnięciu uwagi zebranych. Gdy szum rozmów ucichł i wszystkie oczy skierowały się w kierunku podestu, środkowy mężczyzna teatralnie rozwinął pergamin z pieczęcią Margrabiego i przemówił:

— Słuchajcie, słuchajcie! Miłościwy Margrabia Stefan von Wölsung wita serdecznie wszystkich zebranych i wdzięczność wyraża za przybycie tak tłumne. Przeznaczenie chwalebne, a godne czeka tych, którzy w tym dniu sprawność swą wykażą, a i bogactwa niewyobrażalne udziałem ich będą. Wielmożny Margrabia, w mądrości swej ukryć nakazał na obszarze pod turniej oddanym pięć czaszek smoczych, jedną ku upamiętnieniu wydarzeń każdej ze zwycięskich wypraw przeciwko bestiom z Krainy Ta. Każdemu, który jedną z nich odnajdzie i na drachenborski rynek przed północą dostarczy ubiegać się będzie dane o nagrodę najwyższą, przez Margrabiego osobiście wręczoną! Powodzenia, szlachetni rycerze!

Odpowiedzią na słowa herolda była skonfundowana cisza, która szybko ustąpiła miejsca szaleńczemu harmidrowi towarzyszącemu grupom zbrojnych rzucających się w galop we wszystkie strony świata w nadziei dotarcia do jednego ze smoczych czerepów w pierwszej kolejności. Grupa, do której dołączył Ivar, była jedną z nielicznych, które nie rozpierzchły się natychmiast po obwieszczeniu.

— Pięknie, będziemy tak jeździć do kolejnego przesilenia — wymamrotał z niezadowoleniem Sir Bors.

— Niekoniecznie — rzucił Sir Cador z szelmowskim uśmiechem. — Mistrzu Edwinie, czy w twym repertuarze nie znajduje się przypadkiem pieśń o rejzach Margrabiego Stefana?

— Owszem, znajduje. „Gadobójca pięciokroć zwycięski" to jeden z moich najpopularniejszych utworów — odrzekł truwer z dumą w głosie.

— Zechciej nam zatem pokrótce odświeżyć pamięć o wyczynach naszego gospodarza — poprosił Sir Cador, i choć jego głos w słodkości konkurować mógł z miodem, chytrość jego miny miała iście lisi wymiar.

I rzekł był margrabia, ku pięknej Aelfinie,
Nim wrócę miesiąc nawet nie minie,
Choć w chwale powrócił w rodzinne strony,
Powitały go groby, syna i żony.

Sir Cador miał rację. Ponieważ znał Margrabiego Stefana osobiście i nieraz miał okazję z nim dyskutować o ich wspólnym umiłowaniu poezji, wiedział, jak bardzo Stefan lubował się w romansach rycerskich zawierających motywy zagadek i poszukiwania legendarnych skarbów. Stąd pomysł, że miejsce ukrycia czaszek nie mogło być przypadkowe. Na potencjalne rozwiązanie zagadki naprowadziły Sir Cadora słowa herolda, który oznajmił przecież, że każdy z czerepów upamiętniał „wydarzenia każdej z wypraw", wyrażenie o tyle istotne, że w powszechnej świadomości wyprawy zlałyby się niechybnie w jednolitą masę, gdyby nie towarzyszące im kluczowe wydarzenia podkreślane we wszystkich wersjach opowieści dla wygody słuchaczy. Tu najważniejsza rola przypadła Edwinowi, który jako autor jednej z najlepiej znanych wersji gadobójczych poczynań okoliczności każdej z wypraw znał na pamięć. Ponieważ wyprawa pierwsza znana była głównie przez tragedię, jaką była śmierć w połogu pierwszej

żony Stefana, Aelfiny, i ich pierworodnego, Sir Cador zasugerował, by skierowali się ku mauzoleum, które Margrabia zlecił pobudować jako miejsce ostatecznego spoczynku rodziny.

Podróż na miejsce zajęła im trochę ponad dwie godziny. Ostatnie paręset metrów jechali wąską dróżką, po obu stronach której rosły w równych odstępach starannie przystrzyżone drzewka obsypane białym kwieciem. Mauzoleum było przysadzistą konstrukcją z białego marmuru o wejściu zdobionym archaiczną kolumnadą. Biegnąca między drzewami ścieżka przechodziła tu w eliptyczny placyk, na którego środku stał cokół noszący ujmującą kunsztem wykonania rzeźbę przedstawiającą urodziwą młodą kobietę spoglądającą z miłością na trzymane w ramionach niemowlę. U stóp cokołu, na kobiercu białych róż spoczywała pożółkła ze starości czaszka rogatego gada. Ivar pierwszy zasugerował, że to znalezisko należało się Sir Cadorowi, którego przemyślności zawdzięczali odkrycie klucza do odnalezienia trofeów.

Wieści otrzymawszy w grodzie Markiaty,
Przysiągł pomścić swych poddanych straty,
Z Ta potwory przysporzyły im sromot i żali,
Za co Stefan odpłacił im w bólu i stali.

Ukrywszy pierwszą znalezioną czaszkę w jukach Edwina, cała czwórka skierowała się ku najbliższemu z możliwych celów. Wedle słów Edwina Grodem Markiaty nazywano nadbrzeżne miasto Markienstatt, wywodząc jego nazwę od imienia Królowej Markiaty, która zgodnie z legendą nadała przodkom Stefana ich domenę za uratowanie jej i orszaku dworek przed smokiem. Przodek Stefana, przed tym wydarzeniem skromny błędny rycerz, w podzięce za tak szczodre nadanie nazwał swoją pierwszą siedzibę na cześć Królowej. Mało kto spoza tego obszaru wiedział jednak, że gród Markiaty nie znajdował się w miejscu obecnego Markienstatt, ale około trzech kilometrów na północny zachód, na szczycie niewielkiego wzgórza, z którego roztaczał się doskonały widok na dziesiątki kilometrów wokół. Szczęśliwie Sir Cador słyszał legendę herbową von Wölsungów niejednokrotnie od samego Margrabiego, a nawet odwiedził pozostałości pierwotnego grodu podczas jednej z wypraw myśliwskich przez niego organizowanych.

Szczęśliwym trafem zgodnie z przewidywaniami druga czaszka spoczywała na szczycie wzgórza pośród obrośniętych mchem ruin starożytnej baszty. Mniej szczęśliwym był fakt, iż z zarośli po przeciwnej stronie rumowiska wyłoniło się czterech zbrojnych. Ponieważ zbocza wzgórza, choć łagodne i pozbawione zdradzieckich urwisk, nastręczały trudności koniom ze względu na gęstość miejscowej flory i plątaniny korzeni grożących, że któreś ze zwierząt potknie się i poważnie uszkodzi siebie i jeźdźca, Sir Cador, Sir Bors i Ivar pozostawili wierzchowce pod pieczą Edwina, pokonując większość dzielącej ich od celu odległości pieszo. Do podobnych wniosków musieli dojść czterej przybysze, bo i oni pojawili się bez wierzchowców. Obie grupy zatrzymały się na obrzeżach ruin i przez chwilę obserwowały się w milczeniu.

— Od tego stania po próżnicy zasycha mi w ustach — rzucił wreszcie Sir Bors i wykonawszy w stronę oponentów niedbały salut buzdyganem, ruszył do ataku z radosnym rykiem, nie oglądając się na kompanów.

Nim Sir Cador i Ivar zdążyli dołączyć do walki, pierwszy z czterech przeciwników padał już nieprzytomny, uderzając o ziemię niczym odrzucona przez znudzone dziecko pacynka. Był to zrozumiały wynik zetknięcia jego wystającej spod kapalina twarzy z rantem Borsowej tarczy. Zwalisty rycerz nie zwolnił nawet pędu, przestępując zwinnie nad powalonym przeciwnikiem i wskazując głowicą swej broni w kierunku przysadzistego zbrojnego z tarczą pomalowaną w żółto-czerwoną szachownicę.

Ivar dobył w biegu swojego topora, w lewej dłoni ściskając wręczony mu przez Edwina puklerz. Będąc przyzwyczajonym do okrągłych kveńskich tarcz z centralnym uchwytem chroniącym dłoń żelaznym umbo, czuł się pewniej z puklerzem, który rzeczone umbo przywodził mu na myśl, niż z trójkątną tarczą przymocowaną do przedramienia. Mniejszy obwód puklerza miał jednak swoje wady, o czym Ivar szybko się przekonał, gdy stosując instynktownie zasłonę, której nauczył się przez lata walk między klanami, otrzymał dudniące uderzenie na lewą skroń. Gdyby w momencie uderzenia znajdował się choć jeden krok do tyłu, ostrze dzierżonego przez przeciwnika falchiona, zamiast huknąć o łebkę, przeorałoby krwawą bruzdę w poprzek jego nosa. Nie czekając na ponowny atak przeciwnika, doskoczył doń, zahaczając o górną krawędź tarczy brodą swojego topora. Gwałtowne szarpnięcie odsłoniło twarz zaskoczonego obrotem spraw przeciwnika, a wyrzucona w błyskawicznym uderzeniu lewa pięść wbiła środek puklerza w szeroki nos. Trzask pękającej chrząstki zlał się

z okrzykiem bólu, ale nie czekając, Ivar ponowił atak, zadając jeszcze dwa uderzenia w zbryzganą krwią twarz.

— Dość! — zakrzyknął oponent, kryjąc potłuczony fizys w pozbawionej broni prawicy.

Przyjmując kapitulację przeciwnika, Ivar począł się rozglądać w poszukiwaniu kompanów. Sir Bors siedział na czymś, co mogło być wyłącznie nieprzytomną sylwetką rycerza z szachownicą na tarczy, spoglądając w skupieniu na pojedynek Sir Cadora z ostatnim z czterech przeciwników. Obaj rycerze dawali pokaz szermierczych zdolności, umiejętnie przeplatając finty, cięcia, gardy i sztychy. Wymiana ta trwała przez parędziesiąt sekund, aż wreszcie oponent Sir Cadora, źle wymierzywszy wypad przy sztychu, potknął się o jeden z wielu walających się po podłożu kamieni. Sir Cador zastygł ze sztychem swojego miecza, zawieszonym ledwie centymetry od twarzy leżącego przeciwnika, po czym schował broń do pochwy i podał mu prawicę, pomagając wstać. Wymienili kilka uprzejmych uwag i wzajemnych pochwał, po czym Sir Cador ruszył w kierunku oczekujących towarzyszy, podnosząc po drodze oczekującą tam przez całą potyczkę czaszkę. Nie było cienia wątpliwości, że ta należała się Sir Borsowi.

„Ku chwale", Konrad zakrzyknął w żmijowych zwojach,
Rycerz straszliwy, zaprawion z bojach,
I choć bestia zdechła na wpół rozpłatana,
Zbyt późną była odsiecz Stefana.

Przykrym wynikiem ostatniej z wypraw Margrabiego Stefana do Krainy Ta była śmierć jego doradcy i najbliższego przyjaciela, Konrada. Szczątków Konrada nie udało się przywieźć w całości do ojczyzny, ale wedle przekazów jego serce, przetransportowane w garncu miodu, złożone zostało w urnie pod pomnikiem bohaterskiego rycerza wzniesionym w rok po wyprawie na brzegu Serpentiny, rzeki oddzielającej ziemie Stefana od Krainy Ta. Tak jak i poprzednio podejrzenia Sir Cadora, wspomożone wiedzą Edwina, okazały się słuszne i trzecią czaszkę odnaleźli bez przeszkód, pod stopami posągu. Droga powrotna do Drachenborgu minęła im spokojnie. Widzieli tu i ówdzie grupy zbrojnych szaleńczo galopujące w różnych kierunkach, ale nikt nie poświęcał im większej uwagi. Problemy zaczęły się dopiero pod samymi murami miasta.



Ilustracja: StandardDeviation2

Dwunastu zbrojnych w granatowo-złotych tabardach na zbrojach siedziało na potężnych rumakach stojących ławą w poprzek drogi. Brama miejska znajdowała się ledwie parę metrów za ich plecami, ale w obecnych okolicznościach mogła równie dobrze być w sąsiednim księstwie.

— Stop! — zakrzyknął jeden ze zbrojnych, wyjeżdżając parę metrów przed szereg. — Nie przejedziecie, póki nie opróżnicie juków.

— Jakim prawem...? — krzyknął z oburzeniem Edwin.

— Prawem dwunastu przeciwko czterem… a raczej trzem i pół — skwitował granatowo-złoty rycerz.

W odpowiedzi Ivar, Sir Cador i Sir Bors jak jeden mąż włożyli na głowy hełmy garnczkowe i dobyli broni.

— Stać! — ryknął z murów nowy głos. — Kto pierwszy ruszy choćby palcem, temu moi kusznicy zrobią kilka nowych otworów do oddychania! — Potężna postać stojąca na murach miasta tuż nad bramą zdawała się płonąć, oświetlana promieniami zachodzącego słońca. — Stać i czekać!— ryknął płonący olbrzym, po czym zniknął.

Przez kilka długich minut, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, Ivar wpatrywał się przez wąskie wizury hełmu to w granatowo-złotą ławę, to w wycelowanie w nich z murów kusze.

— Co tu się do cholery wyprawia? — ryknął bezceremonialnie olbrzym, wyłaniając się zza miejskiej bramy.

Oczy wszystkich zebranych skierowały się ku potężnemu mężczyźnie, który bez wątpliwości był Margrabią Stefanem. Choć od postawienia posągu na drachenborskim rynku minęły przeszło dwie dekady, Gadobójca niewiele się zmienił, co najwyżej niczym dąb z wiekiem rozrósł się i stwardniał. Krzaczasta ruda broda opadała gęstym kobiercem na okrytą stalowym kirysem pierś, a bary szerokie jak drzwi od stodoły zdawały się zdolne do podpierania całego sklepienia niebieskiego.

— Odbieram to, co mi należne, mości Margrabio. — Odpowiedź padła z ust mężczyzny, który do tego momentu przebywał w samym środku granatowo-złotej zbrojnej ławy. Zdjęty na chwilę przed wypowiedzią hełm garnczkowy zdobiony klejnotem o dwóch złotych rogach odsłonił twarz Radona z Mag Mell.— Jeden z tych rycerzy zeszłej nocy napadł i okaleczył mojego sługę. Ponieważ bezprawnie uszkodził moją własność, domagam się zadośćuczynienia. Sądzę, że sprawiedliwą rekompensatę znajdę w jukach tego rycerza i jego kompanów.

— Wiesz coś na ten temat, Cador? — krzyknął Margrabia Stefan do wysokiego rycerza.

— Nie... — zaczął Sir Cador.

— To o mnie mówi Sir Radon! — przerwał mu Ivar. — Zeszłej nocy zbir w liberii Sir Radona próbował zgwałcić kobietę, ja stanąłem w jej obronie. Niestety okazało się, że w starciu z mężczyzną tak dobrze już sobie nie radził. — Ivar nie odrywał wzroku od twarzy Radona. — W jukach mamy trzy smocze czaszki, każda zdobyta uczciwie i z honorem i każda zostanie dostarczona na drachenborski rynek przez nas i przez nikogo innego, czy się to Sir Radonowi podoba, czy nie.

— No to mamy sytuację patową. Sir Radon twierdzi, że jego podwładny został napadnięty zbrodniczo, a Sir...

— Erik Worthing — usłużnie podpowiedział Edwin.

— A Sir Erik Worthing oznajmia, że zgodnie z rycerską regułą niósł wybawienie białogłowie. Bogowie jedni raczą wiedzieć, gdzie leży prawda. — Margrabia Stefan rozłożył teatralnie ramiona w geście bezsilności. — Szczęśliwie mamy sposób na poznanie boskich wyroków — dodał z chytrym uśmiechem. — Sir Radonie, Sir Eriku, gotujcie się na Sąd Boży!

— Co to znaczy? — wyszeptał Ivar do Edwina.

— To znaczy, że będziecie się teraz bić... na śmierć — odpowiedział Edwin z grobową miną.

Wszyscy zebrani skierowali się ku podestowi, na którym parę godzin wcześniej herold ogłaszał niezwykłe zasady turnieju. Na podwyższeniu Margrabia Stefan i paru co znamienitszych rycerzy, w tym Sir Cador i Sir Bors, zasiadło na przyniesionych przez służbę zydlach. Naprzeciw podwyższenia w zaskakująco szybkim tempie zbudowano prowizoryczne szranki, wbijając w ziemię drewniane kołki i przewiązując między nimi konopne liny. Na jednym końcu wyznaczonego w ten sposób prostokąta Sir Radon gotował się do walki w obstawie granatowo-złotej służby, na drugim Edwin umierał ze strachu.

— Bogowie, a jak zginiesz i wyślą twoje ciało do Westernesse i Otton pozna, że to nie Erik, albo jeśli wieść o twojej śmierci się rozniesie, a nagle pojawi się tu prawdziwy Erik? Przecież mnie zabiją, każdy tu widział, że przyjechałem z tobą i...

— Edwin, zamknij się. Jeszcze żyję. Powtórz lepiej, jakie są tego zasady.

— Eeee, zaczynacie od najazdu z kopią, a potem walczycie na miecze. Może to nie twój pierwszy wybór, ale możesz o tym pomyśleć jak o takim toporze na odwrót, ciężki koniec w dłoni, lekki we wroga.

— Dobrze wiem, jak walczyć mieczem — odparł z wyrzutem Ivar.

— Świetnie, to postaraj się przeżyć najazd z kopią, by mi to udowodnić. — Mina Edwina sugerowała, iż wbrew pozorom nie żartował.

— Najazd z kopią? — zapytał zaniepokojony Ivar.

— To jak włócznia, tylko dłuższe. Wsadzasz tępy koniec pod pachę, a ostrym celujesz w przeciwnika.

— To takie proste?

— Nie, ale teraz na więcej nie mamy czasu. — Edwin nieumiejętnie spróbował zamaskować strach uśmiechem. — Powodzenia! — dodał, podając Ivarowi kopię.

Pierwszy w życiu najazd kopijniczy nie zakończył się dla Ivara powodzeniem, ale i nie okazał się kompletną klęską. Owszem, grot jego kopii nie musnął nawet Sir Radona, za to kopia przeciwnika wysadziła go z siodła, posyłając w krótki lot ku ziemi, ale jakimś cudem całość uderzenia zebrała trójkątna tarcza, którą mimo protestów Edwin przymocował mu do lewego przedramienia. Gramoląc się z ziemi, Ivar ledwie odskoczył

spod kopyt galopującego nań rumaka. Sir Radon zawrócił wierzchowca, dobył miecza i ponowił szarżę. Tym razem Ivar był gotów. Odrzucił tarczę i chwycił oburącz drzewce kopii. W ostatniej chwili uskoczył ku lewemu bokowi nacierającego wierzchowca i wywijając kopią niczym maczugą, uderzył mijającego go rycerza w kark. Impet uderzenia rzucił Sir Radonem wprzód, ale nie zachwiał jego pozycją w siodle. Nie o to jednak Ivarowi chodziło. Wykorzystując chwilę, jaką zajęło Radonowi odzyskanie pełnej kontroli nad koniem, młody wojownik dopadł rycerza od lewej i złapawszy oburącz krawędzie jego tarczy, ściągnął go z siodła mocarnym szarpnięciem. Sir Radon wyrżnął w ziemię z hukiem, ale już po chwili stał na nogach, mierząc w Ivara sztychem miecza. Tarcza leżała bezużytecznie pod jego nogami z paskami zerwanymi ivarowym szarpnięciem. Obaj zbrojni krążyli przez chwilę, mierząc się wzrokiem. Wreszcie Ivar zaatakował pierwszy, tnąc trzymanym oburącz mieczem znad głowy. Sir Radon zwinnie zszedł z linii ataku, tnąc na odlew uderzeniem, które wyryło bruzdę na prawym boku hełmu Ivara. Po chwili ich miecze wystrzeliły niemal jednocześnie, odbijając się niegroźnie od stalowych elementów pancerza. Kilka wymian, kopniaków i uderzeń, płytkie wgniecenie w naramienniku tu, chybiony sztych krzesający iskry o bok hełmu tam. Żaden jednak nie zdobywał znaczącej przewagi. Owszem, Sir Radon miał zauważalnie lepszą technikę, ale Ivar przewyższał go siłą i szybkością.

Po trzech minutach obaj oddychali ciężej, po pięciu hełm garnczkowy Ivara gruchnął o ziemię, zerwany z głowy w chwili przerwy między atakami, hełm Sir Radona dołączył doń niespełna minutę później. Nie próbowali już wyrąbać sobie zwycięstwa, teraz obaj trzymali swoje miecze z lewą dłonią w połowie klingi dla lepszej kontroli sztychu. Walka skróciła dystans, a miejsce potężnych cięć zajęły próby zadania podstępnych pchnięć celowanych w wewnętrzną stronę dłoni, w pachę, w pachwinę, lub, co najważniejsze, w twarz. Wreszcie Sir Radon mistrzowską fintą zdołał sprowokować Ivara i z okrzykiem triumfu rzucił się do przodu, próbując z całych sił wrazić sztych miecza pod lewą pachę przeciwnika. Nie wiadomo, czy przez to, że Sir Radon był osłabiony zmęczeniem, czy dzięki doskonałemu wykonaniu kolczej zbroi Sir Erika, stalowe pierścienie nie zerwały się pod naciskiem ostrza. Wykorzystując pęd przeciwnika, Ivar gwałtownie opuścił ostrze swego miecza, wsadzając je między klingę

przeciwnika a mankiet jego rękawicy. Pchając nim za swe lewe biodro niczym wiosłem, zszedł z drogi napastnika w prawą. Zaskoczony Sir Radon runął przed siebie, starając się za wszelką cenę zatrzymać pęd i utrzymać na nogach. Na tył jego łebki spadło ciężkie uderzenie. Gdy obrócił się, unosząc miecz do zasłony, zdążył tylko ujrzeć jelec miecza zbliżający się z morderczą prędkością ku twarzy.

Ivar zaparł się nogą o pierś przeciwnika, próbując wyszarpnąć zaklinowany w twarzoczaszce Radona jelec trzymanego oburącz za klingę miecza. Nim mu się powiodło, u jego boku stanął rozentuzjazmowany Edwin.

— Na bogów, nie wiedziałem, że znasz Mordercze Uderzenie Fechmistrza Tallmeyera! — zakrzyknął, klepiąc Ivara z aprobatą po ramieniu.

— Nie znam, po prostu przypomniałem sobie, jak nazwałeś miecz toporem na odwrót i postanowiłem zrobić z niego topór właściwy.

Edwin rozdziawił usta, nie wiadomo czy ze zdziwienia, czy chcąc coś odpowiedzieć. Ivar nigdy nie poznał rozwiązania tej zagadki, bo w tym momencie na jego plecy spadło kowadło, a przynajmniej tak mu się zdawało, gdy Margrabia Stefan klepnął co pancerną prawicą w geście uznania.

— Wygląda na to, że sprawiedliwość jednak była po twojej stronie, młodzieńcze! — ryknął olbrzym. — Rad jestem, bo tak zażartej walki już dawnom nie widział! Dlatego też — Margrabia Stefan zastygł z dłonią uniesioną nad głową, by upewnić się, że zebrane rycerstwo go słucha — oznajmiam, że Sir Erik Worthing zostaje zwycięzcą tego turnieju. W nagrodę...

— Bogactwo i sława — wyszeptał Edwin z ekscytacją.

— W nagrodę — powtórzył Stefan dla dramatyzmu. — Sir Erik Worthing stanie na czele mej armii i wespół z tymi, którzy zdobyli w dzisiejszym turnieju smocze czaszki, powiedzie ją do Krainy Ta, tego gniazda zepsucia i pełzającego plugastwa, by raz na zawsze utłuc tę gadolubną dziwkę Rimeldę, Królową Smoków!!!

— Wiwat Sir Erik! Wiwat Margrabia Stefan!!! — zakrzyknęli wszyscy zebrani.

— Chwała im i dobrobyt!!! — zakrzyknęli Sir Bors i Sir Cador.

— Jasna kurwa... — wybełkotał Edwin.

— Edwin, ja cię za... — słowa Ivara zagłuszyła wrzawa rycerskich okrzyków.

— I co było dalej, dziadku Edwinie? — zapytała mała Aeilia, trzepocząc ze zniecierpliwienia skrzydłami.

— Tak, opowiedz dalej dziadku-wujku Edwinie ! — zawtórował Hrolfr.

— Sqreeek! — dodał Geedis, wpatrując się weń złotymi ślepiami.

— To już historia na następny raz — skwitował starzec. — Teraz biegnijcie pomóc przy kolacji.

Dzieci i ich włochaty pupil zrzędziły jeszcze trochę, ale posłusznie opuściły czytelnię, kierując się ku skrzydłu pałacu, gdzie znajdowała się jadalnia. Edwin wstał powoli z fotela i stawiając ostrożnie kroki, wyszedł na balkon. Czerwona tarcza słońca opadała ku horyzontowi, malując miedź dachów krwawą łuną. Spoglądał z góry na ulice widocznego w dole miasta. Wtem na dachy najbliższych jego wieży domostw padł ogromny, podłużny cień.

— Smoki dzisiaj nisko latają — wymamrotał Edwin. — Będzie padać.



Ilustracja: SIDNEYIA

AGNIESZKA „SHEE” GÓRSKA

WEŹCIE HEŁM ZBAWIENIA

He is the one piece of superior tech in the Land of TA and he knows it. (...) He was sent to observe the Land of Ta by an advanced civilization.

RowdyWrongdoer, Reddit[1]

Pierwszy dzień w nowej pracy. W pracy-pracy, nie liczę szkoleń i symulacji, wszystkich tych postulatów do nowicjatów przed być może pierwszym sensownym projektem w moim *opus experientiae*.

Odbywam wszystkie rytuały z udziałem technicznych, powtarzając w międzyczasie krótką modlitwę, jak Reguła każe, po czym odpalam wizję. Obraz przez chwilę miele — ma powody, wizansibl nie wizansibl, kilka lat świetlnych to nie kartofel — w końcu obraz z kamerki klaruje się i widać już stalowe, złotawo świecące plecy i czachę mojego emisariusza w gościnnych włościach TRAPPIST-2a, dla przyjaciół Ta.

Więc tak wygląda na żywo. Kilka lat bezczynności go chyba spatynowały, nie wydaje się tak śliczny, jak prototypy ze szkoleń. Chyba też zdążył pokryć się warstewką tej słynnej, wszechobecnej pleśni; na szczęście ponoć nie ima się ona naszych mechanizmów, więc mu nie zaszkodzi, choć wygląda z nią, jakby był jak trędowaty. Mój cyfrowy bliźniak, współbraciszek niewyświęcony na człowieka, konwers do brudnej roboty, zanim przybędą białkowe delikaciki. Miło cię poznać, stary.

Zgodnie z instrukcją Joela wypróbowuję opcje. Odpalam tryb TRANSMISJA, idę ścieżką do sfery tekstów ewangelizacyjnych i wybieram jednostkę zatytułowaną po prostu „kazanie ewangelizacyjne”, bez podanego autora.

— Dobrze, bracia, będę wam teraz mówił Dobrą Nowinę. Bóg jest naszym Stwórcą i kocha nas jak Ojciec. On chce ukształtować nas na podobieństwo swojego Syna...[2].

1) *Tokar is...*, Reddit, https://www.reddit.com/r/Geedis/comments/hs98kh/tokar_is

2) Por. https://www.youtube.com/watch?v=lml7Ydc5d24, http://mateusz.pl/rekolekcje/2004/js/kerygmat.htm

TOKAR-ek, zgodnie ze swym nieoficjalnym akronimem, który wymyśliła Io, zaczyna transmitować swoje treści, w tym wypadku chyba trafiłem na kazanie oparte właśnie na kerygmacie. On transmituje, a inteligentny peritranslator przetwarza to, co słyszymy, w czasie rzeczywistym i przekazuje Taańczykom w ich języku, z zachowaniem ekwiwalencji co do cielesności, umysłowości i kultury. Powodzenia, peritranslatorze, jestem szczerze i niezłośliwie ciekaw, jak wybrniesz z tłumaczenia Taańczykom, co to jest grzech, który pojawi się w kolejnym punkcie. Ale nie mnie zaspokajać lingwistyczną dociekliwość. Jestem od prostej moderatorskiej roboty i właśnie ją rozpoczynam.

Kolejna funkcja — KONWERSACJA. Tryb swobodnej gadki z Taańczykami, czerpiący z zasobów, które moduł językowy przyswoił podczas całej dotychczasowej pracy z mieszkańcami Ta. — Dzień dobry, jestem TOKAR, przychodziłem już do was, czy mnie pamiętasz? — Wprowadzam na próbę, moje słowa zapadają w system jak w masło, w tym samym momencie tłumaczone na niesłyszalny dla mnie taański. Bardziej lub mniej wiernie, w zależności od tego, czy moduł uzna frazę za przetłumaczalną i mającą sens z punktu widzenia dotychczasowej komunikacji z Taańczykami. Ta ma sens, widzę zieloną flagę.

Spróbujemy wzbudzić tryb SEMANTYCZNY META. — Chciałbym ci powiedzieć, że Bóg jest twoim i naszym stworzycielem i cię kocha, podobnie jak wszystkich Taańczyków i Ziemian. — Wprowadzam na próbę i opromienia mnie ciepły blask czerwonej flagi. Badacze z WUSA ewidentnie nie rozmawiali z mieszkańcami planety o sprawach ostatecznych. Wyświetla mi się kilkanaście gniazd, w każdym po kilka pojęć. — Ja chcę mówić do ciebie. Jest ktoś ponad. Ten ktoś jest jeden, nie ma drugiego takiego kogoś. Ten ktoś nie jest kimś jak ja, ty i inni ludzie, tutaj i ponad. Ten ktoś jest kimś dobrym. Wszystkie rzeczy są, bo ten ktoś chce, żeby były. Jeśli ten ktoś chce, żeby coś się wydarzyło, to coś się wydarza. Ten ktoś chce dobrych rzeczy dla ciebie, dla mnie i dla innych ludzi[3] — wprowadzam w miarę sprawnie. Sam kerygmat wyćwiczyliśmy. Zabawa zacznie się, jeśli Taańczycy będą chcieli rozmawiać o pojęciach, których nie było na szkoleniu.

Ale to trzeba będzie opanować na bieżąco, szkoda czasu. Dobrze, że

3) Por. A. Wierzbicka, *Jak można mówić o Trójcy Świętej w słowach prostych i uniwersalnych*, s. 17, [odwołanie w:] P. Popiołek, *Naming God: Christian Philosophy of Language*, Wierzbicka's *Natural Semantic Metalagnuage and Intercultural Dialogue*, "Theological Research", 2016, vol. 4, s. 117-132.

chociaż gestykulacja jest wyuczona przez inteligentne AI, do nas należy tylko przemieszczanie się i ewentualne powstrzymanie ewidentnych błędów. Zatem koniec rekreacji, złoty bratku, idziemy pozwiedzać okolicę.

Testując funkcje, nie zdążyłem się rozejrzeć. Trochę też i nie miałem ochoty, bo przez nakładki AR to, co widzę oczyma TOKAR-a, to w większości nie prawdziwy krajobraz Ta, a wytwór fantazji grafików Joela. Gdy dwadzieścia lat temu starshot „Yohane ta Lulu" z naszymi robotami na pokładzie ruszał w stronę Ta, nikt nie spodziewał się, że blade, pająkowate (lub przypominające konstrukcje z gotowanych udek kurczaka, jak nieżyczliwie żartował Corin) postaci Taańczyków zdążą się nam tak bardzo opatrzeć. Aby zapewnić „naturalność interakcji" operatorów robota komunikacyjno-badawczego TOKEN-2 z mieszkańcami planety, Joel i jego genialny zespół zdecydowali, że na postaci mieszkańców planety system nałoży jakieś awatarki fantasy, które nie tylko będą mówiły po naszemu, ale i zaemotują reakcje niewerbalne, również odczytywane przez peritranslator i przedstawiane w formie stereotypowych dla naszej kultury gestów lub scenek.

Zobaczmy więc, co ci magicy wymodzili. Chodź, TOKAR-ku, twój obdarzony łaską życia brat Dalbert pokaże ci okolicę, której sam nie zna i która w sensie ontycznym niespecjalnie istnieje.

Przestawiam główny widok na pierwszoosobowy i rozglądam się oczami sakrołazika: przede mną dość stockowy widoczek, lekko rozpikselowany, choć niebrzydki. Stoimy kamienistej dróżce, wokół nas las, listowie rozmywa się w cyfrowy puch. Z jednej strony dróżka znika ciemnym, ostrym trójkątem wśród drzew, niemal idealnie prosta jak parkowa ścieżka ze środowiska Open Atmosphere. Odwracamy się. Oho, tu mamy coś ciekawego, przecinka, może będzie jakiś marker? Idziemy, TOKAR-ku. Pikselowy pas rozstępuje się w polanę, jej przeciwległy kraniec zamyka palisada z obu stron znikająca wśród drzew. W palisadzie drewniane, sfatygowane wrota z okuciami — naprawdę stockowo to narysowali, sarabaicka ich tonsura — a przed wrotami stoi ktoś lub coś.

O ile to nie jakiś enpec Joela, to spotkałem właśnie pierwszego Taańczyka. Podchodzę, szykując się do serdecznego, braterskiego pozdrowienia.

Jeśli wcześniej posądziłem twórców nakładki o brak kreatywności, to... nie mam czasu na dalsze złośliwości, *miserere mei, Deus*! Ten ktoś sprzed bramy odwraca się i celuje w nas. Co robimy, TOKAR-ku, co robimy? Nim zdążyłem pomyśleć, zadziałały algorytmy wgrane przez zmyślnych

ojczulków z zespołu projektowego. W widoku trzecioosobowym widzę, jak mój złoty kumpel przystaje i unosi ręce w geście pokoju i rozbrojenia, lekko się przy tym chwieje, albo przestępuje z nogi na nogę.

Strażnik spod bramy stoi i przygląda nam się nieporuszony. Przypomina człowieka, antycznego legionistę w dziwnie skąpo skrojonej zbroi, ale z twarzy wystaje mu dziób. Ma osobliwie błyszczące oczy, w ręku trzyma laskę zwieńczoną u góry figurką ptaka, przy pasie ma miecz. Jest nieco wyższy niż my.

— Pokój tobie. — Wybieram w trybie konwersacyjnym; o dziwo, zaskakuje.

Stójkowy śnieży przez chwilę, po czym w jednym mgnieniu wyciąga miecz, w drugiej dłoni cały czas laska. TOKAR płynnie usuwa się do przodu. Będzie walczył? Nie powinniśmy! Strażnik znów śnieży i zbliża się o parę kroków, TOKAR, kołysząc się nieco na boki, o te parę kroków się cofa, po czym nagle wychyla się w przód i zasłaniając lewą ręką głowę i tułów, prawym łokciem uderza w płaz miecza między zastawą a mocą. I. Wybija. Go. Strażnikowi. Z. Ręki. Miecz upada na ścieżkę, strażnik podskakuje, chce go przydepnąć — widzę, że wizualizacja ma ludzkie palce u nóg zakończone ptasimi pazurami — opadając, zgina się wpół i zamachuje laską jak cepem, chce nas ściąć z nóg, stopa nie trafia na płaz miecza, bo teraz TOKAR błyskawicznie wyciąga stopę, przesuwa miecz ku sobie, schyla się, chwyta rękojeść i płazem zasłania się przed ciosem strażnika, tym razem wybijając mu laskę, która upada w gęstwinę cyfrowych krzaczków porastającą skraj ścieżki.

Strażnik znów rozmywa się znacząco, po czym nagle widzimy go na kolanach z dłońmi uniesionymi do góry, jego oczy błyszczą jakby bardziej, łzy? Znów rozmycie obrazu — strażnik pada na twarz. TOKAR, wciąż w myśl nieznanych mi wyuczonych reakcji, przysiada na skraju ścieżki jakieś dwa metry od ptasiego strażnika. Wygląda, jakby nie wiedział, co zrobić z mieczem. Strażnik dalej leży plackiem na ścieżce.

— Przepraszam — nadaję w trybie konwersacyjnym.

Strażnik milczy, dalej leży plackiem.

— Nie chciałem i nie chcę zrobić ci nic złego — dorzucam.

Zielona flaga, fraza przeszła, ale ze strony Promiennookiego — Io uwielbia taki stary film Kubricka *Erik Promiennooki*, przypomniało mi się — zero reakcji.

Gorączkowo myślę, co robić — nie uczyli nas taańskiej pierwszej

pomocy. Już chcę łączyć się z Joelem, gdy nagle „Erik" znów śnieży i po chwili widzę go stojącego bez ruchu w tej samej pozie, w której go zastałem. Uff. Wyciągam rękę TOKAR-a, chcąc oddać mu miecz. W ręce nic nie ma. Widać te ich artefakty są nietrwałe.

— Jest ktoś jeden, bardzo duży i bardzo dobry. Ten ktoś żyje na zawsze. Wszystkie rzeczy są, bo ten ktoś chce, żeby były. Ten ktoś czuje do ciebie coś bardzo dobrego[4]. — Wyklepuję jak szalony w semantycznym meta, po czym, nie czekając, aż Promiennooki zacznie znów śnieżyć, odwracam TOKAR-a i włączając maksymalną prędkość, pędzę w las, prosto po przekątnej od muru i ścieżki.

***

TOKAR pomyka wśród cyfrowych drzew, patrzę na niego z głupią miną, daję odpocząć wzrokowi i nerwom po emocjach sprzed chwili. Chyba już dosyć dla mnie na dziś. Joel nie kazał się przetrenowywać, o ile nie zdarzy się coś nagłego, jedna akcja na dzień pracy wystarczy — mówił. Położymy cię zatem spać, bratku. Zmniejszam prędkość jego biegu do zwykłego, spacerowego kroku. Rozglądamy się — „krajobraz" się zmienił, drzewa, które wcześniej przypominały rozpikselowane dęby, mieszają się tu z jakimiś niższymi krzaczorami podobnymi do wierzby. Robi się też chyba nieco bardziej nierówno i jakby bagiennie. Pamiętając, że akweny to bodaj jedyne elementy krajobrazu pokazane realistycznie i zarazem jedyne realne przeszkody terenowe na Ta, kieruję TOKAR-em tak, by szedł po suchych wzniesieniach. Niższe, widocznie grząskie partie terenu porasta cyfrowe sitowie. Wychodzimy na pagórek z kępą wierzbowych zarośli na szczycie. Przed nami mały stawek. Siadamy pod wierzbami tak, że osłaniają nas nieco. No, to chyba dobre miejsce na odpoczynek, dobranoc, młody. Zmniejszam widok TOKAR-a tak, żeby tylko od czasu do czasu rzucić na niego okiem, piszę zespołowi świadectwo z dzisiaj, modląc się pośpiesznie, po czym na resztę dnia wracam do zwykłej roboty — w chwilach wolnych od projektu dostajemy od P&H kolejkę zadań zgodnych z naszymi kwalifikacjami, ja cieciuję w sieci. Punkt 17:00:00 Corin przychodzi i przejmuje sesję, ja chwytam torbę i płaszcz i rzucając mu w locie: „*Hamba kahle*, z Bogiem", prawie wybiegam na ulicę.

4) Tamże.

Nie kryję, potrzepało mnie to jednak emocjonalnie. Łapię loopa, modlę się w drodze, w domu zdążam tylko wziąć prysznic, dokończyć modlitwy i praktycznie padam jak nieżywy.

Rano dzwonię do starościny wspólnoty mieszkaniowej z przeprosinami, że nie pojawię się na sąsiedzkim śniadaniu — dziś i tak nie moja kolej na gotowanie, a potrzebuję chwili na zwolnienie tempa. Mam więc wolne do piątej — po Corinie nocną zmianę miał Joel, w ciągu dnia TOKAR-kiem ma chodzić Io.

Otwieram okna na przestrzał, wskakuję w sportowe ciuchy i robię dziesięć tysięcy metrów na ergometrze z przerwami na odpoczynek, podczas których zamykam oczy i wyobrażam sobie, że jestem nad prawdziwym jeziorem. Potem biorę zimny prysznic, jem śniadanie, ubieram się jak człowiek i odpalam Pismo Święte — obecna sytuacja wymaga pogłębionej *lectio divina*. W czytaniach na dziś Psalm 124, wyznaczam sobie półtorej godziny, wstaję pogodniejszy. Cóż, chyba Pan był po mojej stronie, gdy Promiennooki na mnie powstał — nie zalała mnie woda i nikt mnie żywcem nie pożarł. Mam jeszcze czas, decyduję się na spacer. Wychodzę, idę osiedlową uliczką do głównej, jadę jeden stop, wysiadam koło rzeczki i idę mikroparkową ścieżką w jej górę.

Układam myśli, by w pracy mieć już wolną głowę — Joel zakazał brnąć w *falsafa*. To jest wszystko dobrze przemyślane technicznie, macie po prostu wykonywać swoją robotę, gdzie trzeba, wykazywać się inicjatywą, gdzie nie trzeba — dać działać automatyce, perorował. To praca jak praca i ewangelizacja jak ewangelizacja, dzień jak co dzień w korporacji i w oblaturze, tylko że tym razem połączone. Potraktujcie to jak nową grę komputerową, mówił, i bez żadnego dzielenia włosa na czworo, bo nie potrzebuję zwolnień na wypalenie zawodowe, a i wam *hlanya* niepotrzebna, dodawał.

Przypomnienie słów Joela podziałało jak benedyktyński dzwonek. Rozejrzałem się. Zdążyłem już wyjść z mikroparku, rzeczka wiła się dalej wzdłuż bulwaru obsadzonego oszronionymi drzewami. Minąłem dwa sklepy udekorowane przepysznymi iluminacjami z okazji Kwanzaa i jeden ze spóźnioną dekoracją świetlną na Chanukę, skwerek z wszechobecnym popiersiem de Puydta, za nim zabytkowy kościółek, przeżegnałem się. Szykowano jarmark pobożonarodzeniowy. Tu, inaczej niż na sklepowych witrynach, królował vintage, stragany obwieszone materialnymi babcinymi ozdobami z IKEA, z czasów,

gdy firma nie zajmowała się jeszcze logistyką odzysku i produkowała takie nadmiarowe *upuuzi*, choć trzeba przyznać, niektóre całkiem ładne plastycznie.

Ciekawe, co by było, gdyby wielki przodek Joela i zarazem założyciel P&H też zajął się sztuką, jak ponoć planował. Gdy Joel zaciągnął nas do projektu, na pierwszym szkoleniu wyświetlono historię firmy. Otóż pradziadek, nim rozkręcił dział księgowości w pewnym koncernie, który to dział pod koniec minionego wieku stał się osobną firmą outsourcingową, w młodości fascynował się rysunkiem. Gdy studiował biznes w Bostonie, kumplował się nawet z jakimś *kijana*, który później został ilustratorem książek dla dzieci. Mieli rozkręcać wspólny interes, ale pod koniec studiów Samuela urzekła księgowość i poprzysiągł sobie nigdy więcej nie rozpraszać się plastycznymi błahostkami. Słabość do wzornictwa chyba była jednak dziedziczna, bo jego prawnukowi, prezesowi Abijahowi, P&H zawdzięcza chyba najbrzydszą w całej Globalnej Panarchii identyfikację wizualną, natomiast jego bratu, Joelowi — chociażby klepnięcie tych „wspaniałych" wizualizacji w naszym projekcie.

„Niech nie wychodzi z waszych ust żadna mowa szkodliwa, lecz tylko budująca"[5], reflektuję się i zaczynam myśleć o zaletach chlebodawców. Cóż, gdyby Sam nie rzucił rysunku dla prozaicznej księgowości, nie zbiłby bajecznej fortuny i jego spadkobiercy nie mogliby dwadzieścia lat temu zaangażować się w tak marzycielski projekt, jak zasponsorowanie trzeciego roboastronauty na pokładzie „Yohane ta Lulu", komunikacyjno-badawczego pięknoducha typu TOKEN-2 u boku dwóch twardo stąpających po ziemi robotów-konstruktorów TOKEN-1; pięknoducha, który był w stanie nawiązać kontakt z inteligentnymi mieszkańcami planety.

A dwadzieścia lat później, gdy TOKEN-2 wykonał już swoją naukową robotę, grant na niego się skończył i został trochę zapomniany, jego prawnuk Joel, który już w okolicach startu „Yohane ta Lulu" zaczynał, jak mówił, się nawracać, nie odkryłby, przeglądając backup, że wśród plików załadowanych przez niego ongiś robotowi znalazła się przypadkiem pokaźna sfera tekstów ewangelizacyjnych, które w owym czasie namiętnie sobie puszczał. Nie skojarzyłby tego z faktem, że na Ta ma niebawem ruszać kolejny starshot, tym razem załogowy, z udziałem benedyktyńskiego biskupa-kosmologa-astrolingwisty Josa Roggena.

5) Ef 4,29, *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, https://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=1031

Nie uznałby tego za znak i impuls do działania. Bo przecież jeśli Syn Człowieczy znajdzie wcześniej wiarę na Ta, to biskup po przybyciu będzie w stanie udzielić Taańskim katechumenom sakramentów, wszystkich, łącznie z ustanowieniem kapłanów i kolejnego biskupa, czyli – innymi słowy – na Ta będzie mogła powstać całkowicie samowystarczalna wspólnota wiernych.

Krótko mówiąc, gdyby nie owa decyzja pradziadka Joela, nie powstałby nasz projekt. Aby go rozkręcić, Joel zdegradował się z jednego z czołowych stanowisk w P&H do rangi jakiegoś śmiesznego menedżera, po czym zaprosił do niego nas, tych współbraci z oblatury benedyktyńskiej, którzy mieli doświadczenie w *shirika kubwa*. I tak zostaliśmy gwiezdnymi ewangelizatorami, a TOKEN-2 dostał od naszej koleżanki miano TOKAR — Transmitter of Kerigmatically Appropriate Responses.

Wywoławszy w sobie satysfakcjonujący poziom wdzięczności i pokory, idę złapać loopa do domu.

***

Gdy pakuję się do wyjścia, wyświetla mi się od Io: „Mam nadzieję, że nie piłeś dziś jeszcze kawy. Odrabiam 1 h za wyjście do lekarza i Joel kazał nam iść 17:00-18:00 do »Erusi« na feedback session, on popilnuje w tym czasie TOKAR-a". Nie piłem kawy, a na myśl o godzinie rozmowy z Io czuję taki przypływ szczęścia, że zachciewa mi się spać, kofeina się przyda. Wrzucam boxa do torby, odmawiam szybką modlitwę „przed pracą" i lecę na loopa, by przed rozmową zdążyć ogarnąć się wizualnie.

Io siedzi już w „Erusi" — na mój widok uśmiecha się szeroko, jak to ona, odgarniając z czoła kilka kosmyków tych swoich cudownych, sprężynkujących loków, i ręką spowitą w rękaw etnicznego giezła skrojonego jak funkcyjna koszula daily casual odsuwa mi krzesło. Ach, Io, to ty jesteś najskuteczniejszą kofeiną. „Ogarnij się, Dalbert", mówię sobie w duchu, przywołuję na twarz neutralnie koleżeński uśmiech i odwieszając torbę na poręcz fotela, zagaduję:

— Złapałaś jakiegoś Pokemona?

Dowcip typowo igrekowy, najniższych lotów i w dodatku niemiły dla Taańczyków, ale Io się śmieje, kocha retro popkulturę i bawi i ją sam fakt, że ktoś robi nawiązanie.

— Spotkałam jedną Taankę.

— I jak poszło?

— A, dobrze. Wyznała Chrystusa.

AGV z moją kawą dopiero nadjeżdża, więc nie mam się czym zakrztusić.

— Co?!

— No, normalnie. Też spotkałam osobę z Ta, tak jak ty, ale udało mi się nawiązać kontakt, powiedziałam jej cały kerygmat, no i... przyjęła Jezusa jako Pana i Zbawiciela.

Czuję, że znów zachciewa mi się spać z radości. Pierwszy mieszkaniec planety się nawrócił, nasza misja działa. To raz. Spędzę teraz kilkadziesiąt minut z Io, słuchając jej relacji. To dużo ważniejsze dwa.

— *Sema*!

Io opowiada. Swoją zmianę zaczęła pod kępą „wierzb", pod którą zostawiłem TOKAR-a (Corin miał pilny temat, więc przez całą zmianę nie ruszał robota z miejsca i tylko go pilnował). Na brzegu leśnego stawku zobaczyła jakieś ciekawe „kwiaty" i podbiegła TOKAR-em, by się im przyjrzeć. Po ich łodygach pełzały robaki — duże, różnokolorowe, z głowami o zoomorficznych kształtach, niektóre podobne do głów ptaków, inne zwierząt, a jedna — do ludzkiej głowy, tylko zielonej. Io zaczęła się zastanawiać, czy to też nie są Taańczycy i czy nie warto by im zacząć głosić, gdy nagle zobaczyła na TOKAR-ze cień. Obróciła jego głowę w górę — coś nad nim kołowało! Ukucnęła TOKARem, chroniąc rękami głowę (jego najcenniejszy skarb, samodzielny energooszczędny nadajnik, który nawet po zniszczeniu maszyny może przez długie miesiące nadawać w trybie transmisyjnym).

Istota wylądowała — na szczęście w pewnej odległości od TOKAR-a, nie atakując go. Wyrenderowali ją jako człowieczo-ptasio-gadzią hybrydę, ewidentnie płci żeńskiej. Zbliżyła się do kępy z robakami, zaśnieżyła i w jej łapie zjawiła się duża butelka ze smoczkiem. Io zrozumiała, że system zaemotował w ten sposób, że istota jest matką zauważonych przez nią wcześniej robaków. Wystraszyła się, że może, tak jak samice ziemskich stworzeń na widok kogoś obcego, stać się agresywna. Ale nie — istota okazała się kojarzyć TOKAR-a z czasów, gdy zbierał materiał lingwistyczny i po karmieniu sama podeszła i nawiązała rozmowę zrozumiałą w trybie konwersacyjnym.

— No i dalej tak jak ci mówiłam — zakończyła opowieść.

— Gratulacje! Jak to się potoczyło?

— Normalnie, powiedziałam, że mam jej do powiedzenia coś

nowego, po czym, gdy okazała ciekawość, opowiedziałam jej kerygmat w semantycznym meta. Zrozumiała, zareagowała entuzjastycznie i wyznała Pana. No, może jedna rzecz wydarzyła się ponad plan.

— Jaka?

— Ochrzciłam ją.

— To... my tak możemy?

— A widzisz przeciwwskazania? Nie potrzeba nałożenia rąk osobiście, tylko wody.

— W sumie fakt — zgodziłem się. — A... jakie imię jej nadałaś?

— Astrid. — Poczułem, że się zaczerwieniła, choć u osób z jej karnacją tego nie widać.

— To po jakiejś świętej? Czy po kimś z XX wieku?

— Astrid North, taka piosenkarka. — Tak myślałem, zawstydzało ją, gdy ktoś zbyt często przypominał o jej vintage popowej obsesji. — Nie myślałam nad tym długo, byłam wyczerpana psychicznie, bo musiałam znów przejść na semantyczny meta, żeby jej wytłumaczyć, co to jest imię. Opowiem ci więcej, jak będzie chwila. Teraz będę już szła, *hamba kahle*!

***

Trzymając w dłoni duży kubek pochrzynowej kawy — kawa oczywiście lokalna, z modyfikowanego ostrokrzewu, natomiast co do syntetycznego aromatu pochrzynu, Io zawsze ma *furaha,* że to tak jakby pić kawę o smaku ziemniaka — czekam z narastającą ekscytacją, aż załaduje się wizualizacja. Sukces Io mnie zmotywował. Tym razem metaliczna czaszka TOKAR-a odbija odkształconą tarczę księżyca, a widok panoramiczny pokazuje, że istotnie na Ta — a przynajmniej na jej wyrenderowanej wersji — panuje jasna noc. Nadal jesteśmy nad jeziorkiem, nad którym, w świetle księżyca, unosi się lekka AR-owa mgiełka.

— Do dzieła, bratku! — mówię mu w myślach, podrywam robota z krzaków i schodzę nim nad jeziorko. Dostrzegam kępę kwiatów — wcześniej nie zwróciłem na nie uwagi. Wiedziony tomaszowym odruchem, przyglądam się dokładniej i uderza mnie, że na „piasku" brak jakichkolwiek śladów, a na łodygach nie ma robali. Czuję zimno zwątpienia w żołądku, jednak mówię w myślach szybką modlitwę i kontynuuję przygotowywanie stanowiska pracy. Po chwili uświadamiam sobie, że AR nie ma powodu, by zawracać sobie głowę wizualizacją śladów stóp postaci.

Kieruję TOKAR-a w stronę blednącej łuny zachodzącej gwiazdy — skoro wokół nie widać innych markerów niż te kwiaty, to wszystko jedno, dokąd pójdę. Markerów i skupisk Taańczyków jest tu sporo, mówił Joel, prawdopodobieństwo, że natrafimy na kogoś podczas dnia pracy, jest znaczne. Rzadki, bagienny ols przechodzi stopniowo w wyższy las, pnie matowo odbijają kremoworóżową poświatę zachodu i bladobiałą księżyca. Gdy schodzę z kolejnego pagórka, łuna gaśnie niemal całkowicie, pozostaje tylko księżyc.

By nie marnować czasu, włączam autopilota, zmniejszam widoki i biorę się do bieżących tematów, popatrując tylko od czasu do czasu na korpus złotego ludzika biegnący giętkim, rytmicznym krokiem przez rozświetloną księżycem elektroniczną dąbrowę.

Jest już dobrze po dwudziestej trzeciej, biuro prawie się wyludniło, jedyne bodźce to przyjazne bulgotanie paludarium z rzęsą wodną i ciepłofioletowy blask logaska ze ściany naszej sąsiedniej kontenerówki: PETRUCCI & HEIRS — BEST OUTSOURCING EVER. Nagle w pierwszoosobowej miga mi coś dziwnego. Przełączam na pełny. W niewielkiej odległości przed TOKAR-em coś pomyka między drzewami od prawej krawędzi wizualizacji ku lewej. A później z powrotem, zbliżając się. Zwierzę! Choć cyfrowa noc jest jasna, trudno rozeznać szczegóły, ale nie wydaje się duże, w jego poruszaniu się jest coś psiego, rozbrykana celowość. Joel nie ostrzegał nas przez drapieżnymi rasami, które mogłyby zniszczyć nam hardware, więc staję robotem i czekam. Stworzenie przebiega zakosem dosłownie parę metrów przed TOKAR-em, znika za pobliskim krzakiem, po czym wynurza się jakieś trzy metry od stóp robota i przystaje.

Jest rozumne czy nie? Postanawiam zaryzykować komunikację werbalną, a że nie wiem, jak zacząć konwencjonalną rozmowę w trybie konwersacyjnym, przełączam na semantyczny meta i wprowadzam:

— Ja chcę robić dobre rzeczy. Ja nie chcę robić złych rzeczy. Ja nie chcę, żebyś ty czuł coś złego przeze mnie. Ja chcę, żebyś ty przemieścił się tutaj.

Albo agenda tego stworzenia jest zbieżna z moją, albo komunikat werbalny odniósł skutek. Zwierz rusza się w miejscu, po czym podbiega w moją stronę. W wizualizacji ma brązowe, kudłate futro i porusza się całkiem jak pies. Jeśli rzeczywiście to stworzenie to jeden ze zwierzaków domowych hodowanych przez rozumnych mieszkańców Ta, to rendererzy wiedzieli, co robią.



Ilustracja: StandardDeviation2

Do pewnego momentu wiedzieli, myślę już po chwili, bo oto zwierzak zbliża się do TOKAR-a i spogląda mi w oczy.

Jest upiorny. AR nie AR, upiorność prześwieca przez tę całą sztuczność i atakuje mój mózg. *Ora pro mihi, Sanctus Aegidius*, chroń mnie przed szaleństwem, szepczę, i odważam się znów spojrzeć na stworzenie, na tę różową, zbyt ludzką, potwornie nieruchomą twarzyczkę umieszczoną w części głowowej stwora w miejsce psiego pyska.

Po modlitwie jest inaczej. Cóż, myślę, paskudny jesteś, ale takim cię grafik wtórstworzył, mój bracie mniejszy. Ciekawe, jak wyglądasz naprawdę. I czy masz duszę.

Uśmiecham się do niego, choć przecież on nie może o tym wiedzieć. Pomimo tego, jakby w odpowiedzi, stwór śnieży i po chwili — także się uśmiecha. Wyszczerzony wygląda nawet sympatycznie. Znów śnieży i z audio dobywa się jego głos:

— ...!

Charknięcie, spółgłoska, długie „i", znów spółgłoska, jakaś *schwa* chyba i na końcu syknięcie. Widać, że translator mocno się napracował, to ewidentnie była próba przekładu na nasze fonemy, ale semantyka go przerosła.

Więc jednak translator nie czyta wszystkiego. Możliwe, że nie spotkał go wcześniej, gestykulacji wobec zwierzaka też nie miał wyuczonej. Ech, nie będzie tu tak różowo, jak zapewniał Joel, byle nie zwariować, *ora pro mihi, sanctus Aegidius*!

— ...! — zacharczał znów stworek, nakłada się to z ostatnim słowem mojego aktu strzelistego i brzmi do niego dziwnie podobnie.

Dochodzi wpół do pierwszej, gdy widzę przed nami migającą pikselami przecinkę, a na niej — ogrodzenie, podobne jak wczoraj, tylko otaczające mniejszą przestrzeń. Mój towarzysz podbiega do drewnianego, banalnego ostrokołu i rusza wzdłuż jego ściany w lewo. Ruszamy za nim, zatrzymuje się przed czymś, w czym rozpoznaję okute wrota — też podobne do tych wczoraj, tylko mniejsze. Zwierzak staje bez ruchu i zaczyna znów powtarzać swoje. Przez długą chwilę nic się nie dzieje, po czym animacja zaskakuje, wrota śnieżą, otwierają się z dostojnym, przeciągłym skrzypieniem i staje w nich ktoś.

Magicy wymodelowali go jako krępego, długowłosego lecz łysiejącego człowieczka, niższego o połowę od TOKAR-a (aby lepiej przyjrzeć mu się w pierwszoosobowej, muszę nieco pochylić jego głowę) i wystylizowali na jaskiniowca o gburowatym wyrazie twarzy. W lewej

ręce gospodarz dzierży gruby, kręty, zielony konar, którego końce jakby go oplatają i giną w mroku — pokrętnie zwizualizowana maczuga?

— ...! — wycharkuje mój uśmiechnięty przewodnik, a gospodarz, dotąd nieruchomy, migocze pikselowo i wyciąga przed siebie prawą rękę, jak do powitania. Nim zdążyłem uruchomić prawicę TOKAR-a, zwierzak podchodzi do niego, również śnieży przez chwilę i wyciąga prawą przednią kończynę. Troglodyta nią potrząsa. Dziwna mechanika tego gestu, będąca czymś pomiędzy uściskiem dłoni między ludźmi a psim „podaj łapę" sprawia, że znów owiewa mnie chłód Doliny Niesamowitości. Gdy znów daję się ponieść emocjonalnemu stuporowi, zwierzak wchodzi do wnętrza zagrody, a troglodyta (niełądnie tak myśleć, tymi grubo ciosanymi rysami twarzy przypomina mi księcia Harry'ego, wiekowego pretendenta do władzy w Globalnej Społeczności Dobrowolnych Poddanych Korony Brytyjskiej — będę na niego mówić „Harry") zachowuje się, jakby miał zamykać drzwi. Szybko, zrobić coś! Włączam meta i wprowadzam:

— Ja chcę powiedzieć ci coś dobrego. Ja chcę, żebyś ty zrobił tak, że ja przemieszczę się wewnątrz.

„Harry" zatrzymuje się w drzwiach, migocze znów i po raz pierwszy zwraca ku mnie wzrok.

— Ja słyszałem, ona mówiła o tobie. Ty możesz przemieścić się wewnątrz.

Kieruję TOKAR-a za Harrym, gdy wchodzimy do drewnianego korytarza rozpoczynającego się tuż za bramą, zielony konar zsuwa się z ramienia gospodarza i samodzielnie pełznie przed nami w ciemność.

— No, dość na dziś, stary. Osiem godzin pracy, osiem godzin odpoczynku, i tak dalej — słyszę nagle z innej strony niż głośnik, po czym czuję dotyk na ramieniu. Joel!

— TOKAR jest właśnie w zagrodzie jakiegoś rdzennego mieszkańca, który chyba wie o tym, że Io nawróciła Astrid. Są tam jakieś dziwne zwierzęta i... — tłumaczę nieskładnie, zbierając się z fotela.

— Czy ja cię prosiłem o raport? — Patrzy na mnie bystro Joel, dobroduszno-kumpelski ton zmienia się w zimną wyniosłość.

— Jasne. Przepraszam. Miłego wieczoru zatem — mówię spokojnym głosem i wychodzę ze spejsu, gorączkowo klepiąc improwizowaną modlitwę o pokorę i godność. Opuszczając gmach Petrucci & Heirs, uspokojony modlitwą i rześkim powietrzem, myślę, że choć szefowi zawsze wszystko wychodzi, to ostatnie słowo, jakim bym to określił, to „ogarnianie".

Budzę się koło dziesiątej i zanim zdołam zmówić pacierz, wyświetla mi się od Io (nie wyłączyłem przed snem): „Dalbercik, weźmiesz na mnie zmianę 17-1, proszę proszę proszę... doroczne rodzinne holo-spotkanie na Kwanzaa przełożone, mama ma inną zmianę w obserwatorium", w tle emotują się słodkie, wielkookie postaci ze starych kreskówek.

Nie pasuje mi to, przy dwóch zmianach pod rząd będę pod koniec chodził jak akojmeta, to nieodpowiedzialne. Ale z drugiej strony — Io... Decyduję się pochodzić z tą myślą i łączę się z rodzicami — i tak miałem to zrobić, Io może tyle poczekać. Wyświetla się popiersie mamy w jaskrawym świątecznym swetrze, chwilę później w tle migocze kolorowa grzywa ojca i zaraz on również zasiada na kanapie. Co u nich? Ano, choć ich wspólnota misyjna jest w trakcie przygotowań do dnia św. Sylwestra, mówi tata, to dziś młodziaki i katechumeni siedzą na jakichś rekolekcjach i katechiści mają labę, stąd ich dostępność o tak ekstrawaganckiej porze.

— A jak tam ta twoja koleżanka, Io? — pyta mama, gdy opowiedziałem już, tyle ile mogłem, o swojej pracy.

Czerwienię się.

— Dobrze — odpowiadam.

— Miło było nam ją poznać wtedy, na tym waszym festynie firmowym. — Mama uśmiecha się. — Może byście przyjechali kiedyś, jak znów rzucą międzymiastowe do stolicy?

— Pomyślimy. — Uśmiecham się, choć wszystko we mnie buzuje. Składamy sobie jeszcze życzenia na św. Sylwestra, po czym rozłączam się, palą mnie policzki. I choć nie muszę już być im posłuszny, czuję teraz, jak bardzo chciałbym spełnić prośbę mamy. Kalkuluję: zdążyłem odespać, zarwana cała noc to rzecz przykra, ale wykonalna, poza tym na św. Sylwestra i Bożej Rodzicielki wziąłem urlop, będzie czas na regenerację, może wyjadę z aglo. To da się zrobić. Dam tę radość Io.

„Dobrze" — piszę, jak zwykle nie mając pomysłu na emoty. Ona po chwili odsyła mi samą emotę, podrygujący ludzie w kolorowych strojach etnicznych, pewnie taniec dziękczynny.

***

Już w Petrucci & Heirs, wyświetlam do nas obojga — oboje dostaliśmy od Joela długaśną epistołę. Harry okazał się być kimś

w rodzaju nauczyciela czy opiekuna podrastających Taańczyków, których wizualizacja wyświetla nam jako duże, wężokształtne larwy o głowach zwierząt. (Zatem tamta ruchoma, zielona kłoda to był młody Taańczyk, pomyślałem, trochę był nieśmiały.) Zaprosił TOKAR-a-Joela do swojej „chaty", przy czym okazało się, że robota doskonale pamięta, bo ten zachodził do niego za swoich pionierskich, probierczo-etnograficznych czasów. Obaj panowie ucięli sobie zatem gadkę-szmatkę w trybie inteligentnej konwersacji (ponieważ Harry był jednym ze źródeł materiału lingwistycznego, szło to całkiem nieźle), po czym Joel-TOKAR nadmienił, że przychodzi z pewnym nowym materiałem i spytał, czy Harry chce posłuchać. Chciał — zatem Joel odpalił tryb transmisyjny, po czym mógł spokojnie zająć się zwyczajną robotą, bo Harry, jak siadł (według wizualizacji), tak słuchał przez jakieś trzy czwarte jego zmiany, po czym zamigotał i chrząknął znacząco. Gdy Joel spytał go, co o tym sądzi, Harry odparł, że bardzo to wszystko piękne i ciekawe — dużo ciekawsze niż to, co opowiadał mu robot za dawnych czasów, kiedy to głównie zadawał głupie pytania i powtarzał to, co wcześniej usłyszał — i że doskonale rozumie ideę rodzicielstwa, nadrzędnej istoty i jej miłości, ale on tego nijak nie czuje, natomiast sprawa może być interesująca dla innych osób z osady. Czy więc drogi przybysz nie zechce poczekać u niego przez rozpoczynający się właśnie dzień, do wczesnego wieczora (może sobie w międzyczasie zbierać materiał, tak jak zawsze), kiedy to odbędzie się spotkanie ludzi i będzie mógł wyemitować wszystkim to, co wyemitował właśnie jemu?

Joel się zgodził, po czym wprowadził TOKAR-a w stan spoczynku i zajął się bieżącymi sprawami. Jak pisał, ten spoczynek będzie prawdopodobnie trwał przez całą zmianę Io, spotkanie przypadnie na czas, gdy ja będę za panelem. Uspokajał, że transmisja w trybie inteligentnym wydaje się działać świetnie, wystarczy, że odpalę ją bez słowa, gdy Harry zaprowadzi mnie, gdzie trzeba. Później już tylko czekać, co oni na to i czy biskup Roggen znajdzie wśród nich wiarę, gdy przyleci.

Odpalam obraz. Rzeczywiście, złoty łebek jest w zacnej, pikselowatej, drewnianej izbie; naprzeciwko jaśnieje kwadratowe okno ze stockowym widoczkiem na puste, zielone podwórko i ostrokół, nieopodal znajdują się masywne drzwi, natomiast przy pozostałych ścianach poustawiane są ławy z zydlami wokół; widok trzecioosobowy pokazuje, że i TOKAR usadowił się na jednym z zydli. Siedź, jak ci dobrze, myślę i odpalam

listę Io, by zająć się jej tematami na dziś. Mija godzina za godziną, wczesnym popołudniem w widoku dostrzegam poruszenie — patrzę. Do izby wpełza zielony wąż, zamiast wężowej głowy ma głowę orła. Za zielonym oseskiem wpełza wąż czerwony, o głowie jak chiński smok, za nim jeszcze kilka innych wężokształtnych stworzeń; za ostatnim idzie Harry. Chwilę później rozległa się walenie w drzwi, Harry podchodzi otworzyć. We wrotach stoi, a raczej wisi w powietrzu, dziwna istota: głowa kobiety o elfich uszach, wydekoltowanany, fioletowy gorset, ptasie skrzydła, u dołu gadzie łapy, w których trzyma węża, dużo mniejszego od zgromadzonych w sali, jadowicie zielonego, o antropomorficznej głowie z paszczą pełną ostrych zębów, okolonej, jak kryzą, zielonymi, błoniastymi skrzydełkami.

— On może przemieścić się tutaj? — pyta Harry'ego. To ona!

— On jest bardzo mały — odpowiada Harry.

— On wie bardzo dużo — zaczepnie ripostuje Astrid.

— To jest dobre, on może być tutaj — zgadza się pojednawczo Harry i bierze malca na ramiona.

— Ty jesteś dobry. Ja chcę dobrych rzeczy dla ciebie — mówi Astrid. Chyba mnie nie widzi, odlatuje. Harry zamyka drzwi, sadza malca na ziemi i wychodzi na środek izby. Po chwili całe zgromadzenie zaczyna śnieżyć, na głowie Harry'ego pojawia się akademicki biret, pod jego bosymi stopami — katedra, a przed wężami — tandetnie wyglądające kajety i kałamarze. Dźwięk zostaje ściszony do szemrania. Aha, stockowa scenka pt. „Szkoła". Zmniejszam widok i pogrążam się w robocie.

Minęła lekcja Harry'ego, minęła i zmiana Io, rozpoczęła się moja. Otwieram własną listę zadań i czuję, że jestem naprawdę zmęczony. Myślę o Io, czy dobrze się bawi, tym razem dla niej to optymalny czas na imprezę, ale skoro część rodziny siedzi w Johannesburgu, część w Stanach, a część w Europie, to zawsze ktoś musi zarwać noc albo wziąć wolne z pracy, by zobaczyć innych. Może już są po spotkaniu, a może zrobiło się niezłe *sherehe* i przynajmniej ona, Proxima i jacyś młodsi kuzyni jeszcze siedzą. Przez chwilę czuję tęsknotę, potem osamotnienie i zazdrość, łagodzę je szybką modlitwą i wracam do pracy.

Poruszenie w pierwszoosobowym: Harry podchodzi, na rękach niesie malca Astrid.

— Możemy iść — mówi. Bez słowa, choć cały czas mam włączony pozostawiony jeszcze przez Joela tryb konwersacyjny, podrywam

robota i przechodzę za Harrym przez izbę, a następnie przez otwarte drzwi na zewnątrz. Przechodzimy przez korytarz, którym szedłem wczoraj — jak się okazało, był to długi ganek, kończący się bezpośrednio przy bramie. Zanim gospodarz zdąża zamknąć bramę, bezszelestnie wybiega przed nas zwierzak z wczoraj. Dobrze cię widzieć, przyjacielu — raźniej, bo sytuacja dosyć emocjonująca. Zwierz znów rzuca swoje — ...! *Aegidius*, obracam znów w myślach, ty jesteś taki *canis sancti Aegidii*, albo jak w legendzie, *cerva sancti Aegidii* — powtarzam w szkolnej łacinie, potem z akcentem Joela, naśladując jego kaleczenie gramatyki podczas mszy trydenckiej, na której byliśmy niegdyś z oblaturą. *Geedis*, pewnie tyle by zapamiętał i tak to wymawiał. O, niech będzie Geedis. Stwór śnieży i się uśmiecha.

Harry prowadzi nas głębiej w pikselowaty las, skręca w lewo. Nic się nie dzieje, więc ustawiam autopilota i zaczynam równolegle flagować swoje dzisiejsze filmiki. Docieramy pod kolejny ostrokół. Przez kierunek zaczynam podejrzewać, że to jest to samo ogrodzenie, którego wcześniejszego odcinka strzegł Promiennooki.

Wychodzimy na leśną drogę bez właściwości, identyczną do tej, z której wystartowałem pierwszego dnia. I jest strażnik, tylko wizualizacja inna. Nie Rzymianin, bardziej Wiking, rudobrody siłacz w rogatym hełmie, choć o odzieniu równie skąpym, jak waleczny Erik. I wydaje się równie gościnny, jak on. Stefan Rudobrody — przypomniało mi się określenie Io na osoby niechętnie wpuszczające bliźnich do swoich domów, to ponoć znów motyw z jakiejś trącącej myszką wizualizacji sprzed kilku dekad. Ale tu pasuje jak ulał.

Harry bez śladu lęku podchodzi do niegościnnego Stefana, obaj śnieżą, po czym animacja pokazuje, jak sztywno ściskają sobie dłonie i szemrzą o czymś przez chwilę. Następnie Stefan, znów śnieżąc, sztywno i bez wysiłku popycha wrota — ot tak, jakby to była szyba wejściowa loopa — te otwierają się i Harry wchodzi przez nie, my z Geedisem śpieszymy za nim.

Pozbawiony właściwości teren wymodelowany w stylu „jakakolwiek średniowieczna osada": drewniane chaty kryte strzechą, bure pikselowate podłoże. Czuję narastającą ekscytację. Spomiędzy chat po lewej wypełza kolejny wąż, pomarańczowy, o głowie rogatego bydlęcia, tura może? — za nim krępa człekokształtna postać, kobieta,

niebieska skóra, rude włosy, wydaje z siebie odgłos, którego nie zdążył zaczytać translator, brzmi równie nieartykułowanie, jak głos Geedisa. W miarę, jak idziemy, mieszkańców pojawia się więcej — ludzi, hybryd, wężodzieci.

Harry wyprowadza nas na pusty plac między chałupami. Wychodzi na środek, wydaje gardłowy odgłos. Po chwili zaczynają się schodzić mieszkańcy osady. Teraz mam okazję pooglądać bardziej na spokojnie tę feerię hybrydowości i innych atrakcji vintage'owego fantasy. Skąpo odziane wojowniczki i wojowie podobni do Promiennookiego i Rudobrodego. Kobiety z gadzimi łapami, skrzydłami, tułowiami jak u wodnych płazów, o karnacji w przeróżnych barwach tęczy, jest i niebieskoskóra mama, którą widziałem wcześniej, wpatruje się we mnie sybillińskim wzrokiem wężowych oczu, jakby to ona jedna wiedziała, jak skończy się misja projektu Joela Petrucciego na TRAPPIST-2a.

Włączam tryb transmisyjny, sprawdzam, co jest w kolejce tekstów — generalnie miks nowych i starych kazań dla katechumenów, dobranych w temacie ewangelizacji czytań z Biblii i żywotów świętych. Nie zmieniam domyślnej kolejności, będę ingerować w trakcie.

Taańczycy stoją nieruchomo lub wykonują stereotypowe ruchy — niektórzy przestępują z nogi na nogę; cyklop z maczugą w dłoni, jaskrawoniebieski jak jedna z kart do analogowego Uno, ziewa rozdzierająco; dwa małe wężaki śnieżą, po czym zaczynają zabawę w berka między łapami zebranych.

Harry zaczyna coś mówić, translator go nie zaczytuje. Niedobrze, że dzieje się to tak często. Nagle czuję zmęczenie: jest druga w nocy, ciekawe, czy będę musiał być bardzo interaktywny. Harry kończy, śnieży, cofa się, śnieży, czyniąc w moją stronę zapraszający gest, po czym odwraca się i ciężkim krokiem odchodzi w stronę bramy. Czuję przypływ adrenaliny, senność mija, przestawiam na semantyczny meta:

— Ja chcę czegoś dobrego dla was teraz. Ja chcę wam coś powiedzieć. To coś mówili dobrzy ludzie. Oni mówili to o kimś bardzo dobrym, kto nie jest jak ludzie i nie jest jak ja. Kiedy on chce dla ludzi dobre rzeczy, wtedy dobre rzeczy zdarzają się ludziom. Ten ktoś jest gdzieś ponad. Ja myślę, że to coś jest prawdą[6].

Zgromadzenie zaczyna cicho szemrać; ich reakcje nie zaczytują się wizualnie. Przełączam na tryb transmisji. Po chwili słyszę u siebie głos lektora czytający tekst przekładany na bieżąco Taańczykom:

6) Por. A. Wierzbicka, op. cit.

— „Czy chcesz wiedzieć, co miał na myśli Twój Pan? Wiedz dobrze, że to miłość miał na myśli. Kto ci objawił? Miłość. Co ci objawił? Miłość. Dlaczego ci objawił? Z miłości...”[7].

Ze strony widowni nic nie słychać — może tak działa ten tryb? Stoją też spokojnie, niektórzy zaczynają śnieżyć, po czym przybierają pozy uważnego zasłuchania lub znudzenia. Wężowe dzieci podpełzają bliżej, śnieżą, po czym unoszą głowy w górę i kiwają się lekko, jak przy piosence fakira, która kołysze, kołysze...

***

Śni mi się, że jestem świętym Wojciechem. Znużony głoszeniem Słowa Bożego, zasypiam pod drzewem, ze snu budzi mnie przeszywający ból — to oszalały z nienawiści poganin w ptasim hełmie rzucił się na mnie z mieczem. Chyba mnie zabił, ale się tym nie martwię, co z tego, że ćwiartują moje ciało, skoro mą głowę porwał już świetlisty, ptasioskrzydły Anioł i niesie do Nieba...

***

— Dalbert, Dalbert, no wstawajże!

Zrywam się, wokół mnie jasny dzień. Nade mną Joel z bladą, zaciętą twarzą, szarpie mnie za ramię.

— Co jest? — pytam półśpiący.

— Rozmontowali TOKAR-a.

— Co?

— No, zobacz sobie.

Patrzę w widok. Obrazu trzecioosobowego nie ma w ogóle. Pierwszoosobowy pokazuje błękitne niebo i czubki drzew, chyba dębów. Próbuję obrócić, ale pole widzenia się nie zmienia. Z audio dochodzi szemranie, transmisja nadal działa, teraz chyba leci kazanie o Wyznaniu Wiary św. Augustyna. Słowa doktora Kościoła unoszą się w słoneczne, cyfrowo wygenerowane niebo.

Patrzę na Joela.

---

7) Juliana z Norwich, *Objawienia Bożej miłości*, s.258, [w:] K. Sonnenberg, *„Objawienia Bożej miłości” Juliany z Norwich. O paradoksie Bożego miłosierdzia*, s. 129, https://ruj.uj.edu.pl/xmlui/bitstream/handle/item/247171/sonnenberg_objawienia_bozej_milosci_juliany_z_norwich_2009.pdf?sequence=1&isAllowed=y

— Co robimy?

— Nic, projekt skończony. Możesz iść do domu.

— Ale... jak to? — Cały czas bardzo chce mi się spać, słońce — prawdziwe, zza okna — wwierca się w oczy, moja twarz jest zimna i zdrętwiała.

— Też nie wiem, jak to. Przyszedłem tu dziesięć minut temu, panel nie działa, audio zacięło się na transmisji, puszcza wszystko ciurkiem. Rozmontowali ci go, jak spałeś, głowa osobno od ciała. Nie mamy tu już co robić, możesz iść do domu i tam sobie dospać.

— Ale... jak to? Przecież pozostałe roboty, TOKEN-y... nie pomogą? Nie damy radę jakoś tego naprawić?

— Czy ja cię proszę o konsultacje? Po prostu wstań, weź swoje rzeczy i idź.

— To... widzimy się po moim urlopie, na początku tygodnia?

— Nie, nie widzimy się już w ogóle. Dziękuję za wszystko. Sprawy formalne załatwisz z działem kadr. Do widzenia.

Biorę torbę i kurtkę, nieco trzęsącymi się rękami zbieram rzeczy z biurka i chaotycznie wpycham do torby. Wyjąkuję „to cześć" i wychodzę, Joel nie odpowiada, stoi tam, gdzie stał i patrzy w widok, nieruchomy, jeśli nie liczyć gonitwy chmur na niebie i okazjonalnego poruszenia się jakiegoś listka. Z audio cały czas, matowym i aksamitnym głosem lektora, mnoży swoje figury retoryczne święty Augustyn.

***

Załatwiłem sprawy formalne. Z krótkiej, niezręcznej rozmowy z Io odbytej kilka tygodni po całej sprawie dowiedziałem się, że współpraca zespołu nadal wre. Co prawda głowa TOKAR-a, pozbawiona sterowności, prawdopodobnie wciąż leżała na „ściółce" „lasu" nieopodal „osady" Taańczyków, wysyłając w atmosferę planety swój przekaz, nietknięta przez pozostałe roboty, które mają dość innych zadań, by interesować się losami próżniaka ze sponsorowanego projektu, jednak Joel załatwił Io i Corinowi etaty przy kolejnych projektach outsourcingowych dla World United Space Agency. Io opowiadała o tym wszystkim lakonicznie i dość chłodno, jakby nie chciała być dopytywana o szczegóły. Stłumiłem żal, że nie wstawiła się za mną i nie okazała mi wsparcia, nie mówiąc już o poczuciu współwiny. Jestem dorosły, mogłem się nie zgodzić, projekt skończył się klęską, bo dałem plamę. Io najwyraźniej nie chciała się o tę plamę pobrudzić. No tak, porażka jest zaraźliwa. Nie rozmawialiśmy

więcej od tamtego czasu, a przez długie tygodnie najbardziej bolała mnie myśl, że rodzice znów spytają, czy przyjedziemy do nich razem.

Zacząłem szukać nowej pracy, z początku bez nadziei, osoby z takim rekordem mają łatwą drogę do kasty permanentnych. Na szczęście zainteresowała się mną moja wspólnota mieszkaniowa, starościna powiedziała, że chyba będzie coś miała. Aby chronić chwilowo podatną na wstrząsy psychikę, wyfiltrowałem sobie do odwołania wszystkie treści związane z Ta. Nie chcę wiedzieć, co się tam dzieje.

***

Promienie wschodzącej gwiazdy TRAPPIST-2 przebijają się przez półprzezroczyste ściany łazikonamiotu i budzą Jego Ekscelencję Josa Roggena ze snu. Jos wstaje, wykonuje poranne czynności higieniczne (potrzebna instrukcja — pierwszy dzień na planecie) — po czym sięga po brewiarz. Czytanie o obleczeniu pełnej zbroi Bożej — motywujące jak na początek pracy w bazie. No tak, będzie musiał nosić tutaj zbroję, podobną do tej noszonej przez roboty, inaczej na Ta się nie przeżyje.

Potych pierwszych skojarzeniach przyjdą inne, bardziej kontemplacyjne. To w końcu jego, Josa, supermoc, nie na darmo jest mnichem, z braku innego materiału wyświęconym na biskupa. Wprawa w kontemplacji pomogła podczas egzaminów i treningów astronautycznych, pomogła i podczas samej dziesięcioletniej podróży „Mafanikio", w niemal całkowitej deprywacji sensorycznej i konieczności bycia świadomym przez sporą część trasy, by obsłużyć to i owo. Może pomoże również w spędzeniu reszty żywota na tej — dosłownie — zapleśniałej planecie, wśród białego, pustynnego krajobrazu, poznaczonego jedynie oczkami wodnymi i pobudowanymi z wszechobecnej pleśni, zasiekami mieszkalnymi miejscowych istot. Może pomoże, gdy przez lata jedynym towarzystwem będą dla niego stworzenia bardzo różne od ludzi i dwa roboty. Pomoże, dobre słowo.

„Samobójcza misja biskupa" — ironizowały infobańki przed jego odlotem i w jego trakcie, gdy akurat ansibl łapał zasięg. Przyjmował to z pokorą. Fakt, misja na Ta nie jest rajem za życia, ale jeśli Opatrzność pozwoli, ma szansę przetrwać tu długie lata. Niektórzy biskupi w ramach ekspiacji za grzechy współbraci wybierają dużo gorsze rzeczy. Jego wykształcenie kosmologa i astrolingwisty sprawiło, że pokutuje właśnie tu.

Zaraportował się na Ziemi, znów wyświetlił instrukcję, a obok — korespondencję. Ewidentnie ziemski zespół czekał z gorszymi wiadomościami, aż wyląduje. Jedna z nich pochodziła od niejakiego Joela Petrucciego.

To ten śmieszny, podstarzały, bogaty dzieciak z koncernu outsorcingowego, którego firma wystrzeliła na pokładzie „Yohane ta Lulu" sponsorowanego robota, którego Joel z przyjaciółmi chcieli użyć do zdalnej ewangelizacji na planecie. On, Jos, na początku obawiał się słomianego zapału i fuszerki, ale ci zapaleńcy uzyskali błogosławieństwo papieża a on, Jos, otrzymał szereg dyspens na udzielenie Taańczykom wszystkich sakramentów i święceń, łącznie z sakrami biskupimi w razie, gdyby akcja Joela przyniosła owoce. Wypolerowana jak rzeczny kamyk emocjonalność Josa ożywiła się na tyle, na ile była w stanie. Jego rola świeckiego — choć religijnego — eremity miała szansę zmienić się w rolę kosmicznego misjonarza, założyciela pozaziemskiego Kościoła.

Ale się nie zamieni. W krótkich słowach, w których pobrzmiewała niezłagodzona upływem dziesięciu lat autoagresja, Joel donosił, że ewangelizacja się nie powiodła, bo wskutek błędu jednego z pracowników robot uległ zniszczeniu na samym początku misji.

Wypolerowane serce Josa ścisnął żal, jakiego się po sobie on, Jos, nie spodziewał. Nie będzie chrztu Ta. W jego obowiązki — i kodeks etyczny na tym stanowisku — dałoby się wpasować okazjonalną posługę sakramentalną w wolnym czasie, ale nie szeroką ewangelizację.

Omodlił to przez kolejne dni, przebolał. Zabrał się do wyznaczonej pracy w bazie, zaznajomił z aparaturą, zaprzyjaźnił z TOKEN-ami, które szybko wyuczyły się roli cobotów, rozpoczął zlecane co dzień z Ziemi prace terenowe. Już po kilku dniach zadania zaczęły uwzględniać kontakt z Taańczykami, według schematów wypracowanych w minionych dekadach przez komunikacyjnego TOKEN-a. I poznał ich, kostno-cielesne twory, nijak nie podobne do człowieka, a jednak tak przypominające go intelektem i funkcjami językowymi. Choć ich fizyczna inność budziła w nim, Josie, początkowy opór, nie zdecydował się na AR. Tym bardziej, że językami Taańczyków zamieszkujących okolice bazy władał niejako zawodowo. Nakładka AR z peritranslatorem, którą dostał od Bożego szaleńca, pałętała się zatem po jego toolboksie, przywodząc smutne wspomnienia o „projekcie".

Gdy jednego dnia wraz z cobotami pracował w namiocie rolniczym, usłyszał pukanie w pokrywę. Przez mleczne ściany pomieszczenia dostrzegł pajęczo-ścięgnowatą sylwetkę dorodnego Taańczyka.

Wydał cobotom infopolecenie i ruszył do wyjścia, dopełniając reguł bezpieczeństwa — zaostrzono je od czasu demontażu TOKEN-a-ewangelizatora.

Taańczyk — nauczył się już rozpoznawać niektórych z nich, tego dotychczas nie spotkał — trzymał w skrajnych odnóżach głowę TOKEN-a. Przerażenie ogarnęło jego, Josa, że poległ kolejny cobot, ale przecież zostawił ich obu w pomieszczeniu za sobą... Taańczyk wykonywał dziwne ruchy, a z jego strony dobiegał jego, Josa, nieprzerwany strumień mowy, której on, Jos, ku swemu zdziwieniu, w większości nie rozumiał, jakiś dziwny rejestr języka... AR z translatorem! przypomniał sobie w gonitwie myśli i odpalił funkcję. Świat zaśnieżył.

Przed nim, Josem, w pewnej odległości, unosiła się w rzadkim powietrzu antropomorficzna wizualizacja — jaskrawozielony człowiek, muskularny, z nietoperzymi skrzydłami, o groźnym, nie całkiem ludzkim wyrazie twarzy; jego uszy były spiczaste, a usta — pełne ostrych kłów; głowę TOKEN-a trzymał w wyciągniętej prawej dłoni. To z głowy, nie z ust Taańczyka, dobywały się słowa! W pierwszej chwili niezrozumiałe, on, Jos, musiał osłuchać się z dykcją translatora. Zielony przybysz zaśnieżył i nagle on, Jos, zobaczył go klęczącego i zalewającego się łzami. Głowę robota wyciągał przed siebie; teraz głos translatora brzmiał jakby wyraźniej i on, Jos, posłyszał, co się z niej dobywało: to był List św. Pawła do Efezjan. Gdy lektor doszedł do fragmentu „weźcie też hełm zbawienia”[8], on, Jos, nagle skojarzył, kogo i co ma przed oczyma, i po raz pierwszy od dzieciństwa także się rozpłakał.

8) Ef 6,17, *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, https://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=1033

MIKOŁAJ KOWALEWSKI

GEEDISA PODRÓŻ CZTERNASTA

Karolinie, której będę musiał przypomnieć, skąd ta dedykacja.

12 Camelopardalis M77232917

Poprzednim razem wszystko było prostsze, wystarczyło tym kretynom pokazać ogień i od razu mieli cię za bóstwo. Ten skok nie był tak udany. To był mój najdłuższy pobyt w jednym świecie od początku podróży. Wylądowałem w okresie nazywanym latami osiemdziesiątymi, w osadzie Boston. Po krótkiej obserwacji tutejszej społeczności naprawdę trudno było mi znaleźć niszę, w której mógłbym żerować. Mieli wszystkie technologie, które mogłem imitować, nie naruszając naszego wewnętrznego regulaminu podróży międzyświatowych. Pozostało mi więc wpisanie się w ich trendy kulturowe.

Trafiłem na spotkanie fascynatów tekstów opowiadanych przez obrazki naniesione na fragmenty przetworzonych włókien organicznych. Postaci z tych historii pojawiały się wszędzie. Różne osobniki nosiły je na fragmentach ubioru. Komunikowały się, używając nazw, które, o ile udało mi się odkryć, pochodziły właśnie z tych grafik. Społeczność wydawała się na tyle duża, że powinna zapewnić mi energię na kolejną podróż w dosyć krótkim czasie. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem. Właśnie, gdyby, cały mój świat zamknięty w gdyby.

Dzięki zdolności transformacji przybrałem formę poznaną w toku wcześniej przeprowadzonego wywiadu. Uznałem, że ich technologia nie pozwoli na podobne do naszych podróże przez następne dwieście lat, więc nie zagrozi mi dekonspiracja, jeśli wykorzystam własny wizerunek. W celu zwiększenia atrakcyjności zapożyczyłem też wizerunek innych naszych podróżników i zamieściłem na kilkunastu arkuszach, w które wlałem większość swojego materialnego bytu. Arkusze te, zwane tu „naklejkami", umożliwiają nanoszenie postaci z opowieści obrazkowych na inne obiekty. Dodatkowo część energii poświęciłem też na przetworzenie się

w „piny”. Miały podobne właściwości co naklejki, ale różniły się od nich szczegółami technicznymi. Wszystkie przybrane przeze mnie formy trafiły na stoisko jednego z członków społeczności rozpowszechniającego takie utensylia. Teraz wiem, że mój wcześniejszy wywiad nie był dokładny, a ja nie dopełniłem ciążących na mnie obowiązków.

Żaden z moich fragmentów nie zainteresował uczestników tego spotkania, a członek, którego stoisko obrałem za miejsce żerowania, zebrał wszystko, zamknął w ciemnym magazynie i zostawił. Długi czas spędziłem w tej formie w ciemności bez żadnej aktywności, bez możliwości zebrania energii na kolejną podróż. Wszystko zmieniło się po dwudziestu latach tutejszego czasu, kiedy ktoś mnie ponownie odkrył.

Wtedy powoli zaczęło rosnąć moje żerowisko. Co ciekawe, nie przez popularność samych „naklejek”, tylko otaczającą je tajemnicę. Z oczywistych dla mnie powodów nikt nie wiedział, skąd pochodzą. Nie był to mój plan, niemniej pozwolił kontynuować podróż do kolejnych światów. Zebrały się bardzo duże grupy osobników znajdujące radość w śledzeniu historii mojego pojawiania się, śledzeniu tak zwanych „aukcji internetowych”, gdzie można było mnie kupić, i próbach odkrycia stojącego za wszystkim artysty. Nawet w jakiś zaskakujący sposób znaleźli kogoś, kto rzekomo stworzył wizerunek mój i innych podróżników z Ta.

Wydarzeniem, które ostatecznie wyzwoliło mnie z tej krainy i dało możliwość wyruszenia w kolejną podróż, była publikacja inspirowana moim wizerunkiem na „naklejkach”. Grupa ludzi z zupełnie odległej od miejsca lądowania krainy zwanej Polską napisała kilkanaście historii opisujących podróżników z Ta, dając mi energię wystarczającą na kolejne przygody. Mam nadzieję, że następnym razem nie popełnię takich błędów niegodnych doświadczonego podróżnika. Może znowu zabawa z ogniem wystarczy.

Major Podróżnik
A. Geedis



Ilustracja: ShakoHead

MIKOŁAJ MROZIK

NA PSA UROK

Po upalnej końcówce lipca wysokie temperatury w pierwszych dniach sierpnia 1985 roku nie były niczym niezwykłym dla mieszkańców Idaho Falls. Chwilę przed dziewiątą znad łańcucha Gór Skalistych wzniosła się gorąca kula piekącego żaru. Już wczoraj było ponad trzydzieści stopni, a ten dzień miał okazać się jeszcze gorszy.

Pomimo niezbyt sprzyjających warunków wiele rodzin rozpierzchło się po ulicach miasta. Choć zdawałoby się, że wędrują grupkami, część zgromadzonych oddalała się od reszty, wybierając krótszą lub bardziej zacienioną alejkę do jednej ze świątyń.

Niedzielne podróże do kościołów skrzętnie wykorzystywali lokalni sprzedawcy, co rusz zachęcając wędrujące rodziny, by choć na chwilę się zatrzymały i zajrzały przez kolorową witrynę. Najgorsi byli handlarze zabawkami. Nowe zestawy LEGO, najnowsze numery komiksów Marvela i DC oraz figurki z popularnych kreskówek — wszystko to stało przysunięte jak najbliżej samej szyby, niczym pułapka na dzieciaki.

Właśnie przy jednej z takich witryn zatrzymała się para zmierzająca na poranną mszę — matka z synem. Na twarzy matki malowało się zniecierpliwienie. Co chwilę zerkała na zegarek. Choć do kościoła św. Jana było blisko, bała się, że wszystkie miejsca okażą się już zajęte. Stukała obcasem i poganiała chłopca. Ten zdawał się na nią nie zwracać uwagi.

Zaaferowany, stał i wgapiał się w coś na wystawie. Usta rozdziawiły mu się w zachwycie, a swoim oddechem zostawiał mglisty ślad na szybie. Tego właśnie szukał. Stał jak w transie, a świat pędził obok. Był tylko on i...

— Liam. — Matka lekko pociągnęła chłopca za mundurek. — Możemy już iść? Spóźnimy się.

— Po co tam idziemy? Tata i tak mówi, że kościół jest głupi. — Odwrócił się od witryny i spotkał piorunujący wzrok matki.

— Pójdziemy tam, czy ci się to podoba, czy...

— Na pewno nie pójdę bez tego — przerwał jej Liam, wskazując palcem na obiekt marzeń. Dopiero teraz przyjrzała się dokładniej.

Na wystawie sklepowej oparty o stojak stał arkusz z kolorowymi naklejkami. Sześć dziwnych postaci, jakby żywcem wyciętych z jednej z książek jej starszego syna. Popatrzyła gniewnym wzrokiem na chłopca, lecz ten, zaaferowany widokiem, znów wpatrywał się w szybę. Dała sobie spokój.

— Nie możemy tego kupić, jak będziemy wracać? — spytała błagalnie.

— Nie, chcę teraz.

Popatrzyła na zegarek. Westchnęła.

— Dobrze. Byle szybko.

I weszli do sklepu.

***

Liam od kilku dni zachowywał się, jakby był w transie. Wszędzie zabierał ze sobą swoje nowe naklejki. Wpatrywał się w potencjalne przestrzenie, jednak nigdzie nie mógł dostrzec dobrego miejsca. Gdy wychodził na dwór z kolegami, opowiadał tylko o nich. Kiedy trzymał arkusz w rękach, w jego oczach dało się zauważyć przepływający ogromny potencjał. Ale również niezdecydowanie.

Podobnie było przy obiedzie. Już wcześniej irytował rodziców, zabierając do talerza książkę lub komiks. Teraz podczas jedzenia wpatrywał się w te głupie naklejki. Ojciec, wcześnie emerytowany wojskowy, nie szczędził mu przy tym komentarzy, a matka wzruszała tylko rękami. „To jeszcze dziecko" — mówiła. „Ma swój świat".

Pomimo wszelkich domysłów prawda była zgoła inna.

Chłopca zaaferowało co innego — kilka liter na górnych krańcach kartki układało się w napis, który pobudzał wyobraźnię. Kraina Ta? Czym była? Nigdy wcześniej o niej nie słyszał. Pytał wszystkich, lecz nikt nic nie wiedział.

***

Duke Hauser siedział i uważnie obserwował Liama. Do niedawna, gdy siedzieli we dwóch, jego pan zwracał na niego większą uwagę. Rzucił piłkę, pogłaskał za uchem. Teraz leży i coś ogląda, i cichutko mówi do siebie. Na tyle cicho, że psi słuch ledwie ten sygnał odbierał. Zza drzwi dobiegło miarowe stukanie. Otworzyły się nagle, odrywając uwagę chłopca od naklejek. Wszedł jego starszy brat, Peter.

— Znów się bawisz tymi głupimi naklejkami?

— To nie są głupie naklejki. To cała historia — odpowiedział młodszy. — Lecz co ja ci będę opowiadał. Jesteś stary a głupi. Wracaj lepiej do swoich gier.

Peter zirytował się. Był gówniarz, a już zwłaszcza jego brat, nie będzie mu w ten sposób podskakiwał. Szybkim ruchem doskoczył do łóżka i wyrwał Liamowi arkusz. Za tym ruchem nie przemawiało nic poza czystą złośliwością.

— No i co mi teraz zrobisz? — powiedział Peter i uśmiechnął się szyderczo. Odkleił jedną z postaci i przykleił ją do głowy niczego niespodziewającego się psa.

— Hej, zostaw! To moje! — Liam poderwał się z łóżka. Wyczuwając napięcie, Duke rzucił się na nogę Petera. Chłopak kopnął psa, ale zębiska nie chciały puścić. Próbował się wyrwać, lecz im mocniej się szamotał, tym mocniej zwierzak zaciskał szczękę. Siła nie zdała się na nic.

— Duke, puszczaj mnie! Liam, zabierz ode mnie tego kundla!

Zamachnął się ręką w obronie. Trafił w nos. I poczuł ulgę.

Pies uciekł pod łóżko, wystawiając tylko swój łeb. Uszy położył wzdłuż w geście przerażenia. Na przemian machał łapami, chcąc zdrapać coś, co właśnie wplątało mu się w sierść. Bezskutecznie.

Liam podskoczył szybko, usiłując pomóc Duke'owi, lecz naklejka najwyraźniej nie miała ochoty rozstać się ze swoim nowym nosicielem. Jakkolwiek nie próbował, nie chciała oderwać się nawet na milimetr. Peter siedział, trzymając się za nogę.

— Zobacz, co zrobiłeś! Zobacz! — wykrzyczał Liam. — Lepiej już stąd idź, bo jak mama się dowie...

— To powiem, że twój pies mnie użarł!

— Panowie, co to za hałasy?! — Usłyszeli dobiegający z dołu głos ojca.

— Lepiej już idź.

***

Liam obudził się w środku nocy i od razu wsadził rękę pod łóżko. Duke nie wychodził stamtąd przez resztę wieczoru. Jego przerażenie dało się wyczuć w powietrzu. Mimo usilnych prób naklejki nie dało się oderwać od sierści. Każda kolejna zdawała się jeszcze bardziej wplątywać w gęste psie kudły.

Jednak Duke Hauser w końcu zasnął i chrapał, a chrapał tak głośno, że cały pokój wypełniony był donośnymi drganiami. O ile Duke faktycznie potrafił nieraz chrapać głośno, tak teraz było aż zbyt głośno.

Chłopiec próbował namierzyć go dłonią, lecz pies najwyraźniej leżał zbyt głęboko pod łóżkiem. Liam ziewnął, przeciągnął się i zapalił lampkę nocną.

— Duke?

Nie było żadnej reakcji. Miarowe odgłosy dalej wydobywały się spod materaca. Czasem były nieco cichsze, inne przypominały lekki gwizd.

— Duke? Chodź do mnie, jest już bezpiecznie.

Chłopak zszedł na dywan i kucnął, nachylając się nad drewnianą ramą. Teraz nie tylko słyszał, lecz nawet poczuł — oprócz dziwnego chrapania spod łóżka dobywał się również odór. Brudna sierść, trochę zgnilizny. Znów trzeba będzie sprzątać.

— Duke, nie wygłupiaj się, wstawaj.

Zajrzał w ciemność.

Pomimo słabego oświetlenia Liam wiedział, że to, co leży pod łóżkiem, na pewno nie jest Duke'em Hauserem. Kędzierzawe i bardziej sztywne futro, krótki pysk i dwa rogi wystające z czoła stwora...

Mlasnął kilka razy, przekręcając się na brzuch. Już nie chrapał. Teraz jego krótkie uszy zdawały się nasłuchiwać. Otworzył jedno ze ślepi. Okazało się wręcz nienaturalnie żółte, świecące i odbijające blask na podłogę.

Chłopiec odskoczył z przestrachem. Chciał uciec z pokoju, jednak stwór zmaterializował się za nim. Przednimi łapami złapał Liama w pas i szybko pociągnął na podłogę, zasłaniając usta ramieniem.

— Tylko spokojnie — wyszeptało monstrum. — Spokojnie, a nic ci nie zrobię. Teraz policzę do trzech i cię puszczę, a ty nie zaczniesz krzyczeć, dobrze? — Poczuł kiwanie głową. — Dobrze. Tak więc raz, dwa...

Na niewypowiedziane trzy chłopak wyrwał się. Stwór chciał go złapać, lecz ten — wbrew obawom stwora — krzyczeć nie zaczął. Cofnął się tylko o parę kroków i zmierzył gościa spojrzeniem.

— Ty... — powiedział Liam. — Kim ty jesteś? Widziałem cię już na naklejkach. Zdaje się, że nazywasz się...

— Geedis. — Stwór ukłonił się lekko.

Atmosfera w pomieszczeniu zrzedła. Pierwszy strach minął, a zastąpiła go ciekawość. Obie postacie przyglądały się sobie jeszcze dokładniej. Choć Geedis widział człowieka pierwszy raz w życiu, wiedział, że ma

do czynienia z dzieckiem. Lekko pucułowate policzki, niewydatna linia szczęki, nieco piskliwy ton głosu. I ta naiwność.

Liam również dopiero teraz mógł się przyjrzeć stworowi. Choć w istocie pokrywało go futro, twarz pozostawała gładka, poznaczona nielicznymi zmarszczkami. Nos bulwiasty, z wielkimi dziurami. Rogi wyrastające z boków głowy wyglądały zaś na spiłowane. Mimo że Geedis opierał się na czterech łapach, zdawało się, że nieźle trzyma równowagę też na dwóch. Ogromne przednie łapska zakończone były czterema palcami, w tym kciukiem. Dla chłopca był to widok obcy, lecz dziwnie znajomy. Tylko te żółte ślepia... Dało się w nich wyczuć jakąś pradawną cząstkę.

Ciszę przerwało krótkie chrząknięcie stwora. Chłopak pomachał głową, jakby budząc się z transu. Przypomniał sobie o czymś.

— Gdzie jest Duke Hauser? — spytał. — Zjadłeś go?

— Ach. Nie, widzisz... Gdzieżbym śmiał. Ten... Duke... On tak jakby oddał mi życie.

Liam posmutniał.

— To był mój najlepszy przyjaciel. Czy teraz ty nim będziesz?

Geedis uśmiechnął się czule, a raczej starał się, bo nieprzyzwyczajona do tej formy mimika wykrzywiła jego twarz w dziwnym, karykaturalnym grymasie.

— Ależ oczywiście. Duke na pewno by tego chciał.

***

Mijały dni. Liam i Geedis spędzali ze sobą dużo czasu. Choć chłopiec bał się przed sobą do tego przyznać, cieszyło go, że miejsce jego psa zajął gadający stwór. Pies to oczywiście wspaniały przyjaciel, jednak dopiero z Geedisem mógł tak naprawdę porozmawiać.

Stwór zadomowił się pod łóżkiem, w tajemnicy przed rodzicami. Psiej karmy odmówił, gdyż — jak to ujął — to jednak byłoby dla niego zbyt uwłaczające, lecz Liam co wieczór przynosił mu resztki z obiadu i kolacji. Rodzinie wytłumaczył, że Duke Hauser jest ciężko chory, po tym jak Peter przykleił mu naklejkę na głowę. Siedzi pod łóżkiem i nie chce wyjść, wymaga też specjalnej, nowej i bogatszej diety.

Rodzice uwierzyli. Nie dlatego, że byli łatwowierni, ale zwyczajnie dla spokoju. Nie mieli siły na kłótnie z chłopcem, który na ich dwa

słowa miał zawsze swoje cztery. Przez kilka dni, na pewno góra tydzień, ludzka dieta psu nie zaszkodzi. A i on na pewno się cieszył, jedząc dla odmiany coś innego niż te same chrupki.

Choć spędzali ze sobą dnie, to dopiero wieczory dawały im największą radość. Kiedy wszyscy chodzili spać, Liam zabierał Geedisa do salonu i razem oglądali telewizję. Stwór nie mógł się temu nadziwić — nie tylko dźwięk, ale i obrazki zamknięte w pudełku. Nowe historie, nowe opowieści. Może ten świat, choć ograniczony do kilku raptem ścian, wcale nie był taki zły.

***

— Geedisie? Czym właściwie jest Kraina Ta?

W jednej chwili zdało się, jakby ze stwora uciekły wszystkie siły. Twarz wyraźnie posmutniała, a oczy — do tej pory błyszczące wesoło — pobladły nieco. Przeżuł zimne udko kurczaka, które Liam przyniósł mu wcześniej. Zamyślił się. Nie było na to łatwej odpowiedzi.

— Skąd o niej wiesz? — spytał.

— To stamtąd pochodzisz? — Chłopiec niecierpliwie zignorował pytanie.

— Tak — zdawkowo odpowiedział Geedis. Poczuł nostalgię.

— Jaka ona jest? Jest kolorowa? Czy jest tam więcej stworów takich jak ty? Znasz Zoltana? Albo Harry'ego?

— Czekaj, czekaj, czekaj. Powoli. Wszystko ci powiem, ale twoja wiedza jest naprawdę imponująca. Jak się o tym dowiedziałeś?

— Stąd — odpowiedział chłopiec i wyciągnął przed siebie arkusz z naklejkami. Widniało na nim pięć postaci. Sześć, jeśli liczyć też ślad po brakującej. Zoltan, Harry, Iggy, Tokar, Erik. I Geedis.

— Zgaś światło — powiedział stwór. — To będzie długa opowieść.

***

Kraina Ta. Naprawdę nie wiem, jak ją opisać. Jest zielona, pomarańczowa... A może tak naprawdę niebieska. Jest tam tyle odcieni kolorów, że ciężko stwierdzić, który dominuje. Chociaż... Na pewno jest jasno. I żółto. Na naszym niebie za dnia świecą dwa słońca. Legenda mówi, że to dwie boginie, które pokłóciły się o pierwszeństwo na firmamencie. Ale to tylko legenda, tak przynajmniej powiadają.

Przede wszystkim Kraina Ta to mój dom. Kiedyś, jeszcze przed całym konfliktem, przez który musiałem stamtąd uciec, mieszkałem w wiosce z wieloma podobnymi do mnie. Choć — tak naprawdę — wcale nie jesteśmy kudłaci. Nie wiem czemu, ale to przemiana z twojego, jak ty to nazywasz, psa, dodała mi nieco sierści. Wszyscy za to mamy rogi, niektórzy naprawdę bardzo fantazyjne. Ich kształty i kolory przypominają to, co nazywacie fryzurami. Ja swoje spiłowuję, bo tak najwygodniej.

Przez wiele lat krainą rządziła Rimelda, patrolując granic na swoim czerwonym smoku. Prawdopodobnie była stara jak świat, choć nie znam nikogo, kto by jej nie pamiętał. Rimelda miała siostrę, zazdrosną Cecily. Ze swoim smoczym wężem czyhała tylko na tron, a po koronacji podobno jej wąż miał zmienić się w smoka.

Oprócz Rimeldy granic pilnowały Złote Golemy dowodzone przez jaszczurzych centurionów. Tokar, którego tu widzisz, to właśnie taki golem, a Erik — jeden z centurionów. W samych miastach i wsiach urzędowała straż. W mojej wsi jej kapitanem był Iggy.

Jedyną rzeczą, która nie znajdowała się pod władzą Rimeldy, były mosty. Jakieś pradawne prawo krainy mówiło, że mostami mają rządzić trolle. Harry'ego nawet kiedyś spotkałem, kiedy jechałem do stolicy... Niemiłosierny drań z niego. Jeśli chcesz przejechać przez most, zawsze musisz pamiętać, by wziąć ze sobą beczkę piwa. A jeśli chcesz wrócić — weź dwie.

Zoltana spotkałem raz. Należy do gwardii przybocznej naszej królowej. Nie chciał mnie wpuścić do zamku, ale trzeba przyznać, że wierny był. Nie chciałbym go spotkać na swojej drodze jako przeciwnika.

Przez wiele lat cała Kraina Ta żyła w harmonii i jako-tako utrzymywanym pokoju. Zdarzały się czasem bunty i wybryki, ale niewielkie. Prawdziwe zło podobno czaiło się dopiero za granicą. A tak... Pamiętam strumyk obok wioski. I rozłożyste drzewo, pod którym siedziałem, gdy nie było pracy. Piękne czasy...

***

— Geedisie — powiedział Liam — czy jest jakaś szansa, żebym i ja mógł ją zobaczyć?

Stwór zamyślił się i podrapał po głowie. Zapadło głębokie milczenie, przerywane co jakiś czas charknięciami. Myślał i gorączkował się.

— Myślę, że istnieje pewien sposób. Ale trzeba będzie zrobić psikusa twojemu bratu. Jesteś na to gotowy?

— Och, pewnie, Geedisie! Pewnie! On mi już niejednego psikusa zrobił.

— Dobrze — zgodził się Geedis. — Posłuchaj więc uważnie. Musisz wziąć tę naklejkę — wskazał na zielonego, skrzydlatego stwora — i nakleić mu na czoło, gdy będzie spał. Dasz radę?

***

Liama ze snu wyrwał przeciągły krzyk, dobiegający z pokoju naprzeciwko.

— HANK!!! Chodź tutaj! Henry!

Słychać było wyraźne kroki na schodach, niczym stąpnięcia słonia. Wspinały się coraz wyżej i zatrzymały zaraz przed drzwiami.

— Co się stało?

— Peter zniknął!

— CO?!

Widok, jaki zastali, choć nie przypominał makabry, budził grozę w ich sercu i ściskał żołądku. Pokój był pusty. Jedyny ruch, jaki dało się wyczuć, to lekki, poranny przeciąg i ruch firanki, równie lekko tańczącej na podmuchach wiatru.

— Hank... Dzwoń na policję.

***

Gdy usiedli do posiłku następnego dnia nikt nie był skory do rozmów. Puste krzesło przy stole zdawało się przykrywać wszystkich niewidzialną, tłumiącą kotarą. Co jakiś czas ktoś mruknął, jakby próbując coś powiedzieć, jednak wszelkie wysiłki, tak jak i myśli, uciekały bezpowrotnie. Słowa grzęzły w gardle.

— Romildo — pierwszy odezwał się ojciec. — Czy któryś z sąsiadów coś mówił? Coś słyszeli lub widzieli?

— Nic. Tylko syn Hendricksonów gadał, że widział w nocy na niebie jakiegoś zielonego, skrzydlatego stwora. Ale to ćpun, nie warto mu wierzyć.

Resztę posiłku spędzili w ciszy.

***

Pod wieczór Liam usiadł i przerysowywał postacie przedstawione na arkuszu z naklejkami. Zostały cztery. Leżąc pod łóżkiem, Geedis cichutko wygwizdywał melodie, które, jak mówił, pochodziły z jego wioski. Niektóre nuty budziły wesołość, inne znowu strach, lecz wszystkie miały w sobie obcy pierwiastek, jakby częstotliwość, w jakiej wygrywają, pochodziła z innego świata.

Po głośnej kłótni na dole do pokoju wpadł Henry. Pachniał Bourbonem i papierosami — pachniał tak zawsze wtedy, gdy w pracy spotykało go coś złego.

— W ogóle nie przejmujesz się poszukiwaniami Petera! — wykrzyczał ojciec. — Siedzisz tylko w pokoju z tym swoim kundlem! Gdzie on w ogóle jest?!

Liam mimowolnie spojrzał z obawą na łóżko. Mężczyzna podłapał jego wzrok i rzucił się z ręką pod mebel. Chłopiec nie zdążył zareagować. Szamotanina trwała zbyt krótko. Po niespełna kilku sekundach ojciec wyciągnął zranioną dłoń.

— Głupi kundel! — rzucił na odchodne.

Gdy tylko wyszedł, stwór wychylił głowę spod łóżka.

— Liam? — Geedis ocierał rękami twarz z krwi. — Gdzie w okolicy najlepiej jest się ukryć?

— W Górach Skalistych. A co?

— Muszę uciekać. Jeśli chcesz, zabiorę cię ze sobą.

— A co z rodzicami? Przecież będą się martwić...

— Ich zostaw mnie. Przyjdź o północy do salonu. Na razie się połóż i postaraj odpocząć. To będzie długa noc. To musi stać się dzisiaj, Liamie.

***

Gdy zegar wybił północ, Liam zszedł do salonu. Rozpłakał się. Czerwona kałuża wokół jego stóp powiększała się. Obraz, jaki rozpościerał się na środku salonu, wyglądał niczym wyjęty z horroru. Zmasakrowane twarze i ciała. Wyraźne ślady po pazurach, niektóre wychodzące na drugą stronę. Chłopiec nie mógł powstrzymać emocji. Płakał, a łzy skapywały na podłogę mieszając się z krwią.

— Chodź, Liam. Ruszajmy. Musimy dotrzeć do gór przed zmrokiem.

— Ale... Geedisie... Ty... ty ich zabiłeś... Moich rodziców...

— Porozmawiamy o tym później. Teraz chodźmy...

— Nie! — przerwał mu Liam. — Nigdzie nie idę! Jesteś potworem. Potworem!

Geedis w jednej chwili posępniał. Cała jego sierść najeżyła się, a żółte oczy zabłysnęły złowrogo.

— Zatem nie pozostawiasz mi wyboru.

Stwór podniósł arkusz naklejek, wyrwał jedną i przykleił chłopcu do czoła. Ten padł, wijąc się w spazmach. Ból, jaki w tym momencie odczuwał, zdawał się bólem absolutnym. Całe ciało rozrywane było na setki milionów kawałeczków. Czuł, że traci kształt.

Przez moment nie działo się już nic, jednak po chwili bezkształtna masa zaczęła się podnosić z podłogi. Słychać było dźwięki wciąż łamanych i w dziwny sposób zrastających się kości. Oprócz dźwięków pojawił się też zapach — mieszanina siarki i węgla. Skóra zmieniła kolor na niebieski. Buty leżały podarte gdzieś obok, a w miejsce ludzkich stóp wyrosły szponiaste palce.

— Geedis? Geedis, czy to ty?

Bestia stanęła na krótkich nogach. Strzępki ubrań zawieszone u szyi przeobraziły się w metalowy pancerz. Stwór zastrzygł podłużnymi uszami. Żółte ślepia otworzyły się, skupiając zamglony wzrok.

— Geedis? Prawie cię nie poznałem przez te kłaki. — Rozejrzał się. — Gdzie my jesteśmy?

— To długa historia, Iggy. Chodź, musimy ruszać i odszukać innych.

— Uwolniłeś ich? Oszalałeś?!

— Tylko Zoltana. Część jest tutaj — odparł Geedis, wyciągając do góry łapę ściskającą arkusz z pozostałymi naklejkami. — Nie mam pojęcia, gdzie jest reszta.

Iggy zachwiał się.

— Gdyby Rimelda się dowiedziała...

— Ale nic nie wie. Ruszajmy. Nie ma czasu do stracenia.

ELA GRAF

WIERSZE

Raz pewna pani w peruce
[bo pod peruką jest łysa]
sprzedała swoje dwa kuce
i zakupiła Geedisa.

Geedis — stworzenie włochate,
z długim i sprawnym językiem,
lubi zieloną herbatę
i orientalną muzykę.

W tanich wierszykach tak bywa,
że nie uroda się liczy;
Pani jest bardzo szczęśliwa
z potworem pełnym słodyczy

Gdy go nakarmi, napoi,
włochatą klatę popieści,
on morin chuura nastroi
i będzie snuł opowieści.

***

Harry z Ta, troglodyta,
co książek żadnych nie czyta,
zabawia się orłowężem
i macha nim jak orężem.
Cóż za okropny bandyta!

BARTŁOMIEJ DZIK

ROMANS PARANORMALNY

Włochaty Geedis z Ta-krainy
miał romans do smoczej dziewczyny:
ach!, co to za przygoda,
powiem wam tylko — szkoda,
że nie widzieliście Zoltana miny...



Ilustracja: Bartłomiej Dzik

MARCIN KUDŁA

TYLKO DLA WĄRŁÓW

Poranek był nadzwyczaj rześki, a mech wciąż pokrywała rosa. Pierwsze promienie słońca przebiły się przez gęste gałęzie drzew i trafiły na złotą zbroję Tokara. Nie spał. Czuwał. Przyglądał się, jak na końcu liścia zbiera się kropla, by nieuchronnie spaść i zniknąć w głębi runa leśnego. Ciszę, która przenikała głuszę, przerwał dopiero leżący obok zbrojnego czworonożny stworek przypominający zmięty kłębek futra. Chrapnął tak głośno, że aż sam wybudził się ze snu. Ziewnął, tylną łapą podrapał się za uchem jak pies, po czym polizaną na szybko przednią zaczesał futro. Mrugnął kilka razy i uniósł głowę.

— Zimno tu strasznie — zauważył.

— Zaczniesz się ruszać, to będzie ci cieplej — odparł metaliczny głos. — Świtało już. Wstawaj.

— Gdyby ta elfia lampucera nie przekierowała ciepłych źródeł, w całej krainie wciąż byłoby ciepło. Mógłbym grzać kuper w norce i wcinać najdorodniejsze glebacze...

— To była decyzja Jej Królewskiej Mości dla dobra całej Krainy Ta i jej mieszkańców.

— ...najdorodniejsze! Mówię ci! Takie z kręconymi ogonkami. — Geedis podniósł się i stanął na czterech łapach, lekko się zachwiał, stęknął i kontynuował: — W krainie było bardzo dobrze, dopóki Rimelda nie postanowiła ukryć całego Ta w trosce o bezpieczeństwo. Cecily tylko na to czekała.

— Zasłona jest fundamentem bezpieczeństwa, dzięki niej utrzymujemy dobrobyt — wyrecytował Tokar.

— Od prawie pół wieku utrzymujemy dobrobyt... dla samej królowej. A co z mieszkańcami? Odkąd Zoltan zszedł z wieży, obchodzimy te granice co tydzień. A każdy wygląda tak samo. Tylko wyjątkowo kostkę skręciłem, łażąc tu teraz z tobą.

— Ja nie narzekam, każdego dnia lśnię, a zawiasy mi nie rdzewieją ani nie skrzypią. — Tokar wstał i wyprostował ręce, zawiasy faktycznie nie skrzypiały. — Zresztą nie do nas należy decyzja. Gotów?

— Tak, szybciej ruszymy, szybciej wrócimy. Już wiem, że na kolację przygotuję sobie pieczonego wąrła. W kremowym sosie z furfli albo kandyzowanych gażyli.

— Nie wiem, jak ty możesz jadać takie świństwa. Oczy już masz żółte, brzuch ci rośnie.

Geedis zamrugał nerwowo. Łapką ugniótł fałdę na brzuchu, po czym starannie uklepał na niej futro.

— Dobry wążeł nie jest zły, lepszy niż smoczaki w occie — skonstatował. — Może znajdziemy jakieś przy zasłonie.

— Obchód nie służy zbieraniu smoczaków. Mamy upewnić się, że zasłona jest cała i że orłanie nie budują obozów zbyt blisko. — Chwilę zastanowił się, czy niczego nie pominął. — Na pewno nie przyszliśmy tu, by rozglądać się za przysmakami. Chodźmy.

Ruszyli więc w ciszy przeplatanej szemraniem liści i chrupnięć gałązek, gdy przedzierali się przez gęstwinę. Przystawali co jakiś czas, nasłuchując, oglądając korę, kamienie, krzewinki i mszaki. Geedis stawał wtedy na dwóch łapach i głęboko zaciągał się powietrzem, szukając obcych zapachów, po czym kontynuowali marsz. Im bardziej zbliżali się do krawędzi, gdzie wzniesiono przesłonę, tym niebo stawało się bardziej szare.

— Nie tęsknisz za podróżami? — zapytał Geedis. — Za poznawaniem niestworzonych krain poza Ta?

— Dość dziwów mamy tutaj. Przyjrzyj się na przykład tym murszakom. Fascynuje mnie, jak drążą skały, by w nich później zamieszkać. Cóż więc takiego niesamowitego mogłoby być poza granicami Ta?

— Nie wiem, nowe ludy, nowe smaki. — Geedis oblizał wargi. Ta myśl ewidentnie utrzymała się w jego głowie trochę dłużej. — Może odnalazłbyś inne konstrukty, nowe życie wśród swoich.

— Geedisie, skąd przekonanie, że poza przesłoną istnieją inne konstrukty? — Tokar spojrzał na Geedisa. — Ta to kraina dziwolągów, które nigdzie nie mogły znaleźć sobie miejsca. Pasuję tu idealnie, mimo że nawet nikt nie widział kogoś choćby trochę podobnego do mnie. Być może jestem jedynym z mego rodzaju, zagubionym odmieńcem, który powstał i trwa tylko dzięki magii. Dzięki królowej mam tu odpowiedzialne zajęcie, powołanie. Tu dbam o dobrobyt. O to, by ta ziemia — schylił się, by dotknąć gleby — i to niebo... — Wyciągnął rękę, spojrzał na niebo i urwał w pół zdania. — Geed, widzisz to?

Geedis położył płasko uszy i przymrużył oczy, wpatrując się w niebo. Błękit raz za razem spowijała różowa łuna, wpadała w fiolet, po czym płynnie wracała do niebieskiego.

— Światła. Na krawędzi. Jak przy czarodziejskich sztuczkach z pokazów Astrid i Amneris.

— To nie błyskokliki. To zasłona… prędko.

Geedis kuśtykał lekko, ale przyspieszyli kroku. Gdy dotarli na brzeg lasu, tam, gdzie zasłona przekrywała Krainy Ta przed niepożądanym wzrokiem, zamarli ze strachu. Zwykle przesłona jedynie delikatnie falowała energią, a poza tym była niemal niedostrzegalna. Niczym niewidzialny mur odbijała dźwięki z każdej strony. Podobno z zewnątrz nie było też widać wnętrza Ta. Wszędzie tam, gdzie stała przesłona, zwierzęta i ludzie zbliżający się do niej odczuwali przeszywający chłód, jakiś wiszący niepokój, które sprawiały, że szybko i nieświadomie decydowali się, by odwrócić wzrok, pójść w inną stronę, a uwagę poświęcić czemuś innemu. Ale teraz przesłona była rozdarta w wielu miejscach jakby cięciami pazurów lub wielkich kłów. Przez rozdarcia ziejące niczym potworne paszcze wypełnione głodną pustką uciekało powietrze, zostawiając smugi zabielonej pary. Tokar i Geedis czuli, jakby stali w przeciągu, który wysysał tętniące życiem ciepło Krain Ta, w zamian oferując tylko grobowy chłód.

— Widziałem już wiele draśnięć zasłony, drobnych otworów wyskrobanych przez zwierzęta lub kamienie ciśnięte przez wiatr — zaczął Tokar. — Ale zasłona zawsze się zrastała.

— Tym razem nie są to drobne uszkodzenia. Spójrz tam.

W miejscu wskazanym przez Geedisa przesłona była rozerwana jak rozdarta kartka, od ziemi aż po szczyt koron najwyższych drzew. Wyrwa w szybkim tempie zasysała powietrze.

Po drugiej stronie zaś widok był jeszcze bardziej przerażający. Za zasłoną, na wzgórzu, niczym zęby w koronie, ciągnął się szereg kilku żółtych krępych mechanicznych bestii. Wszystkie siedziały przykucnięte na ziemi, z wydatnym garbem uformowanym z pożółkłych kości poszytych przeźroczystą błoną, za którą zasiadali jeźdźcy. Z podstawy garba wychodziły pozginane żylaste szyje zakończone zębatymi paszczami rozwartymi jak chochle. Bestie kręciły się w miejscu, rytmicznie zginały szyje, węsząc przy ziemi, gryzły kamienie i wypluwały je na bok. Gryzły też zasłonę, zębiskami szarpiąc ją i drapiąc. A zasłona

przy każdym ataku jęczała cichym, przeciągłym, wytłumionym dźwiękiem przypominającym konające zwierzę w potrzasku. Geedis stał w osłupieniu i przypatrywał się bestiom z niezdrowym zaciekawieniem.

— Na Stefana Smokobija! Mechaniczne smoki! — krzyknął Tokar.

— Zasłona nie wytrzyma — zauważył Geedis. — Jak będą ją gryzły w tym tempie, do wieczora pęknie i rozerwie się zupełnie. A wtedy nici z dobrobytu. Nici z marzeń o wolności. Musimy natychmiast powiadomić Rimeldę, niech wezwie Sybil i Iggy'ego.

— Nie zdążymy, do pałacu jest pół dnia drogi, a ty masz skręconą kostkę. We dwójkę bestii nie pokonamy, więc musimy załatać przesłonę.

Geedis dotknął przesłony, a ta zafalowała pod jego łapą. Przesunął palcami po jej powierzchni.

— Od tej strony nie da rady, rozdarcie jest po drugiej stronie. To tam trzeba zaciągnąć poły i je zasklepić.

— Ryzykowne. Nie wiesz, czy się uda...

— Ja zasklepię zasłonę od zewnątrz. Ty biegnij do pałacu, musimy niezwłocznie powiadomić królową. Daj spinkę przesłony. To powinno zapewnić nam trochę czasu. Wrócę do was, jak tylko się uspokoi.

Tokar zawahał się chwilę, po czym wręczył towarzyszowi malutką spinkę. Stał jeszcze przez chwilę i patrzył, jak Geedis zbliża się do przesłony. A potem jak jego obraz mętniał, gdy przez nią przechodził. Po czym biegiem pognał do pałacu.

***

Geedis wziął spinkę do pyska, po czym przełożył łapkę przez rozdarcie. Było zimno. Dużo zimniej niż o poranku. W końcu zdecydował się dać drugi krok. Powietrze targało jego futrem, a wiatr ciął na tyle mocno, że z trudem mógł otworzyć oczy. Całun chłodu otulał go coraz ciaśniej. Ostrożnie stawiał kolejne kroki, czując oszronioną trawę pod łapami. Po kilku krokach nosem uderzył o coś twardego tak mocno, że aż otworzył oczy. Stał pod cielskiem jednej z bestii. Ta warczała złowieszczo, gryząc skały, i zdawała się nie zwracać uwagi na niewielkiego futrzaka u jej stóp. Geedis wyciągnął spinkę z ust, ponownie zamknął oczy i przełamał spinkę w łapkach. Przez chwilę nic się nie działo, świat zastygł w bezruchu, wszystko ucichło. Po czym huknęło.

***

Rimelda siedziała przy drewnianym stole na rozległym tarasie swojej komnaty. Cały stół zawalony był mechanicznymi częściami, poza większymi elementami leżały tam różnej wielkości sprężyny, rurki, śruby i koła zębate. Rimelda postawiła jedno z nich w pionie, utrzymując je palcem, po czym paznokciem pstryknęła w bok zębatki. Ta zaczęła się kręcić w miejscu wokół własnej osi, powoli zwalniając. W końcu opadła na stół z metalicznym grzechotem.

— Wasza wysokość?— zapytał głos. Królowa podniosła głowę znad stołu, by spojrzeć na stojącą w progu elfkę.

— Cecylio, założyłabyś chociaż tunikę, a nie biegasz po pałacu w samej bieliźnie. Rozmawiałaś z Sybil?

— Tak, jeśli to, co mówi Tokar jest prawdą, a te dziwne błyski na niebie zdają się to potwierdzać, nie mamy dużo czasu. Sybil wzmocni przesłonę, ale twierdzi, że jeśli bestie ponowią atak, czary utrzymają się przez rok, może dwa lata. Geedis wciąż nie wrócił, musiał więc utknąć po drugiej stronie.

— Jeśli odnajdą Geedisa, odnajdą i Ta — podsumowała Rimelda.

— A potem nic nie będzie już takie jak dawniej. Musimy się przygotować. Ta wkrótce wróci na mapy świata.

***

— Tom, to beznadziejny grunt, strasznie ciężko tu kopać. Maszyny co chwilę się przegrzewają lub psują — oznajmił mężczyzna. — Jak rano huknęło, myślałem, że natrafiliśmy na jakiś niewypał. — Mężczyzna usiadł na brzegu ławy przy stole.

— Maszyny są ubezpieczone, a nam płacą godziwie i na czas, więc nie marudź i wracaj do pracy. A przy okazji sprawdź, co się stało z piątką, znowu chyba natrafiła na skałę.

— Uszkodzona turbina — wyjaśnił. — Koc się wkręcił.

— Jak to koc? Skąd?

— No koc. Futrzany taki. Nie wiem skąd, przyniosłem go, żebyś zobaczył. Może zieloni znowu sabotują wykopy.

— Magicznie się tu nie pojawił, ale to nie zieloni. Dostali sponsoring, by znowu oprotestować elektrownię. Poza tym to nie w ich stylu, to prawdziwe futro.

— To kto inny miałby je tu zostawić?

— Ćpuni. Przychodzą tu w weekend, gdy ekipa wraca do miasta. Ten kocyk widział pewnie więcej koksu niż piec kaflowy. Lepiej go zostaw, bo jak się owiniesz i zaciągniesz, będziesz widział latające wróżki — zażartował. — Łupiny orzechów po wiewiórkach też podnosisz?

— No nie, ale to vintage. Nie kupisz teraz takiego, na pewno jest coś wart. W najgorszym razie dam go Betty dla psów.

— Sam, jak masz pomysł, co z nim zrobić, to go zabierz, jak nie, to wyrzuć. Nie może się tak tu walać, na pewno nie przy moim stole. Dzisiaj lejemy fundamenty, a pan Dennison nie znosi opóźnień. Po prostu wracaj do pracy.

Mężczyzna poprawił kask na głowie. Uniósł kciuk w górę. Betoniarka z sykiem zatrzymała się między koparkami przy krawędzi dołu.

Gdzieś w oddali silny wiatr przegonił chmury nad granią, a potem zmierzwił korony drzew. Ptaki wzbiły się w powietrze. Daleko w tle niebo przecięła biała smuga, a z czasem usłyszeć można było też towarzyszący jej ryk silników samolotu. Zwiastował zmianę.

KIMŻE, DO KROĆSET, JEST KIETZMAN?

Nazywam się Geedis Czerwonooki, zwany Trąbonosym. Wielem lat służył wiernie Królowi Naszemu, Trzydziestemu Szóstemu Tego Miana, Panu Udzielnemu i Suwerenowi Krainy Ta. Com widział i czegom w tej służbie dokonał, o tem insze stanowią pisma, a nie ma w nich kłamstwa. Lecz najdziwniejszą żem rzecz doświadczył u schyłku życia mego, zaś jest to historia niewiarygodna a sensacyjna, co opisuję w niniejszym zwoju.

A nie ma w tym kłamstwa.

Rzecz działa się roku onego przeklętego, zwanego Rokiem Zarazy Pierwszym, kiedy Krainę Ta nawiedziła zaraza powietrzna, co wszelkich mieszkańców dusiła bez wyjątku i bez względu na stan ich, majętność czy społeczną pozycję i umocowanie. Służył żem już wtedy w Miejskim Archiwum Pism Dawnych Krainy Ta w mieście królewskim wielkim a słynnym Kriegessage, co stolicą jest naszej Krainy.

Zawezwał był mnie do siebie ranka pewnego ciemnego a mglistego i wilgotnego, jak bywają jedynie poranki nad brzegami stołecznemi, Arcyarchiwmistrz Pism Dawnych słynny a pokorny Królowi Benis Magnus zwany Kudłatym, i oto, co mi okazał.

W toku poszukiwań wśród zwojów starożytnych zakurzonych jeden z pomniejszych Archiwmistrzów znalazł był rycinę niezwykłą, co przedstawiała istotę zgoła niecodzienną. Na rycinie owej stwór zaprezentowany został w pozie wypoczynkowej, spokojnej. Z fizjognomii podobien był do Stefana, bohatera wielkiego Krainy Ta, lecz brody ni wąsów sumiastych jako tamten nie miał. Nasunęło mi się to stwierdzenie, iż bardziej podobien jest ów na rycinie wyobrażony stwór do Radona, jako że i spojrzenie podobne ku niemu miał, a to nie radosne wcale, lecz też i nie — jako tamten zwykle miewiał — zagniewane. Bardziej wyglądało na to, że jest owa istota jakowymś mędrcem czy też myślicielem, miała bowiem powieki przymknięte, jakby świata zwyczaje a dziwy kontemplując.

Nie było jednak sposób ze wzroku jego nic wyczytać, przed oczami bowiem stwór miał szkła dwa przemyślnie umieszczone, a to podobne dnom od butelek, co się w nich na dworze Króla Naszego Jegomości krzepiące piwo podawa, a to już przypominające szkła, co je archiwiści wyzyskują, gdy jakie pismo zbyt małym uczynione jest karakterem, by je swobodnie się dało odczytać.

Wyraz ust owej istoty również nieodgadnion był, ani bowiem uśmiechu, ani grymasu bitewnego na nich nie szło odczytać, jedynie dziwne jakieś zamyślenie również. Z tegom właśnie wniósł, że może być na owej tajemniczej iluminacji, co mi ją Arcyarchiwmistrz ukazał, został w wielkim zaufaniu swoim upodobniony jakowyś z wieków dawnych filozof, albo też myśliciel wielki. Co okazało się prawdą, lecz o tem w dalszej części niniejszego zwoju opisane będzie.

Podpis pod ryciną ową lakoniczny był, a mówił jedynie „Kietzman".

Czymże lub kimże ów „Kieztman" nam nieznany był, tego ni najstarszy z nas wiekiem, rangą, a i wiedzą w służbie królewskiej poświęconą, ani też ja, Geedis Czerwonooki, ani żaden z pomniejszych do rady wspólnej wezwanych Archiwmistrzów, ani sam fortunny młodzian, co rycinę w archiwach odnalazł, nie wiedzieliśmy.

Nie było dotąd w księgach, ni w zwojach starych, ni pośród kart zakurzonych, albo też na iluminowanych tablicach, jakie gromadzi się, aby całą wiedzę i mądrość ludu przesławnego naszej ukochanej Krainy Ta dla potomności zachować, wzmianki nijakiej o żadnych kietzmanach czy też Kietzmanach. Nieznany był ród osobnika owego, ni jego społeczna pozycja, ani też zawód, któregośmy jedynie domniemywać mogli z badania wnikliwego a czujnego, jakieśmy nad ryciną odbyli w liczbie mnogiej, zebrawszy się w refektarzu, gdzie światło słońca popołudniami wyzłaca stoły, a regały gęsto obciążone wiedzą i skarbami mądrości dawnych lat.

Rozesłaliśmy kopie ryciny wraz z zapytaniem do archiwów miejskich całej wielkiej a przesławnej Krainy Ta, lecz mijały księżyce, a nikt nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie: kimże, do krocset, jest Kietzman?

Aż wreszcie nastąpił przełom w badaniach i poszukiwaniach naszych pewien, ważny, bo choć wyjaśnienia z początku nie przyniósł, a jedynie sprawy bardziej zagmatwał, to jednak światło nowe na sprawę tajemną rzucił. Oto odnalazła się na północy najdalszej księga, dziwnym, drobnym pismem uczyniona, na kartach białych jak śnieg z południowych

równin, a czarnym jak serca tych, co nie miłują majestatu Króla Naszego Wspaniałego. Pismo owo karakterem swoim nie przypominało niczego, cośmy znali, lecz stary naukowiec, co w pieczy miał swej czujnej a uważnej zbiory tamtejsze, doszukał się w owej księdze ryciny inszej jeszcze, co Kietzmana bądź kietzmany różne przedstawiała. Z ciała, owszem, podobni byli bohaterowi lat dawnych Radonowi, aczkolwiek ubiory mieli cudzoziemskie, jakich w Krainie Ta nie widywano. Grupa ich była przedstawiona i znać było, że osobnik z pierwszej ryciny kimś znacznym być musi, albowiem siedział on, obok niego zaś siedziała niewiasta, co poznać po tem szło, iż damskie miała piersi, choć pewnymi być nie mogliśmy, albowiem pod odzieniem skryte były na modłę inszą, a niepojętą. Przypominała ona damę wielką a waleczną Cecily, lecz skrzydeł pozbawiona była, jako i Kietzman rzeczony.

Dwoje onych więc siedziało, obok zaś inszy stali, co znak widomy stanowiło, że są kietzmany wysokiego rodu, reszta zaś — ze sług bądź też z plebsu się wywodzi. Księga owa, tak dowodził nam w liście swem mistrz, co był ją ofiarnie odnalazł a niezwłocznie pocztą smoczą dostarczył, zwała się z cudzoziemska „Gottesaffen". Był to język nikomu nieznany, chociaż brzmienie jego przypominało mowę ludu, co przed nami zamieszkiwał obecne ziemie Krainy Ta, a z którego mowy wywodzi się nazwa naszej przesławnej a przepięknej stolicy. Mówił uczony ów, że wykłada się to jako boskie małpy, lecz czym owe małpy były, a jakiemu z bogów naszych służyć by miały, to pozostało poza zasięgiem naszego poznania, wiedzy naszej, a i też naszego pojęcia. Sugerował jeden z Archiwistów, co bestiami się para, że małpy owe to mityczne monke, co dzień cały na ogonach na drzewach wiszą, nie siejąc, nie orząc, aleć to przecież bajdy są dla dzieci, a i też kietzmany zaprezentowane żadnych bestii takich nie przypominały, musiała więc tutaj pomyłka być.

Z księgi owej — dowodził nam w liście swem uczony ony — wynika niezbicie, że jest ów Kietzman — doszliśmy bowiem do porozumienia ostatecznie, iż należy go tytułować tem imieniem, nie jest to natomiast nazwa grupy istot, co jemu podobne, te bowiem ochrzciliśmy „małpami", a zwać zwykniemy na co dzień affenami, to słowo bowiem milej brzmi naszym uszom — jest więc rzeczon „tłumaczem".

Wiele słońc i wiele księżyców strawiliśmy, radząc, czymże „tłumacz" miałby się zajmować, alebowiem funkcji takiej ani określenia archiwiści

nasi prześwietni nie znają, a i nie natrafiliśmy na nie w księgach żadnych ni to dawnych, ni też najdawniejszych, o współczesnych nie pomnąc nawet. To jednak wywiódł z analizy filozoficznej a uczonej Arcyarchiwmistrz nas Benis Magnus zwany Kudłatym, że naukowiec taki — a że Kietzman naukowcem był, tośmy wywiedli z onych szkieł, co miał przed oczy przemyślnie ubrane, oraz ze spojrzenia jego — zajmować się musi objaśnianiem świata. Tłumaczeniem onego, w sposób niezbicie natomiast naukowy. Co zaś doprowadziło nas do uznania, że musiał on być mędrcem wielkim a przedwiecznym, któren w służbie króla, co tu przed Królem Naszym, Tego Miana Trzydziestym Szóstym, na ziemiach należących do prześwietnej a wspaniałej Krainy Ta rządzić musiał w czasie, o którym historia zapomniała była.

Tak też wciągnęliśmy Kietzmana Tłumacza w poczet uczonych a mędrców znamienitych, co o rozwój nauki dbali, mądrość wieków zachowywali, a przystępną ją i maluczkim zdatną czynili, aby wszystkim żyło się lepiej pod niebem niebieskim wśród gór strzelistych, borów szumiących a potoków wartkich.

Tak to było ze znaleziskiem tajemnym, com je objaśniać pomógł, a nie ma w tym raporcie kłamstwa żadnego, za czem zaświadczam swoim autorytetem osobiście ja, Geedis Czerwonooki, Trąbonosym zwany, Arcyarchiwmistrz Archiwum Miejskiego miasta stołecznego Kriegessage, stolicy prześwietnej Krainy Ta.

Taka prawda jest o Kietzmanie wielkiego rodu, mędrcu uczonym, co w wiekach dawnych światło wiedzy między ludy niósł, a nie zapomnimy go nigdy. Com odkrył wespół z innymi Drugiego Roku Zarazy Powietrznej, co siłę poddanych Króla Naszego wydusiła bezlitośnie gorzej niźli mrozy południowych równin.

Spisano własną dłonią Dwunastego Roku od narodzin Delfina Królewskiego Trzydziestego Siódmego w pieczy dla prawdy i pamięci.

MARCIN PODLEWSKI

WESOŁYCH ŚWIĄT, PANIE GEEDIS!

Geedis nie przepadał za numerem siódmym.

Blok mieścił się przy ulicy Polinezyjskiej, nieopodal wciąż czynnej galerii KEN CENTER, i jako taki nie różnił się zbytnio od innych ursynowskich bloków. Szary i wysoki, przypominał mu nieco niezdobyte monolity Zoltana, do których wybrali się kiedyś z cybernetycznym Tokarem. Historia skończyła się jak zwykle: dumną bijatyką zapisaną złotymi zgłoskami w annałach Krainy Ta. I tu było w sumie podobnie... gdyby nie fakt, że z okien bloku nie zleciały na niego kamienne, zoltańskie małpy dowodzone przez złowrogiego Iggy'ego, a reklamówka z nieczystościami. Cóż... to było znacznie gorsze od zaklęcia „spierdalaj, kurwa!", którym go zwykle atakowano.

Nic dziwnego, że nie lubił zapuszczać się w te okolice, i pewnie by tego nie zrobił, gdyby nie Ministerstwo Zapomogi.

Był koniec grudnia, nadszedł czas Wigilii Bożego Narodzenia. Tuż obok szarego bloku z filią MZ ustawiono wielką, obwieszoną lampkami choinkę. Budynek mieścił się tuż obok stacji metra, jak ludzie nazywali pędzącego w katakumbach królestwa Ursynów metalowego potwora. Podobno niegdyś był to zamek zwany ratuszem, ale ostatnie rozporządzenie w sprawie OMZL, czyli Ofiar Międzynarodowego Zderzacza Liniowego, nakazało otwarcie filii MZ w — jak dowiedział się Geedis — budynkach urzędowych podpadających pod daną gminę.

Jeszcze tylko kilka kroków... Tu był w miarę bezpieczny. Przechodząc przez ulicę Indiry Gandhi, skulił się odruchowo, usiłując skryć swój drażniący wygląd w zdobytym dzięki datkom trenczu. Pół biedy, kiedy ludzie brali go za owłosionego, drepczącego na dwóch nogach świniaka. Gorzej, gdy tydzień temu przylgnęło do niego określenie „diabeł", będący — jak zdążył się zorientować — złowrogim stworzeniem namawiającym ludzi do postępowania zgodnie z ich naturą biologiczną. Przez jakiś czas zastanawiał się, czemu akurat chodziło o tego, a nie o innego stwora, dopóki nie dokopał się informacji na temat wyglądu

owego „diabła". Istota miała rogi i żółte oczy, podobnie jak Geedis — na tym jednak podobieństwo się kończyło. Brakowało mu choćby kopyt czy nietoperzowych skrzydeł. Diabeł, jak uznał Geedis, najbardziej przypominał nie jego, a zielonoskórego Zoltana. Ale Zoltan nie pojawił się na Ziemi... lub Geedis nic o tym nie wiedział.

Do budynku wchodziło się przez szklane drzwi, które Geedis traktował ze zrozumiałą pogardą. Szkło, produkowane przez alchemików Krainy Ta, wstawiano co najwyżej do zamkowych okien i żaden szanujący się władca nie zrobiłby z nich bramy do swojej siedziby. To był wszakże inny, dziwaczny świat — świat kamiennych, blokowych wież, latarń przypominających Słupy Śmierci Krainy Ta i zimnych, nienormalnie płaskich dróg, po których pędziły bezkonne, śmierdzące powozy. Stale tu też cuchnęło, choć stanowiło to najmniejszy problem — najgorsi byli pachnący, nienaturalnie czyści mieszkańcy egzystujący na tym przygnębiającym śmietnisku. Zoltan, stwierdził z przekąsem Geedis. Zoltanowi z pewnością by się tu podobało.

W korytarzu jak zwykle były tłumy — tym bardziej, że z uwagi na Wigilię zamykano wcześniej. Cały parter przeznaczono do obsługi OMZL i nauczony doświadczeniem Geedis szybko przecisnął się do szarego, magicznego kloca wypluwającego numerki. Widniejące na nim hieroglify, jak i język, znał świetnie — jedyna, niezrozumiała zaleta Ofiar Międzynarodowego Zderzacza Liniowego, na temat której napisano już wiele prac i która to kwestia od miesięcy zajmowała środowiska magiczne... to znaczy naukowe Ziemi. W całej tej nienormalnej sytuacji znajomość języka — i to zależna od obszaru geograficznego deportowanych — budziła największe kontrowersje, wokół których prym wiodły teorie „multiświatowej adaptacji", „kwantowej plastyczności" lub — i ta teoria podobała się Geedisowi najbardziej — „bo komuś tak było wygodnie".

Język językiem — czym innym było wszakże jego opanowanie, a czym innym zrozumienie realiów tego świata. Ponad połowa znajdujących się w filii Ministerstwa Zapomogi istot nie wpadła nawet na to, by skorzystać z magicznego kloca, i Geedisowi udało się zdobyć numerek trzynasty. Patrząc czujnie na obsługujące okienka, z cichym stęknięciem wgramolił się na plastikowe krzesło tuż obok... zaraz, czy to możliwe?!

— Harry! — chrumknął w szoku, niemal przechodząc w bojowy pisk.

— To ty? Harry!

Jego sąsiad, karłowaty stwór, odwrócił się z wyraźnym niesmakiem i Geedis cofnął się odruchowo. Niestety, nie był to Harry — stary towarzysz wielu przygód, ceniący okowitę mruk i władca Leśnych Węży — choć podobieństwo było spore. Ten miał wszakże brodę, a w dłoniach miętosił czapkę.

— Glod Glodsson — przedstawił się. — Muzyk, krasnolud.

— Skąd?

— Świat Dysku. Wielki dysk, żółwie... Kojarzy pan? Może...

— A to przepraszam... — speszył się Geedis, szybko odwracając wzrok. To było najgorsze, jeśli chodziło o OMZL — każdy z zaczepionych najpierw zaczynał opowiadać o swoim świecie, by następnie przejść do nużących pytań. Miała na imię Alicja, jest w towarzystwie kota albo głowy kota. Nosi topór, jest niski, ma brodę, nie lubi, jak się nim rzuca. Błękitne oczy, gada o piaskowych robakach, uzależnienie narkotykowe. Ubrany jak cyrulik... podobno wampir, ale nie pije. Mała, bardzo blada, wciąż bredzi o „transkrypcie mikromacierzy". I tak dalej. I potem niekończące się pytania: czy na pewno nie widziałeś, czy się nie natknąłeś, może obiło ci się o uszy? Z początku Geedis był taki sam i także zamęczał pytaniami. Ludzi nie było sensu zaczepiać — ich nastawienie zmieniło się znacznie, gdy utworzono MZ i zatwierdzono datki pochodzące z ludzkich podatków. Pamiętał jednak, jak pytał o Erika, przeprogramowanego na czynienie dobra Tokara, czy nawet Iggy'ego, podając kolejne, męczące szczegóły, i nie odpuszczał aż do wyraźnego zdenerwowania zapytanego. Teraz już tego nie robił.

Wiedział, że był sam.

Nie patrzył już na czeredę baśniowych, w większości wynaturzonych postaci — na pająka podającego się za Arachneę, na blaszanego typka z toporem (którego miesiąc temu wziął za Tokara), czy na starającego skryć się w cieniu wychudzonego osobnika w czarnym płaszczu z purpurowym podbiciem, o niemal białej twarzy wysmarowanej przeciwsłonecznym kremem. Skupił się na karteczce z numerkiem trzymanej w grubych, owłosionych palcach i marzył o Krainie Ta, o jej bajecznych zachodach drugiego słońca, o nizinie Edny, o kryształowych Górach Blasku czy o puszczy Morch... niemal odpływając w zbawienny, pokrzepiający sen.

— Pańska kolej...! — Trącił go Glod Glodsson. Geedis zamrugał, budząc się z odrętwienia. — Trzynastka, widzisz pan?

— Hę? Dziękuję...

— Nie ma sprawy. Musimy trzymać się... — zaczął krasnolud, ale urwał, widząc, jak Geedis podbiega do okienka i wdrapuje się na krzesło.

***

— Nie występuje pan w spisie.

— Ale przecież byłem...

— Nie wiem, czy pan był. — Siedząca po drugiej stronie biurka urzędniczka skrzywiła się. — Może i był pan przed weryfikacją, ale po weryfikacji pana nie ma.

— Nie rozumiem...

Urzędniczka westchnęła.

— Niech pan posłucha, panie Gejdis...

— Geedis.

— Gejdis. Sytuacja wygląda tak: zarejestrował się pan, ale była weryfikacja. Każda z Ofiar Międzynarodowego Zderzacza Liniowego pojawiła się tu wskutek omyłkowego uruchomienia urządzenia, a z racji eksterytorialności owego zdarzenia w kontekście deportacji międzywymiarowej każde z państw poczuło się do pomocy zapomogowej w ramach funduszu podatkowego organizacji, a mianowicie... — zaczęła dyktować mu formułkę z wymienieniem wszystkich urzędowych struktur. Czekał cierpliwie, aż skończy. — Jak jednak pan może wie, z dniem 20 listopada bieżącego roku przyjęto poprawkę, w ramach której Ofiary Międzynarodowego Zderzacza Liniowego mogą otrzymać stosowną zapomogę tylko w przypadku udokumentowania ich istnienia w zakazanym obecnie procesie twórczym znanym jako „kreacja fantastyczna".

— Nie jestem żadną kreacją!

— Proszę mnie wysłuchać do końca, panie Gejdis. Nie ma znaczenia czy twórcy fantastyki stworzyli... przepraszam... — zajrzała do notatek — ...stworzyli multiwszechświaty, czy też w procesie kreacji mieli tylko wgląd w ich istnienie i dokumentowali to, co widzieli. Ważne jest to, że po wypadku pojawiły się tylko te postacie, których istnienie zostało udokumentowane w książkach, obrazach, rzeźbach, filmach czy w innej formie kreacji fantastycznej... A pańskie nie zostało.

— Ale ja przecież przynosiłem!

— Chwileczkę... Ma pan na myśli te notatki o naklejkach? — upewniła się, zerkając w płaską, szklaną kulę zwaną Com-Puterem.

— Sprawa Nate'a Fernalda — sprecyzował Geedis. — Znalazł materiały na mój temat, te... naklejki Sama Petrucciego. Skontaktował się ze mną mój... fanklub? Pan... Kietzman? Przekazał mi wszystkie...

— Pan Krzysztof Kietzman, z tego, co nam wiadomo, przed wprowadzeniem zakazu nie zajmował się stricte kreacją fantastyczną — przerwała mu najwyraźniej znudzona urzędniczka. — Czy jako postać fantastyczna występował pan w filmie lub w powieści czy w obrazach?

— No właśnie w tych naklejkach... i chyba jest o mnie wzmianka jako o postaci trzecioplanowej w jednej z książek... tylko jeszcze nie znalazłem...

— Przykro mi, ale to za mało — stwierdziła urzędniczka i przez moment wyglądała tak, jakby jej było naprawdę smutno. — Dokumentacja pańskiego istnienia nie spełnia wymogów prawnych. Proszę zgłosić się ponownie, jeśli znajdzie pan materiały przydatne w procesie weryfikacji, a wówczas...

Ale Geedis już jej nie słuchał. Cichy i przybity, zeskoczył z krzesła, kierując się ku szklanym drzwiom.

***

Zaczął padać śnieg. Zbliżała się czternasta i temperatura spadła do minus siedmiu stopni. Mijając stojących obok metra ludzi, Geedis nie zauważył uśmiechów i nie usłyszał komentarzy wygłaszanych pod adresem śniegowych płatków. Wszyscy dokądś się spieszyli — zapewne po to, by uczcić urodziny Drzewnego Człowieka, którego — z okazji Świąt — przybito podobno ponad dwa tysiące lat temu do kawałka drewna. W takiej chwili jak ta — otoczony przez nieskierowaną ku niemu ludzką życzliwość i niezrozumiałą świąteczną atmosferę — Geedis czuł się gorzej niż zwykle. Nie miał lekko, a teraz pozbawiono go jeszcze środków do życia. On, niegdyś dumny wojownik Krainy Ta, nie różnił się niczym od żebraka wrzuconego okrutnie w obcy, nieprzyjazny świat. Ale żebrak miał chociaż towarzystwo innych żebraków.

On był sam.

Szedł przed siebie, w stronę jednego z bloków. Od samego początku ukrywał się w ich piwnicach — owej mizernej kopii lochów i katakumb

Krainy Ta, w których największy potwór okazywał się co najwyżej szczurem czy zbłąkanym kotem. Geedis lubił koty — przypominały mu koty z jego własnego świata i tylko szczury smakowały tak samo — równie parszywie jak te z podziemi stolicy Ta — sławnego, królewskiego Ta-Heimu o Wielu Wieżach.

Słońce już zaszło, gdy podchodził do swojego bloku przy ulicy Marco Polo 4, którego numer — do magicznej płytki zwanej „domofonem" — udało mu się zapamiętać po tym, jak podejrzał jednego z obsługujących płytkę mieszkańców. Drzwi do piwnicy nie były problemem — jedną z umiejętności, jakich nauczył się od Tokara, było otwieranie zamków — rzecz jasna nie tych czarodziejskich, chronionych magią elektryczności. Przemknął więc tuż przy murkach i wysokich krzewach i szybko wprowadził kod, po czym natychmiast skręcił w prawo, w stronę prowadzących do piwnicy schodków. Miał sporo do przemyślenia, podczas gdy ludzie zajmą się swoim dziwnym, świątecznym rytuałem. Zamknie się w jednej z cel za drewnianymi drzwiami, w cieple i kurzu... i może uśnie, po zjedzeniu ostatniego, wygrzebanego ze śmietnika, przeterminowanego Snickersa. Dzień jak co dzień.

Ale tym razem było inaczej.

Cichy, zduszony jęk doleciał ku niemu z głębi piwnicy, zagłuszony zaraz odgłosem uderzenia. To sprawiło, że natychmiast się wyprostował, a jego instynkt wojownika kazał mu wyszarpać jedną z obluzowanych ściennych cegieł. Ktoś tam był i ktoś czynił Zło, tego był pewien. Zło niemal w stylu Zoltana, podnoszące mu włoski na skórze i cuchnące tak, jak potrafi śmierdzieć jedynie Zło: potem, strachem, podnieceniem i kiszoną kapustą. Geedis chrumknął odruchowo i nerwowo ruszając ryjkiem, pospieszył w głąb piwnic.

Zło nie było daleko, bo tuż za zakrętem. Na ziemi, tuż obok porzuconego opakowania wyciągniętych z piwnicy bombek, leżała szarpiąca się ludzka samica, podczas gdy Zło pod postacią brudnego i chyba pijanego samca usiłowało zedrzeć z niej ubranie. Geedis nie czekał. Natychmiast skoczył do napastnika i walnął go w łeb cegłą — niestety, niewystarczająco. Zło podniosło się i wrzasnęło. W ręku trzymało nóż.

— Co do ku...!

Geedis nie dał mu skończyć. Zaatakował ponownie, tym razem celując w kolano. Zło było jednak szybsze i ciachnęło nożem, raniąc go w rękę. Trysnęła czerwono-zielona krew, ale powierzchowna rana była niczym dla

bohatera Krainy Ta. Zło co najwyżej zraniło jego dumę. Snickersy, pomyślał ze zgrozą Geedis. Straciłem formę przez to czekoladowe świństwo!

— Co, kurwa... — wybełkotało Zło, usiłując znowu zaatakować, ale Geedis tym razem nie dał mu szansy. Szybko wskoczył na przeciwnika i ścisnął mu gardło silnymi rękami, przyzwyczajonymi do wdrapywania się na wiekowe drzewa Krainy Ta. Zło zakaszlało i spróbowało go ściągnąć, ale chwyt był zbyt mocny. Wystarczyło trochę przytrzymać i Zło przestało być nagle Złem, a stało się nieprzytomnym pijaczkiem leżącym na podłodze piwnicy.

I to był już koniec. Nie licząc przerażonej dziewczyny, ogólnego zamieszania i przyjazdu wezwanej policji.

***

— Zaczekaj.

Z początku nie wiedział, czy słowa były skierowane do niego, odwrócił się jednak. Wciąż nieco zszokowana dziewczyna w otoczeniu podenerwowanej rodziny, tuż po złożeniu zeznań i po zabraniu niedoszłego gwałciciela przez policję, patrzyła jednak wprost na Geedisa, a jej oczy, skryte pod dużymi okularami, przedtem prześlizgujące się tylko po jego niewielkiej sylwetce, nagle zwęziły się w szparki.

— Trzeba to przemyć — powiedziała o wiele bardziej zdecydowanym głosem. — Chodź.

— Nie trzeba...

— Proszę dać spokój, panie... Geedis, tak? — upewniła się stojąca obok dziewczyny matka, o dziwo wymawiając poprawnie jego imię. — Przynajmniej tyle... możemy dla pana zrobić. Prosimy...

Usłuchał, samemu dziwiąc się nieco swojej spolegliwości. Wszedł za nimi po schodach i skierował się pod numer 28, przechodząc przez niewielką galeryjkę. Tu nieco się speszył: na dole przy dziewczynie stali tylko ojciec i matka, ale tu zebrała się cała chmara ludzi — część, tak jak rodzina dziewczyny — z Krakowa, reszta — z Warszawy. Święto Drzewnego Człowieka, przypomniał sobie. Nie powinienem chyba... ale zanim zdążył zaprotestować, wciągnięto go do środka i zarzucono podziękowaniami, częściowo śmiejąc się i częściowo płacząc. Nie był pewny, która reakcja bardziej go przeraziła. Usadzony na krześle „dla niespodziewanego gościa", jak oszołomiony wpatrywał się w życzliwe

twarze ludzi i zaskoczone twarze dzieci, w stojącą obok balkonu choinkę, w zastawiony przysmakami stół i w magię świątecznych świateł.

— Kraina Ta, tak? — upewnił się nieco podpity osobnik, przedstawiony Geedisowi jako wuj Stefan. — Ale „Żytniej" tam nie mieliście, co? — dodał, wręczając wciąż zaskoczonemu Geedisowi napełniony kieliszek. — No to chlup!

— Stefan! — obruszyła się siedząca nieopodal dama, ale Geedis nie dał się dwa razy prosić. Przechylił i łyknął, rzecz jasna bez kaszlnięcia — nic nie mogło być gorsze od bimbru pędzonego na smarze Tokara. Otarł ryjek, a — ku aprobacie zebranych — oczy zaświeciły mu się na żółto.

— Niech pan koniecznie spróbuje karpika! — wtrąciła zaraz matka dziewczyny. — Zaraz będą pierożki...



Ilustracja: Łukasz Jagielski (IG @jagielski_art)

— Barszczyk prima sort! — zauważył jeden z gości. — Niech pan lepiej skosztuje barszczyku!

— Zaraz tam „pan”! — prychnął wuj Stefan. — Chłopak dopiero co uratował Martę, a będziecie mu panować! Geedis, dawaj brudzia!

— Stefan!

— Cicho tam! Brudź powiedziałem! Stefek! — sapnął po sążnistym ucałowaniu Geedisa w ryjek.

— Gee... Geedis — wymamrotał wciąż nieco zszokowany Geedis, wlewając w siebie kolejną pięćdziesiąteczkę. I wtedy jakby coś pękło: z magicznego kryształu Tele-Wizora gruchnęły kolędy, rozchichotane dzieci powyciągały prezenty, Geedisowi wciśnięto wyczarowany skądś prezentowy krawat w renifery, słynną sałatkę babci Jadzi z majonezem Winiary, śledzika z rodzynkami, waniliowy likierek ukochanego przez rodzinę wujka Marcina, przedstawiono mu — zakazaną już dekretem — książkę o smokach napisaną przez (nieco zawstydzoną faktem jej wyciągnięcia) Martę i omówiono z nim „problemy mieszkaniowe”, z miejsca organizując mu lokum u — nieco już wiekowej — kuzynki Stefy z bloku obok, której „trzeba tylko pójść po zakupy” i posprzątać mieszkanie — na co zresztą siedząca przy stole kuzynka Stefa ochoczo przystała, twierdząc, że Geedis przypomina jej nieco zmarłego męża.

— Wesołych świąt, panie Geedis! — ogłosił niespodziewanie przejęty młody Ludwiczek, zaraz zresztą zgaszony przez wuja Stefana za „panowanie” i zmuszony do wypicia kolejnego brudzia z gościem. Geedis wypił i chrumknął tak, że z oczu poleciały mu łzy... wytłumaczone naprędce mocą spożytego alkoholu.

Ale nie był to alkohol, choć obecni na Wigilii goście nie musieli o tym wiedzieć.

A Marta, jak to Marta, dopiero miesiąc później zgodziła się na geedisową randkę.

Warszawa, styczeń 2021

KRZYSZTOF KIETZMAN

SPRAWOZDANIE Z WALNEGO ZGROMADZENIA TOWARZYSTWA GEEDISOZNAWCÓW (ALBO ZAPIS PEWNEJ POPKULTUROWEJ OBSESJI)

Kim jest Geedis? Jakie tajemnice kryje *The Land of Ta*? Dlaczego szesnaście tysięcy Internautów zebrało się, by rozwiązać zagadkę pewnej przypinki – i trzech arkuszy naklejek? Posłuchajcie opowieści o miłości, braterstwie, poświęceniu, pandach i *GI Joe*.

Dawno, dawno temu, w 2017 roku amerykański komik Nate Fernald przeszukiwał zbiory eBay w poszukiwaniu emaliowanych przypinek ulubionych zespołów. U jednego ze sprzedawców trafił na niepozorną metalową przypinkę przedstawiającą stworka, który wydał się mu dziwnie znajomy. GEEDIS – bo tak była podpisana uśmiechnięta, brązowa, czworonożna istota – przypominał liczne popkulturowe stworki-potworki z lat osiemdziesiątych: od Ewoków i Gremlinów po kosmitę Alfa i psa daggita imieniem Muffit z pierwszej serii *Battlestar Galactica*. Miał facjatę znaną każdemu nerdowi wychowanemu w latach osiemdziesiątych lub wtórnie czującemu nostalgię za latami osiemdziesiątymi dzięki współczesnym dziełom takim jak *Stranger Things* czy *Black Mirror: Bandersnatch*. Nate kupił przypinkę, a gdy okazało się, że internet jednak milczy w temacie pozornie swojskiego Geedisa, zrobił to, co robi w takiej sytuacji każdy: rzucił wyzwanie całemu Twitterowi. 21 czerwca 2017 roku rzucił w eter pytanie, które zainicjowało pospolite ruszenie internautów: „WHO THE FUCK IS GEEDIS?".

Fernald, który odkrył nowy cel w życiu, zaczął tropić przypinki z Geedisem. Gdy skontaktował się z pierwszym sprzedawcą, który w międzyczasie zdążył wystawić na aukcji kolejną przypinkę, okazało

się, że ten dysponuje aż osiemdziesięcioma egzemplarzami, które bliżej nieokreślona zmarła osoba magazynowała od co najmniej 1983 roku. Sprzedawca wykupił całą zawartość składziku, ale nie wiedział nic ponad to. Niewiele myśląc, Fernald kupił je hurtem, jednak ten akt desperacji nie przybliżył go do prawdy. Pojedynczy internauci zdołali nabyć pojedyncze przypinki od innych sprzedawców, niemniej wszystko wskazywało na to, że trop tu się urywa, a pochodzenie Geedisa pozostanie niewyjaśnione.

Do czasu. Jeden z internautów, którzy powoli zaczęli pochylać się nad kwestią przypinki, odnalazł arkusz z naklejkami z 1981 roku, na którym widniał nie kto inny, ale Geedis we własnej włochatej osobie. Towarzyszyły mu inne stworzenia: dzierżący w dłoni węża, kucający gargulec ZOLTAN; trzymający w dłoniach wężoorła (który doczekał się fanowskiego miana „Sneagle") jaskiniowiec HARRY; przypominający nieco C-3PO robot TOKAR; goblinopodobny IGGY; i wreszcie wcielający się w rzymskiego legionistę ptasiodzioby ERIK. Całość przywodziła na myśl typowe narkotykowe wizje artystów pulpowych z lat osiemdziesiątych. Arkusz miał podpis: „THE LAND OF TA". Super – uznał Fernald. Super – uznali poszukiwacze Geedisa. Przecież Geedis to po prostu jedna z postaci z franczyzy *The Land of Ta*! *Causa finita est*. Za proste. Okazało się, że internet milczy w temacie rzeczonej, rzekomej krainy Ta, a fałszywych tropów jest sporo, bo „The Land of Ta" to jedna z wielu nazw historycznych tak Egiptu, jak i Teheranu. Ślepa uliczka.

Grupa /r/Geedis na Reddit, która postanowiła rozwikłać tajemnicę Geedisa, obecnie liczy sobie 16 tysięcy osób. Śledztwo ruszyło do przodu w momencie, gdy oprócz pierwszego arkusza naklejek (nr 80-218) odnaleziono dwa kolejne. Arkusz drugi (nr 80-219) – również podpisany „THE LAND OF TA" – przedstawia kolejnych wojów, natomiast arkusz trzeci (nr 80-224) – „WOMEN OF TA" – przedstawia, jak na tamte czasy przystało, nieco mniej niż bardziej ubrane kobiety. Arkusze zostały wyprodukowane przez zajmującą się m.in. naklejkami i naprasowankami spółkę Dennison, która, jak szybko ustalono, w 1990 roku została wchłonięta w fuzji przez spółkę Avery. Niestety w Avery nie zachowała się szczegółowa dokumentacja z lat 1981-82. Gdy Redditorzy przeprowadzili

masowy desant na obecnych pracowników spółki, ci byli w stanie jedynie zaprzeczyć, jakoby Dennison kiedykolwiek zajmowała się produkcją emaliowanych przypinek. Dementi to dziwiło o tyle, że w międzyczasie odnaleziono pojedynczą przypinkę, która przedstawiała kolejnego mieszkańca krainy Ta – kucającego gargulca Zoltana. Geedisoznawcy są podzieleni, czy przypinka ta jest autentyczna (o ile można uznać, o czym wspomnę pod koniec, że przypinki z Geedisem są autentyczne), czy też powstała niedawno w nawiązaniu do Geedisomanii. Wątek przypinek oraz ich związku z arkuszami naklejek do dziś pozostaje niedomknięty.

Na tym etapie śledztwo podzieliło się na kilka wątków, a Geedisoznawcy podjęli kilka obiecujących tropów. Przede wszystkim ustalono, że spółka Dennison dawniej była jednym z największych pracodawców we Framingham, dzięki czemu w archiwach miejskiego muzeum zachowały się tak niektóre arkusze naklejek, jak i pojedyncze dokumenty. Wysłannicy z Reddit potwierdzili autentyczność trzech arkuszy, a ponadto dzięki katalogowi produktów spółki ustalili, że pozostałe arkusze o bliskiej numeracji nie dotyczą krainy Ta (zatem pomiędzy pierwszymi dwoma arkuszami – nr 80-218 i 80-219 – a arkuszem trzecim z kobietami – nr 80-224 – nie ma czterech kolejnych, które by nas interesowały). Dzięki owocnej współpracy z muzeum Redditorzy skontaktowali się z pojedynczymi, dziś już wiekowymi twórcami niektórych arkuszy, jednak ci przyznali się jedynie do autorstwa naklejek z samochodami, pociągami, kotkami, króliczkami, gwiazdkami... Okazało się, że w latach osiemdziesiątych spółka Dennison, owszem, próbowała wprowadzać bardziej „czadowe" naklejki ze statkami kosmicznymi czy potworami (między innymi zachował się arkusz nr 80-212 z 1979 roku, który projektami statków nawiązywał do *Gwiezdnych wojen*), ale sporo wskazywało na to, że takimi zleceniami zajmowali się zewnętrzni freelancerzy.

Drugim bardzo obiecującym wątkiem było odnalezienie arkuszy nie tyle z naklejkami, ile z naprasowankami z *Advanced Dungeons & Dragons* (produkcji FNR International, spółki, która znajdowała się 50 minut drogi od siedziby Dennison w Massachusetts), które pod względem stylu łudząco przypominały naklejki z krainy Ta. Szybko ustalono, że naprasowanki te zostały oparte na ilustracjach do *Monster Manual* z *AD&D* – wprowadzone zmiany nieco upraszczały obrazki

ze względu na wymagania tej techniki. Trop wydawał się bardziej niż obiecujący, jednak udało się potwierdzić, że autorzy pierwotnych ilustracji – David Sutherland (zm. 2005) i David Trampier (zm. 2014) – nie stworzyli samych naprasowanek. Przypuszczalnie zadanie to zlecono na podstawie ich prac... nieznanemu freelancerowi.

W ferworze poszukiwań zaczęto też zastanawiać się nad potencjalnymi inspiracjami tajemniczego artysty. Sugerowano inspiracje wielkimi nazwiskami ówczesnych czasów – Frankiem Frazettą (jak okazało się na koniec: słusznie!), Borisem Vallejo, Chrisem Achilleosem (szczególnie w przypadku arkusza z kobietami, rzecz jasna). Sporo wskazywało na to, że w przypadku dwu postaci – ptasiego legionisty Erika i wikinga Stefana – nieznany twórca faktycznie mocno inspirował się pracą *Seven Romans* (1980) Frazetty. Pieczołowicie analizowano naklejki pod kątem podobieństw zarówno do innych arkuszy spółki Dennison, jak i do prac ze świata *Advanced Dungeons & Dragons*. Rozesłano zapytania do tuzina ówczesnych twórców ilustracji fantasy oraz byłych pracowników Dennison. Zastanawiano się, czy gargulec Zoltan nie nawiązuje aby do artysty Zoltana Borosa, a robot Tokar – do niejakiego Roba Tokara.

Do przełomu w śledztwie doszło w sierpniu 2019 roku – po ponad dwóch latach od pierwszego Tweeta Fernalda – gdy temat Geedisomanii wziął na warsztat amerykański podcast *Endless Thread*, który wcześniej zasłynął m.in. odnalezieniem poszukiwanej przez internautów Wielkiej Sterty Naczyń Stołowych (nie pytajcie). To jak, udało się odnaleźć ojca Geedisa i wszystkich mieszkańców Ta? Tak! Prowadzący odwiedzili wspomniane już muzeum we Framingham, które skierowało ich do jednego z emerytowanych pracowników dawnej spółki Dennison, 92-letniego kierownika artystycznego Toma Mangusso. Tom nie rozpoznał naklejek, ale zupełny traf chciał, że rozmowie telefonicznej przysłuchiwał się jego syn, Bill, który rozpoznał... nie Geedisa, którego w ogóle nie kojarzył, a gargulca Zoltana. Rzucił nazwisko: Sam Petrucci. Były pracownik Gunn Studio, który okazjonalnie współpracował z Dennison jako freelancer.

Sam Petrucci (ur. 1926) zmarł w 2013 roku w wieku 86 lat. Miał piątkę dzieci. Prowadzący *Endless Thread* zdołali skontaktować się z jego córkami, Lisą i Lindą. Sam Petrucci jest... twórcą Geedisa i co najmniej

dwóch z trzech arkuszy naklejek (nie wiadomo, co z kobietami)! Nie jest natomiast, jak zakładano do tej pory, anonimowym freelancerem, którego twórczość zaginęła w odmętach dziejów. Przeciwnie. Jako artysta zajmował się głównie projektami komercyjnymi i korporacyjnymi. Współpracował z takimi markami jak *Friendly's*, *Ocean Spray*, *Marshmallow Fluff*, a także z organizacją pozarządową WWF (Światowym Funduszem na rzecz Przyrody). Ponadto Petrucci stworzył ilustracje do pierwszych opakowań figurek *G.I. Joe* dla Hasbro. Był znaną i cenioną postacią w fandomie. Na co dzień skromny i milczący, wyraźnie ożywał na konwentach. Niestety za zlecenia przyjął gotówkę – nie skusił się na część należności w akcjach Hasbro. Szkoda, bo zostałby za życia milionerem.

No a co z Geedisem i spółką? W teczkach Petrucciego odnaleziono ołówkowe szkice wszystkich postaci z pierwszego arkusza. Zostały wycięte pojedynczo i umieszczone na jednej kartce w układzie doskonale znanym wszystkim z arkusza z naklejkami. Okazało się, że postacie już na tym etapie zostały nazwane, a sam arkusz został podpisany przez artystę. Szkoda, że podpis nie został umieszczony na finalnym produkcie, ale jak w kontekście *G.I. Joe* stwierdził o Petruccim Larry Selman, „Ilustrator całymi godzinami pracuje w samotności nad swoimi dziełami, a gdy tylko skończy, trafiają one do klienta. A ponieważ ilustratorzy pracują dla dużych korporacji, ich nazwiska nie pojawiają się na okładkach, mimo że ich prace trafiają do milionów dzieci z całego świata. Nagle stają się sławni – a zarazem pozostają anonimowi". Słowa Selmana okazały się prorocze w przypadku naklejek z Geedisem. Oprócz szkiców w zbiorach artysty zachowały się pierwsze dwa arkusze. Petrucci je oprawił, jakby darzył je wyjątkowym sentymentem. Niestety wszystko wskazuje na to, że *The Land of Ta* istnieje wyłącznie w postaci naklejek. Ale może z czasem doczekamy się miniserii Netfliksa...?

Już po fakcie okazało się, że niektóre tropy Geedisoznawców były zadziwiająco trafne. Wśród zbiorów w pracowni Petrucciego odnaleziono... trzy albumy z dziełami Franka Frazetty! Ponadto okazało się, że to Petrucci we własnej osobie – owszem! – przerysował obrazki z *Monster Manual* z *AD&D* na potrzeby naprasowanek! Mało tego, okazało się, że Redditorzy już rok wcześniej natrafili na Gunn Studio,

gdzie pracował autor, jednak trop ten wówczas się urwał. Czy to już całość tajemnicy? No nie. Nie wiadomo, co z trzecim arkuszem z kobietami – nie znaleziono go do tej pory w zbiorach artysty, zresztą różni się od pozostałych dwóch stylem. W ogóle nie wiadomo, co z emaliowanymi przypinkami, od których zaczęły się poszukiwania. Czy to Petrucci zlecił ich stworzenie? Czy sprzedawał je na konwentach? A może bezskutecznie próbował zainteresować nimi Hasbro? Czy przypinka z Zoltanem jest autentyczna? Co z tajemniczą trzecią przypinką z dziewczynką o imieniu Tammy...? Możliwe, że podcast *Endless Thread* podejmie kolejne wątki

.

Możliwe, że zrobią to Redditorzy. Możliwe, że zrobisz to ty.

Źródła:

• Audycja Endless Thread: https://www.wbur.org/endlessthread/2019/08/23/what-is-geedis

• Nekrolog Sama Petrucciego: https://patchesofpride.wordpress.com/2013/10/03/premier-artist-and-illustrator-of-g-i-joe-boxes-displays-packaging-sam-petrucci-dead-at-86/

• Podstawowe informacje z subredditu /r/Geedis (niezaktualizowane o najnowsze ustalenia o Samie Petruccim): https://www.reddit.com/r/Geedis/comments/c0kaj6/welcome_to_rgeedis_please_start_here_and_join_the/

nowa fala DIY
w każdym zeszycie fantastyka, publicystyka i komiksy

ŻAR-PTAK



zin, który zaprezentował Polsce Geedisa!

GNIAZDO ŚWIATÓW

Krzysztofzin nr 1. Geedis i przyjaciele

2021

Redaktor naczelny: Krzysztof Kietzman
Redaktor techniczny: Bartek Biedrzycki / Gniazdo Światów
Korekta i redakcja: Krzysztof Kietzman, Katarzyna Ophelia Koćma

Ilustracja na okładce: Wojciech Bem (IG @wojciech_bem_artist)
Ilustracje: Bartek Biedrzycki, Bartłomiej Dzik, BrandonQueue, DYLPILLD (IG @dylpilld), FRIWIL, HODAG RPG, Łukasz Jagielski (IG @jagielski_art), Grace Kościelna (IG @gracekoscielna), Jan Gopal Kowalewicz (jandraws.com), Jakub Oleksów (IG @doctor_gurgul), ShakoHead, SIDNEYIA, StandardDeviation2, Jarek „Yarosh" Wasilewski, Joanna Widomska, Natalia Anna Zalewska
Skład i łamanie: Bartek Biedrzycki, Marcin Kudła

Liternictwo na okładce: Jerry Bremer, Marcin Kudła
Liternictwo w komiksach: Dariusz „Krabowy" Stańczyk

Rada Mędrców: Bartek Biedrzycki, Krzysztof „Korsarz" Biliński, Jerry Bremer, Katarzyna Ophelia Koćma, Marcin Kudła, Joanna Widomska

Mecenat wydania: Szymon W. Krawczyk

ISBN 978-83-959027-1-0
nakład papierowy 99 egzemplarzy
Wszelkie prawa do materiałów zastrzeżone przez autorów.



GNIAZDO ŚWIATÓW

www.krzysztofzin.pl
Krzysztofzin wydawany jest przez Gniazdo Światów
imprint wydawnictwa timof i cisi wspólnicy
Górna Droga 10/301, 02–495 Warszawa

Dla Ani, Bartka i Izy, pierwszych oprócz mnie fanów Geedisa w Polsce, którzy tak naprawdę nie mieli wyboru. — Krzysztof Kietzman

Jakie tajemnice kryje Kraina Ta, której mieszkańców w latach 80. zobrazował na arkuszach naklejek niejaki Sam Petrucci? Kto jest silniejszym wojem: Stefan czy Radon? Czy Tokar zostanie prawdziwym chłopcem? Czy Geedis ma problem alkoholowy? Z kim umówi się na randkę Marta z Krakowa? I kimże, do krocset, jest Kietzman? W obliczu rażącego braku zainteresowania Geedisem i przyjaciółmi ze strony Netflixa zadania podjęli się polscy autorzy i ilustratorzy z pierwszego numeru „Krzysztofzinu" (i to w sercu pandemii!), którzy na 240 stronach tchnęli życie w Krainę Ta i dołożyli cegiełkę do rozwoju światowego Geedisoznawstwa.

Zapoznaj się z przygodami Geedisa i przyjaciół w Krainie Ta, gdzie bohaterowie leniwie sączą kakao w cieniu skrzydeł Zoltana.

(Przy tworzeniu tego zinu nie ucierpiał żaden Geedis).

"Robię ziny od 1995 roku, ale w czymś takim nie brałem jeszcze udziału. To jakieś szaleństwo!"

– Bartek Biedrzycki, polski autor fantastyki, twórca komiksów i podcaster

ISBN 978-83-959027-1-0